



# SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LIPIEC - SIERPIEŃ  
1995

4 (27) 1995

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



<b>DANUTA NESPIAK</b> Konstruowanie bieszczadzkiej legendy. . . . .	1
<b>JERZY MASIOR</b> Pytanie . . . . .	2
<b>JERZY PRYZSTAWA</b> Niepodległość a sprawa ordynacji wyborczej . . . . .	3
<b>WŁADYSŁAW STAŻKA</b> Stanął lew — symbol Lwowa na królewskim szlaku w Lublinie . . . . .	5
<b>Ks. JÓZEF WÓLCZAŃSKI</b> Arcybiskup metropolita lwowski Bolesław Twardowski (18.II.1864-22.XI.1944) . . . . .	9
<b>MIECZYŚLAW GAWŁOWSKI</b> Kresowy ministrant — fragmenty wspomnień . . . . .	11
<b>EUGENIUSZ DMYTRÓW</b> Kołomyjski węzeł kolejowy. . . . .	12
<b>DARIUSZ KOSIŃSKI</b> Wanda Siemaszkowa we Lwowie . . . . .	16
<b>ARTUR HUTNIKIEWICZ</b> Moje Łyczakowskie gimnazjum . . . . .	19
<b>JERZY ZIELIŃSKI</b> Lwowskie II Gimnazjum Państwowe im. Karola Szajnochy w latach trzydziestych XX w. . . . .	21
<b>IZABELLA CZERMAKOWA</b> Dom na Krasuczynie . . . . .	23
<b>JAN HURYK</b> Obozowisko w Zbarażu . . . . .	25
<b>TADEUSZ KUKIZ, JAN TOMASZEWSKI</b> Pomnik żołnierzy w Łopatynie . . . . .	28
<b>DANUTA TABIŃSKA-JUHASZ</b> III Światowe Forum Mediów Polonijnych Tarnów '95 . . . . .	33

*Fot. na okładce:*

*Pomnik — symbol Lwowa, którego uroczyste odsłonięcie odbyło się 10 czerwca br. w Lublinie*

*Redaguje Kolegium w składzie: Krzysztof BULZACKI, Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMIŃSKI,  
Danuta KOTOWICZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA,  
Danuta TABIŃSKA-JUHASZ, Jan ZIEMBICKI*

*Redakcja: Zdzisław OJRZYŃSKI (red. naczelny), Jerzy PETRYŃSKI*

*Redakcja techniczna: Małgorzata WANKE-JAKUBOWSKA, Maria WANKE-JERIE*

*Adres Redakcji: Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich,  
50-079 Wrocław, Ruska 32/33 I p., skr. poczt. 1042 Wrocław 3, tel. 44-88-93*

*Wydawca: Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS” — PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-132-3*

*Prezes Fundacji: Danuta TABIŃSKA-JUHASZ*

*Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.*

Rozumiem i szanuję dążenia każdego narodu do wolności — nigdy nie usprawiedliwię zbrodni ludobójstwa jako drogi do celu.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
w Bolesławcu  
59-700 Bolesławiec, ul. B. Głowackiego 5  
tel. 75 612 13 88

# Konstruowanie bieszczadzkiej legendy

DANUTA NESPIAK

W upalny dzień lipcowy, patrząc na głęboką soczystą zieleń łąk, lasów i wzgórz bieszczadzkich z malowniczymi w takim „entourage'u” ruinami cerkwi, których mury przypominały stare dworzyszczka, słucham zwierzeń dwojga narratorów. Stara kobieta mówiła „tu stał mój dom, było w nim wesoło”. „Ciagnie mnie tutaj — teraz mieszkam w Kanadzie” mówił stary mężczyzna. Nie byłam w tym plenerze obecna. 9 lipca w pierwszym programie TV w porze dobrej bo o 16<sup>30</sup> oglądałam film dokumentalny autorstwa Bohdana Kosińskiego pt. „Pid horoju”. Padały w nim nazwy miejscowości w Bieszczadach: Krzywe, Lutowiska, Rajskie, Wetlina, Terka, Łopienka, wsi lokowane na prawie wołoskim w XVI wieku, które do 1939 roku należały administracyjnie do woj. lwowskiego (obecnie do krośnieńskiego). W latach 1944 — 47 działał tam kureń „Rena” — Wasyła Mizernego, członka sztabu UPA-Zachód. W skład tego kurenia wchodziła sotnia „Bira” składająca się ze 100 ludzi w tym 30 członków b. dywizji SS Galizien. Działali przeważnie w rejonie Cisnej, Hulska i Tworylnego. Krzywe właśnie leży koło Tworylnego. Do gminy Cisnej należą Łopienka i Wetlina, do gminy Solina Rajskie i Terka. Oprócz gmin Lutowiska, która miała po pierwszej wojnie światowej zdecydowaną przewagę ludności żydowskiej (rzymskokatolickiej — 136, grekokatolickiej — 769, wyzn. mojżeszowego — 1220 osób: zob. Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej, t. XIII woj. lwowskie Warszawa 1924, s. 21, wszystkie pozostałe miejscowości były wsiami ukraińskimi w których mieszkało zwykle kilka lub kilkanaście rodzin polskich i żydowskich, jako że były to tereny kolonizacji wołoskiej w XV i XVI wieku.

Narratorzy w filmie Kosińskiego nie mówili nic bliższego na temat przeszłości swoich wsi rodzinnych — dlaczego ich nie ma, dlaczego cerkwie są w ruinach, dlaczego już tu nie mieszkaj. Ani razu nie padło słowo UPA tylko nostalgiczne wyznania jak tu kiedyś pięknie się żyło. Najwięcej wspomnień poświęcono Łopieniec gdzie jeszcze w latach 70 — tych opuszczoną i zdewastowaną cerkwią zajął się Olgierd Łotoczko.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Olgierda Łotoczkę znałam świetnie. Był to mój kolega ze studiów, z którym w 1962 r. ukończyłam Wydział Filozoficzno-Historyczny Uniwersytetu Wrocławskiego. Pochodził z Litwy z polskiej ziemiańskiej rodziny, był pełen fantazji, inteligentny, trochę nieodpowiedzialny, nie stronił od kobiet i alkoholu, z Bieszczad zawędrował do Indii, gdzie zresztą tragicznie zginął.

Ale za Olgierdem do Łopianki przywędrowali inni — a wiemy kto ścigał w Bieszczady, nazwijmy ich polskimi romantycznymi kowbojami. Cerkiew w Łopieniec z 1757 roku zaczęto odbudowywać naprzód bezprawnie a potem już od 1985 roku legalnie przy pomocy ochotników. Z filmu nie dowiedziałam się kto zaczął byci ci ochotnicy, którzy odbudowali cerkiew we wsi nie istniejącej od 1947 r. W ogóle film był kameralny, wyciszony, żadnych oskarżeń, żadnej akcji Wisła. Nasunęła mi się refleksja może potraktowano go jako początek legendy i jako preludium do właściwego tematu? Zaczęłam dumać nad tym co to w ogóle za przedziwna nacja ci Polacy-Antysemici, którzy mają najwięcej tablic w jerozolimskim Yad Vashem za ratowanie Żydów, ukraińczycy a tu jacyś zwariowani ochotnicy odbudowali cerkiew a generalnie Polacy byli niebez-

pieczeni w czasie wojny bo mieli swoje bandy „AK” które rozstrzeliwały bezbronnych Ukraińców (o czym dowiedziałam się 2 czerwca br z audycji w TV poświęconej budowie pomników UPA).

Ale o tym, że film Kosińskiego był preludium tworzonej legendy przekonałam się niebawem bo już 12 lipca emitowany został w pierwszym programie TV (chyba trochę ostrożnie na razie, bo w porze gorszej oglądalności, mianowicie o godz. 22<sup>35</sup>, następny film z cyklu bieszczadzkiego pt. „Nie dla wszystkich nastał pokój” — ale z jaką obsadą! Wystąpił tylko jeden aktor Josyf Myca, prezes Związku Ukraińskich Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, b. członek UPA biorący udział w krwawej rebelii bieszczadzkiej. Prezentowany był na tle swojej rodzinnej wsi Paszowa, gmina Olszanica woj. krośnieńskie. Jego 25-minutowy monolog, w którym dwukrotnie usłyszałam przysięgę „żołnierza UPA” kończącą się słowami, że na śmierć i życie będzie walczył ze wszystkimi wrogami Ukrainy, zawierał b. interesujące momenty. Myca za przynależność do UPA i chęć oderwania ziem pld.-wsch. od Polski otrzymał na procesie wyrok 10 lat więzienia. Oświadczył, że walczył o połączenie ziem ukraińskich lecz świat zadecydował inaczej. W jego wsi wśród 256 rodzin było tylko 5 rodzin polskich i 7 żydowskich. Jak weszli bolszewicy to od rzu wywieźli 2 rodziny polskie. Myca dyskretnie milczał co stało się dalej z tymi rodzinami polskimi i żydowskimi ale można się domyślać skoro „żołnierze UPA” przysięgli, że będą walczyć ze wszystkimi wrogami Ukrainy. Z pełną swobodą na luzie opowiadał o radosnej atmosferze która zapanowała gdy wkroczyli Niemcy — no bo „nasza policja z tryzubami... itd” Jak poinformował, UPA mniej obawiała się WP, bardziej milicji i band (nie mówił jakich) zresztą pomagał im Polak p. Szostek, bogaty 30 hektarowy gospodarz informując ich o niebezpieczeństwach. Przy końcu swego monologu oświadczył, że skłamał by, że Polska to jego ojczyzna ale tu żyje, ma uznanie i szacunek. Do Paszowej raczej nie wróci a do jej nowych mieszkańców nie czuje niechęci. To jest jego ojcowizna ale to nie jest Ukraina. Oczywiście w imię pokoju w Europie obecne granice nie podlegają rewizji ale te ziemie są stracone dla Ukrainy. W końcówce tego filmu (oprac. Wojciech Korotyński) można było oglądać Josefa Mycę jak kłęczy przy osławionym już pomniku — monumencie ku czci upowskiego kurenia „Rena” w Hruszewicach w woj. przemyskim.

Ani jednym słowem ten klasyczny przedstawiciel ideologii radykalnego nacjonalizmu ukraińskiego w osobach triumwiratu Doncew — Melnyk — Bandera nie wspomniął z kim „żołnierze UPA” i przy pomocy jakich metod walczyli na ziemiach okupowanej Polski przez Niemców, Sowieców i władzę cywilno-wojskową Polski Ludowej.

A może za uznanie całej treści i formy działalności UPA za odpowiednik Armii Krajowej (jak to w sposób zakamuflowany prezentował p. Bohdan Skaradziński w artykule w Tygodniku Solidarność nr 18 z 29 IV 1994) zyskamy aplauz naszych czołowych europejczyków pp. Jacka Kuronia i Adama Michnika, a Gazeta Wyborcza i Tygodnik Powszechny zamieszczą informację o „nawróceniu środowisk kresowych”.

Rozumiem i szanuję dążenia każdego narodu do wolności — nigdy nie usprawiedliwię zbrodni ludobójstwa jako drogi do celu.

# Pytanie

JERZY MASIOR

Ilu z nas by tam wróciło, gdyby... Zastanowić się warto, chociażby dlatego, że upływa pół wieku od czasu naszego wygnania. Mógłbym ten fakt nazwać łagodnie, ale nie chcę — wielu mnie zrozumie. Topniejemy, jak śnieg na przedwiośniu, lecz są wśród nas tacy, którym to pytanie postawić należy. A jest ono niemal światowej wagi, bo nie tylko nam, lwowianom „lwowianom” konieczności opuszczenia miejsc urodzenia, zamieszkania, lub nawyku życia się przydarzyła. Wiek XX ma od zarania to do siebie, że ludzie i narody pomieszczały się. Przepędzają jedni drugich, ba, nawet eksterminują zapalczywie i dokładnie. Nasze pojałtańskie wypędzenie ze Lwowa, z okolic bliższych i dalszych, jest w historii tylko ogniwem podobnego łańcucha wydarzeń. Ogniwem może i niepoślednim, dramatycznym, dla nas szczególnie, ale tylko wydarzeniem pośród mu podobnych nie jedynym. I to jest chyba właściwa perspektywa patrzenia, choć o obiektywizm historyczny w naszych czasach najtrudniej.

Pośród nas są tacy, a jest ich niemało, którzy mają powody by do eszelonów odjeżdżających z dworca Czerniowieckiego i z tyłu innych dworców i stacji kresowych — powracać. Dochodzić racji tamtej, historycznej chwili. Mniemam, że wszyscy żyjemy z czasem tym niepokodzeni, bo jak tu godzić prawo wiekowej własności, zakorzenienia nieustannego, z brutalnością dziejów narzuconych. Jak wyżyć się nagle, bez możliwości protestu, przeżywania od pierwszego przebłytku świadomości po lata dojrzałe, w pejzażu domu i okolicy odwiecznej. Tam świadomość sączyła w nas każdego dnia, każdą porą roku, obrazy niezbywalne, niezatarte. Żyliśmy wypełnieni tą świadomością, a tak naprawdę — podświadomością, jak w kokonie ładu i bezpieczeństwa tamtej krainy. tak bywało i bywa wszędzie, na całym świecie, gdzie wpływ czasu i dzieje toczą się bez wstrząsów, pazerności i politycznych targów, w wyniku których umysły kilku politycznych krótkowidzów kreślą granicę egzystencji ludów i narodów w przestrzeni dramatu. Oni uszczęśliwiają głównie siebie i swój naród, a ten tkwi nadal gdzie jego korzenie. Na dodatek może pozwolić sobie na eskalację pragnień, bo choć to niemoralne, ale któż w takiej sytuacji o moralność pyta.

Tak, czy inaczej nie mieszkamy na Łyczakowskiej, na Lewandówce, na Zniesieniu. Tkwimy od pięćdziesięciu lat z górą jakby oswojeni i pogodzeni z tym, co jest, z dala od stron, które się na szczęście jeszcze śnią. Od kilku lat możemy dzięki Bogu, mówić głośno, żeśmy nie stąd, że nasz rodowód i tęsknoty w nas kresowe. Zrzeszamy się, spotkamy: lwowska pieśń i słowo brzmią powszechnie i donośnie. Jest w radiu, w telewizji. Mamy już nawet telewizyjnych idoli. Postarzałych wprawdzie, bo jakby inaczej, ale autentycznych jeszcze — własnych, pamiętających. Obnosimy się dumnie z naszymi tamtejszymi rodowodami, a więc jest i pora na pytanie. Pytanie, które — wiem o tym — zadawaliście sobie niejednokrotnie. Nie w snach, lecz na jawie, już teraz nie w ciszy, lecz głośno, otwarcie: czy bym tam wrócił? Gdyby stało się tak, że powrócić możesz, że czeka na ciebie niemal wszystko, co pozostawiłeś: twój dom, twoja ulica, ławka w parku na dożywanie dni pod tamtym niebem, tramwaj, którym wyruszysz na niedzielny,

popołudniowy spacer do Stryjskiego? Będziesz znów u siebie! Powrócisz z nadzieją, że złożysz kości tam, gdzie ziemskie bytowanie rozpoczął. A więc wrócisz?

Stawiam Ci mój lwowski i kresowy Rodaku to pytanie, bom nie wolny od chęci jedynej odpowiedzi: tak, powrócę tam, jeżeli tylko los zgotuje mi taką możliwość. Lecz ilu z Was może bez oglądania się na wszystko co dotychczas, na najbliższych, na stworzony przez 50 lat świat wartości — tak odpowiedzieć? Z mojej prywatnej ankiety wiem, że niewielu, już niewielu. Przeciwno mojej decyzji Wy macie realia życia. Przeżyliśmy połowę wieku poza Lwowem. Dla wszystkich to szmat czasu. Częstokroć o wiele więcej lat, niż tych tam pozostawionych. Bo ileż w 1945 na Czerniowieckim liczyliśmy ich sobie? Kilka, kilkanaście. Doroślejszych wówczas, ubyło nazbyt wielu. I jacy jesteście? T.zw. życie zmagало się z nami a my z nim. Piętno tych zmagania zaistniało, bo uniknąć go nikomu się nie uda. Oswajaliśmy przecież przez pół wieku naszą przestrzeń nad Odrą i gdzieś tam jeszcze, bo taki był sposób na trwanie w miejscu bardzo na początku niechcianym. Zagłaskaliśmy te miejsca jakim — takim dostatkim, nowym domem, nowymi pokoleniami. Wszystkie nasze lata po tamtych latach wpisywaliśmy w biologiczną normalność. Gdy lwowski pieśniarz śpiewa nam dziś — „mało nas, ciężko nam”, to przecież tylko pierwsze słowa wersu są bliższe prawdy. Bo czy ciężko nam? wielu bez Lwowa i tamtego nieba — tak, ale nie wszystkim przecież. Prawda o kształtowaniu świadomości przez byt jest moralnie podejrzana, ale powszechnie funkcjonująca. Nic na to nie poradzimy. Pierwsze lata były najtrudniejsze, boleśnie niepokodzone. Lata topniejącej wiary, że omyłka historii zostanie naprawiona. Nic takiego nie nastąpiło. A tymczasem nasze Miasto oddalało się i zmieniało kształt. Nie wszędzie na szczęście, ale gdy się dziś z wierzchołka Kopca Unii Lubelskiej spojrzysz w stronę przedmieść, zwłaszcza tych zachodnich i północnych... Zniknęła zieleń wzgórz pokrytych teraz betonowymi potworkami blokowisk. Nie powrócilibyśmy do tamtego, naszego, serdecznie zapamiętanego Lwowa. Ktoś już powiedział stawiając kropkę nad „i”: „tamto miasto nie istnieje, bo nie istnieje jego duch”. Kołaczę się on w nas we Wrocławiu, Opolu, Bytomiu i wszędzie tam, gdzie jeszcze jesteście. Ale czy ducha stąd starczyłoby na ogarnięcie tego, co teraz cudze i tak chłodne, obce, przefarbowane. Czy starczyłoby naszych ogni na wskrzeszenie?

Postawiłem Wam, moi Drodzy pytanie, które wprawi niejednego z Was w zakłopotanie. Zanim odpowiecie, możecie odczuć dreszcz nieokreślonego lęku przed samym sobą. Ale to już dobrze, że takowych zmagania doznacie. Bo przecież nic z tego o czym myślimy, spieramy się, rozpalamy w naszych umysłach i sercach jest w zasięgu spełnienia. A nawet, gdyby to spełnienie nastąpiło, czy wszyscy powrócilibyśmy na Czerniowiecki, na Główny, na Zamarynowski, na Persenkówkę? O, nie! Tak by się nie stało. Całe nasze życie i nasze nad nim pochylenie stało by się chwilą podejmowania decyzji ołowiem przykuwającym do połowy wieku. Powracających zaledwie garstka by się zebrała. Więc dla kogo u schyłku wieku to Miasto? Dla kogo jego los, który zaledwie lat kilkadziesiąt nie sprzęgał się z naszym losem, z losem wiekowej tam Polski? I czy to do końca prawda, że takiego sprzężenia nie było. Zaistniały w miejscach naszego zesłania pokolenia: nasze dzieci, wnuki. Jaka pamięć się w nich kołacza? Na ile przygotowaliśmy te pokolenia do powrotów, do odpowiedzi na pytanie, którym zdominowałem dzisiejsze pisanie. Odpowiedź pozostawiam Wam, moi Drodzy. Ja, u kresu moich lat wiem, co bym zrobił. O jak cicho i spokojnie bywa jeszcze na Łyczakowskim Wzgórzu od strony Pohulanki...

Nowy Sącz, w lipcu 1995

# NIEPODLEGŁOŚĆ A SPRAWA ORDYNACJI WYBORCZEJ

JERZY PRYZSTAWA

## Jesteśmy wreszcie we własnym domu...

Kiedy dzisiaj usiłujemy analizować wszystkie, powiedzmy ogólnie „niedogodności” naszej społecznej i państwowej egzystencji, kiedy staramy się szukać środków naprawy, kiedy domagamy się PROGRAMU — pytaniem, na które trzeba sobie odpowiedzieć jest pytanie o naszą państwową suwerenność i niepodległość. Pamiętamy jeszcze te codzienne, telewizyjne „akty strzeliste”, w wykonaniu najlepszych aktorów: *Jesteśmy wreszcie we własnym domu, nie stój, nie czekaj, pomóż!* Innymi słowy przedtem nie byliśmy we własnym domu, teraz nagle (wreszcie!) się w nim znaleźliśmy, trzeba więc zabrać się do pomocy. Tadeusz Mazowiecki, po otrzymaniu teki premiera, pojechał do Gdańska i tam dumnie ogłosił, że teraz już *Polska żyje! Wolna i Niepodległa!* I tak to bez przerwy dostarczane nam są codziennie nowe dowody naszej niepodległości: insygnia Rzeczypospolitej, cmentarze katyńskie, prochy Sikorskiego, nowe mundury, nowe ordery, nowe patriotyczne uroczystości...

## Od kiedy to tak?

Gdzie jest ten moment przełomowy, który Polskę, kraj niesuwerenny, podporządkowany Sowiетom, zamienił w kraj wolny, niepodległy, suwerenny? Kiedy został zawarty i przez kogo, ten traktat historyczny, przyznający Polsce status niezawisłego państwa, autentycznego politycznego podmiotu świata?

W traktacie jałtańskim przyznano nam niepodległość, ale oddano nas w pacht Sowiетom. Od 1944 roku wykonywane są nieustające zabiegi, aby rządy sowieckie i agentów zostały przez Polaków zaakceptowane jako „swoje własne”, niezawisłe i suwerenne. Kiedy, który z tych zabiegów przyniósł nam „prawdziwą niepodległość”, przywrócił nam „nasz własny dom”? Gdzie się podziła sowiecka agentura, administrująca Polską?

Od *Okrągłego Stołu* te wysiłki uległy niesamowitej intensyfikacji. Przywrócono nam orzełka z koroną, senat, nazwę państwa, zmieniono procedury wyborcze, wolność zakładania partii politycznych, zniesiono cenzurę, ujawniono prawdę o Katyniu, wyprowadzono z Polski sowieckie wojska i wykonano nieskończoną wprost ilość dodatkowych operacji. Codziennie mówi się o wejściu Polski do NATO i do Unii Europejskiej, a obecny szef polskiego rządu wyjeżdża do Brukseli i tam składa buńczuczne oświadczenia pod adresem Rosji: czego jeszcze potrzeba, aby rozwiązać wątpliwości największych nawet niedowiarków?

A jednak wątpliwości pozostały. W programie telewizyjnym „Rzeczypospolita Druga i Pół” oglądaliśmy samego redaktora „Kultury”, Jerzego Giedroycia, który ujawnił z zakłopotaniem, że ma poważne wątpliwości co do tego czy Polska jest naprawdę niepodległa! Dlaczego Jerzy Giedroyc, a razem z nim tyłu Polaków wzdraga się przed zaakceptowaniem tej powszechnie, zdawałoby się, uznanej niepodległości?

## Kiedy kraj jest suwerenny i niepodległy?

Co jest warunkiem podstawowym niepodległości? Czy o niepodległości decyduje obecność czy nieobecność obcych wojsk albo rodzaj munduru jaki noszą żołnierze w służbie granicznej?

O suwerenności decyduje przede wszystkim to, czy rządzący krajem ELITY POLITYCZNE działają w JEGO INTERESIE? W Niemczech na przykład od pół wieku stacjonują obce wojska, a mimo to nikt nie pyta, czy Niemcy są niepodległe? Mało bowiem kto ma wątpliwości, że Helmut Kohl, Rita Suesmuth, Roman Herzog, Richard Weizsäcker i całe szeregi innych polityków niemieckich są reprezentantami niemieckiego interesu i niemieckiej racji stanu i że obrona tej niemieckiej racji stanu jest ich dyrektywą nadrzędną i główną.

Aby Polskę można było uznać za kraj niepodległy i suwerenny jest rzeczą konieczną, aby obywatele polscy mieli podobną pewność, że ludzie Polską rządzący, a więc Oleksy, Wałęsa, Kwaśniewski, Cimoszewicz czy Balcerowicz reprezentują interesy polskie w takim stopniu jak Kohl, Herzog i Weizsäcker reprezentują interesy niemieckie!

## Jak zostały wyłonione elity obecnie Polską rządzące?

Byli przedpeerowcy, którzy dzisiaj sprawują najwyższe w kraju urzędy, głoszą, że jest to wynik demokratycznych wyborów, że po prostu wolne i niepodległe społeczeństwo polskie chce, aby rządził nim komunistyczni aparaczczyki — ludzie, których zawsze w przeszłości identyfikowaliśmy jako sowiecką agenturę. W Polsce, po roku 1989 przeprowadzono cały szereg operacji wyborczych, podczas których „demokratycznie wybieraliśmy”: w przeciągu 6 lat trzykrotnie wybieraliśmy parlament, dwa razy byliśmy świadkami — uczestnikami wyborów prezydenckich, dwukrotnie dokonywaliśmy wyborów samorządowych.

## Jaki jest efekt tych operacji?

**Po pierwsze:** W roku 1995 władzę sprawuje ta sama dokładnie elita polityczna, jaką „wyłonił” Okrągły Stół i która „zawierała” kontrakt Okrągłego Stołu. Również do wyborów prezydenckich startują prawie wyłącznie ludzie, którzy siedzieli przy Okrągłym Stole. Kandydaci nie-okrągłostolowi, jak Janusz Korwin-Mikke czy Leszek Moczulski nie mają w tych wyborach szans.

**Po drugie:** społeczeństwo jest już zmęczone i totalnie zniechęcone do tych demokratycznych procedur i w coraz większym stopniu uchyla się od udziału w dalszych wyborach. Trudno nie dostrzec racjonalności takich zachowań: skoro w przeprowadzonych raz po raz wyborach następują jedynie przetarasowania w tej samej talii kart i mamy jedynie do czynienia ze znaną nam 50 lat „karuzelą stanowisk”, to po co w ogóle fatygować się chodzeniem do urny?

**Po trzecie:** Polacy nie mają przekonania, że elity wyłonione przy Okrągłym Stole działają w interesie ich i polskiej racji stanu. Jakiekolwiek łamańce słowno-obrazkowe byłyby wykonywane bez względu na to, jak wyrafinowanych argumentów w tej sprawie używać będzie „Polityka” czy „Gazeta Wyborcza”, społeczeństwo polskie nie uwierzy, że byli sekretarze komunistycznej partii, że ludzie, którzy swoje kariery polityczne robili jako wierni słudzy sowieckiego imperium, dzisiaj stanowią już wcielenie polskości. I ten brak zaufania przenosi się na ludzi, których ci sekretarze, poza

plecami społeczeństwa, dobrali sobie do kompanii i uczynili z nich swoich partnerów, „autentycznych przedstawicieli społeczeństwa”. Dzisiaj, kiedy na czele wszystkich liczących się partii politycznych stoją byli pezetpeerowcy, społeczeństwo dostrzega wyraźnie, że wynikiem tych wszystkich zabiegów było tylko zastąpienie jednego przedpeerowskiego garnituru przez inny, a zatem nie wiele się to różni np. od zamiany rządu Messnera na rząd Rakowskiego czy na jakiś inny rząd „minionej epoki”.

## Opinia, że niepodległość Polski datuje się od zawarcia umów Okrągłego Stołu jest niedorzecznością.

Umowę w sprawie przyznania niepodległości jakiemuś krajowi można zawierać tylko z tą stroną, która tym krajem rządziła, jako siła obca, zewnętrzna, zniewalająca i podporządkująca sobie dany kraj. Przy Okrągłym Stole nie widzieliśmy żadnych jawnych sowieckich generałów czy dyplomatów. Jeśli byli, to musieli występować pod polskim przebraniem. Zasadne jest więc pytanie: kto, którzy Wysocy Reprezentanci Wysokich Układających się Stron byli reprezentantami OBCEJ RACJI STANU? Kto reprezentował Sowieców i w ich imieniu przyznawał nam niepodległość?

Oczywiście, dzisiaj nikt się do tego nie przyzna, a archiwa MSW są niedostępne. Ponieważ wszyscy uczestnicy Okrągłego Stołu pozują na nieugiętych patriotów OD ZAWSZE, więc musimy przyjąć, że siedzieli tam sami stuprocentowi Polacy, nie mogli więc sami sobie przyznawać niepodległości! Musimy przyjąć, że CI SAMI POLACY CO DZISIAJ BYLI TU GOSPODARZAMI, a zatem, że sprawa niepodległości Polski wygląda dzisiaj podobnie jak przed rokiem 1989. Pozostaje pytanie zasadnicze: w czym interesie działają członkowie elity władzy w Polsce w roku 1995?

## Kogo reprezentują?

W czym interesie działają dziś ludzie, którzy jeszcze kilka lat temu byli wyrazicielami sowieckich interesów, skoro Sowieców już nie ma? W czym interesie działają wczorajsi ulubieńcy komunistycznego reżimu, a dzisiaj faworyci światowych sfer finansowych, jak np. pan Balcerowicz czy pan Olechowski? Czyjego interesu broni dzisiaj w Moskwie członek pezetpeerowskiego politbiura i sekretarz KC, Stanisław Ciosek?

Nie twierdzę, że nikt z tych ludzi, z pozoru żarliwych sług sowieckiego ustroju, nie był, w głębi serca, jeszcze bardziej żarliwym patriotą, żyjącym nadzieją, że kiedyś odrodzi się Wolna Polska. Twierdzę tylko, że ta patriotyczna żarliwość była przez nich głęboko ukrywana, tak głęboko, że wszystkie wyspecjalizowane i wyszkolone służby specjalne, jak SB, KGB, GRU, WSW i inne nie były w stanie tego patriotyzmu w żaden sposób wykryć. Ot tak np. jak to było z pułkownikiem Kuklińskim czy majorem Jerzym Pałowskim, o których wywiady i kontrwywiady były przekonane, że są najbardziej lojalnymi z lojalnych, a tu się okazało, że to była pomyłka: pod skórą sowieckich wywiadowców i szpiegów ukrywali się stuprocentowi, żarliwi polscy patrioci!

## Czy służby specjalne zawsze się mylą?

A więc to jest możliwe, ale czy jest możliwe, żeby te doskonałe służby imperium myliły się nieomal w każdym przypadku, żeby nie potrafiły przez tyle lat się zorientować, że towarzysze Ciosek, Jaruzelski, Oleksy, Kwaśniewski, Miller i tyłu tyłu innych, to nie są żadni w ogóle komuniści — wierni towarzysze broni, ale właśnie prawdziwi polscy patrioci, żadni tam internacjonalisci, ale Polacy — niepodległościowcy?

Bo jeśli te wyspecjalizowane, profesjonalne służby, nie były w stanie się w tym zorientować, to w jaki sposób mamy się w tym zorientować my, którzy nie mamy do dyspozycji wywiadów, apa-

ratów podsłuchowych, dostępu do donosów tysięcy tajniaków, kontroli korespondencji i wszystkich innych danych, jakimi tamte służby dysponowały? Wg drobiazgowych danych owych służb Kwaśniewski i Oleksy i tysiące innych to wierni i oddani komuniści, na jakiej podstawie możemy dzisiaj uznać, że te służby się myliły i wbrew tajnym raportom uznać ich za obrońców polskiej racji stanu? Na jakiej podstawie mamy wierzyć, że kiedy po drobiazgowym sprawdzeniu przyjmowano do pracy w SB Aleksandra Gawronika, to SB po prostu nie zdawała sobie sprawy, że oto przyjmuje do pracy nowe wcielenie mickiewiczowskiego Konrada Wallenroda? Na jakiej podstawie mamy wierzyć, że służby generała Kiszcza dobierając kandydatów do rozmów Okrągłego Stołu jako „przedstawicieli społeczeństwa”, to właśnie typowały niezłomnych patriotów, a nie ludzi próżnych, rządnych sławy i pieniędzy, którzy za obietnicę poselskiego czy senatorskiego fotela będą im „jedli z ręki”?

## A jednak ich wybrano!

A jednak nie można zaprzeczyć, że obecna elita polityczna sprawuje swoją władzę m.in. dzięki temu, że upoważnienie do sprawowania tej władzy dały im wyniki wyborów powszechnych. Jak to się stało, że społeczeństwo polskie, tak ciężko przez komunizm doświadczone, które w 1989 roku, w owych „kontraktowych wyborach” powiedziało wyraźnie i dobitnie, że nie chce, że sobie nie życzy żadnych komunistów przy władzy, żadnych, ani „dobrych” ani „złych”, w kolejnych wyborach, a w szczególności w wyborach 1993 roku, dało swoje wyborcze przyzwolenie na ich dalszą polityczną egzystencję, mało tego, na ich bezpośrednie rządy?

Fenomen ten posiada, rzecz jasna, złożone uwarunkowania i długo moglibyśmy analizować stosowane socjotechniki i manipulacje społeczne, które do takiego efektu doprowadziły. Takie dyskusje i analizy się toczą i stanowią najczęściej element kolejnej manipulacji. Natomiast jeden zasadniczy element tego wyborczego zwycięstwa „postkomunistów” jest zupełnie odsunięty w cień i nie toczy się nad nim żadna publiczna dyskusja społeczna, a głosy, które tę sprawę poruszają są spychane na margines. Sprawą tą jest

## problem ORDYNACJI WYBORCZEJ.

W czasach, w których marzyliśmy tylko o wolnych wyborach, bo jedyną formą wyborów była jedna, komunistyczna lista wyborcza, wówczas nikt nie miał czasu na zastanowienie się nad tym, że to wcale nie jest rzeczą obojętną JAK SIĘ WYBIERA?, tj. jakie jest prawo wyborcze, czyli jaka jest ordynacja. Wydawało się nam, iż wystarczy, żebyśmy mogli zgłosić „swoich” kandydatów, a wtedy społeczeństwo niechybnie ich rozpozna i wyeliminuje komunistów, tak jak ich rozpoznawało w plebiscycie wyborczym roku 1989. I tylko dzięki sztuczkom, dzięki okrągłostołowemu przyzwoleniu, komuniści znaleźli się w „kontraktowym sejmie” i byliśmy pewni, że bez tej umowy ani jeden z nich do parlamentu by się nie dostał. A co się stało potem?

A potem stało się to samo co przedtem: tak jak kontraktowy sejm, wbrew woli społeczeństwa, wygenerowała „kontraktowa” ordynacja wyborcza, ustalona przy Okrągłym Stole, to w następnych wyborach działały już ordynacje wyborcze, wymyślone na spokojnie, bez nacisku chwili, które w sposób dużo bardziej wyrafinowany zapewniły reprodukcję prostą tego samego układu politycznego. Natomiast społeczeństwo nie zostało nawet poinformowane o tym, że istnieją inne ordynacje, inne sposoby wybierania reprezentacji społeczeństwa, że te inne sposoby prowadzą do innych skutków. Polaków nie zapytano w jaki sposób chcą wybierać swoją reprezentację parlamentarną: czy chcą się wybierać tak jak Amerykanie, Anglicy, Francuzi czy tak jak Niemcy czy np. tak jak Szwedzi czy Żydzi? Społeczeństwu polskiemu nie zaprezentowano tych różnic wyborczych, uznano, że Polacy najwyraźniej są za głupi, żeby się w tych subtelnościach orientować i że najlepiej, aby sprawę tę rozstrzygnęli...KTO? Oczywiście, ludzie wyłonieni przy Okrągłym

Stole, którzy kontraktowymi wyborami przyznali sobie monopol na rządzenie Polską, na wybór ustroju społecznego w jakim Polacy chcą żyć, na rozstrzygnięcie wszystkich najważniejszych i mniej ważnych spraw narodowych.

## Dlaczego nie tak jak w Ameryce?

Z zazdrością patrzymy na najbogatsze kraje świata, marzeniem wielu Polaków jest Ameryka. Dlaczego w takim razie Polacy nie mieliby wybierać swojej reprezentacji narodowej w taki sposób jak to robią Amerykanie? Amerykanie wymyślili swoją ordynację wyborczą już przeszło 200 lat temu i ta ordynacja znakomicie im służy, dlaczego w tym miejscu nie odpowiada nam wzór amerykański? Tym bardziej, że jak się okazuje, podobnie wybierają się Anglicy, Kanadyjczycy, Francuzi, a ostatnio także i Włosi przeszli na amerykański sposób wyborczy, bo doszli do wniosku, że inaczej nigdy nie poradzą sobie z korupcją polityczną i mafią!

## Jaki to jest ten amerykański sposób?

Czy aby go zrozumieć trzeba mieć skończony uniwersytet, albo jakieś zaawansowane studia nauk politycznych? Nic podobnego: jest to najprostszy i najbardziej naturalny sposób wybierania: **wybiera się JEDNEGO CZŁOWIEKA W JEDNYM OKRĘGU WYBORCZYM!** Kraj jest podzielony na okręgi wyborcze i w każdym z tych okręgów wybiera się tego, kto uzyskuje największą liczbę głosów! Czyż może być system prostszy i bardziej naturalny? Nie ma żadnych „list wyborczych”, nie ma żadnych „progów wyborczych”, wchodzi do parlamentu ten, kto w bezpośrednim zwarciu wyborczym uzyskuje najwięcej głosów!

Przy takiej ordynacji wyborczej Polska podzielona byłaby na, powiedzmy, 460 okręgów, z których każdy liczyłby sobie nie więcej niż 60 tysięcy uprawnionych do głosowania. W takim okręgu każdy wyborca miałby okazję i możliwość osobistego kontaktu z kandydatem, w takim okręgu ludzie są w stanie się poznać i wybierać tego kogo znają, a nie kota w worku! I, co niezmiernie ważne, wybrany poseł wie przed jakimi wyborcami odpowiada i za co, i ludzie

wiedzą kogo wybrali i co im obiecywał. Powstaje wówczas więź postać z wyborcami, nie iluzoryczna, ale rzeczywista, która zobowiązuje go do lojalności wobec tych ludzi, a nie wobec jakiejś partii czy innej grupy o nie zawsze jasno określonym charakterze. Przy takiej ordynacji nie ma mowy o tym, żeby ktoś kogo nikt w jego okręgu wyborczym nie zna, albo ktoś kto nie jest w stanie zdobyć nawet kilkuset głosów mógł „tylnymi drzwiami”, poprzez listę partyjną, znaleźć się w sejmie, tak jak to ma miejsce obecnie! No i rzecz ogromnie ważna: wiadomo kto, kogo i za co miałyby ewentualnie odwoływać!

Najważniejsze jest jednak to, że **taka ordynacja daje możliwość autentycznej zmiany rządzącej nami elity władzy**, usunięcia ludzi skompromitowanych, a wprowadzenia na ich miejsce ludzi, których albo znamy, albo których poznać jesteśmy w stanie w czasie kampanii wyborczej. To jest właśnie powód, dla którego propozycja takiej ordynacji nie jest dyskutowana publicznie, dla którego milczą w tej sprawie telewizje i jakże już dziś liczne rozgłośnie radiowe, dlaczego nie piszą o niej liczące się w kraju gazety i pisma:

**WPROWADZENIE JEDNOMANDATOWYCH OKRĘGÓW WYBORCZYCH ZAGRAŻA BYTOWI OBECNEJ ELITY POLITYCZNEJ!** Zdaje ona sobie z tego sprawę i dlatego uczyni wszystko, aby do dyskusji takiego prawa wyborczego nie dopuścić, a jego wprowadzenie odwlec na jak najdalszą przyszłość, najlepiej na NIGDY. Dokładnie z tego samego powodu my, których usiłuje się zamienić w mierzwę historii, w społeczeństwo bez głosu i bez wpływu na rządy, musimy się domagać **ZMIANY ORDYNACJI WYBORCZEJ.**

I to jest **postulat numer jeden POLSKIEJ RACJI STANU.** Jeśli chcemy, aby elita polityczna rządząca Polską była elitą działającą w naszym, polskim interesie, musimy zjednoczyć nasze wysiłki w przeprowadzeniu zmiany ordynacji wyborczej na wzór angielski, amerykański czy francuski. Bez tego nie mamy szans.

Jerzy Przystawa

Wrocław, 23 kwietnia 1995 r.

---

*Historia zaskakuje nieraz paradoksami. Wynagradza i karze, wychowuje i uczy, jest i powinna być niezbywalnym elementem edukacji narodowej.*

# Stanął lew — symbol Lwowa na królewskim szlaku w Lublinie

## WŁADYSŁAW STAŻKA

Lublin ma nie tylko starą metrykę miejską sięgającą 1317 roku, Lublin ma wpisane w swoje dzieje wyjątkowe wydarzenia, wielkie i doniosłe w biegu polskiej historii, bohaterskie w wymiarze polskich zmagania o niepodległość, tragiczne w wielkości ofiar i narzuconej brutalnie miastu „Targowicy PKWN”. Lublin — historyczna siedziba Trybunału Koronnego Rzeczypospolitej Obojga Narodów stała się miejscem gdzie zaprzędani ZSRR komuniści polscy rozpoczęli pracę nad budowaniem sowieckiego ustroju w Polsce. Tutaj też po rozbięciu Delegatury Rządu we Lwowie dotarli w listopadzie 1944 roku zdecydowani na kolaborację z PKWN ostatni delegat lwowski Adam Ostrowski i jeden z szefów BIP-u Mirosław Żuławski. Zaczął ich „urządzać” przybyły ze Lwowa do Lublina pierwszy dyrygent sowietyzacji kultury polskiej Jerzy Borejsza. Ale mimo rozwiązania AK Lubelszczyzna nie dała się podbić, mimo aresztowań, wyroków i mordów w więzieniu — katowni zamku lubelskiego Oddziału WIN-u i NSZ walczyły z utrwalaczami władzy ludowej i UB aż do połowy lat 50.

Napewno komuniści Jerzemu Borejszy nigdy się nie śniło, że właśnie na wzgórzu naprzeciw zamku lubelskiego stanie tam na królewskim szlaku Warszawa — Lublin — Lwów pomnik symbol Lwowa.

Myśl wzniesienia w Lublinie pomnika upamiętniającego bohaterską Obronę Lwowa w 1918 roku, podjął Zarząd Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich w Lublinie w grudniu 1992 roku. Miało to związek ze zbliżającą się w roku 1993 siedemdziesiątą piątą rocznicą Obrony Lwowa. Ustalono, że symbolem najwymowniejszym będzie kopia rzeźby Lwa sprzed Łuku Chwały na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Na tarczy trzymanej pazurami Lwa, postanowiono umieścić herb miasta Lwowa z roku 1937 z napisem „Semper Fidelis” i krzyżem Virtuti Militari.

Pierwszym etapem realizacji podjętej decyzji, było wybranie miejsca pod pomnik na które przewidziano wzgórze przed Zamkiem — Muzeum w Lublinie. Miejsce to ma znaczenie historyczne zwią-

zane z Zamkiem. Walory urbanistyczno — architektoniczne a także patriotyczno — dydaktyczne związane ze Lwowem. Ponad sześćsetletnia przynależność Lwowa do Macierzy, niezachwiana wierność Polsce, przelana krew mieszkańców i Orląt w bohaterskiej Jego obronie w latach 1918, 1920 i 1939, nie może być wymazana z pamięci narodu. Miano również na uwadze to, że wzniesiony pomnik będzie uczył patriotyzmu pokoleń Polaków oraz przypominał wielowiekowe związki Lublina ze Lwowem. W latach po drugiej wojnie światowej, wygnani z ojczystych ziem lwowiacy i kresowiacy, wielu po ciężkich i nieludzkich przeżyciach w łagrach Syberii i więzieniach, którzy znaleźli się w Lublinie, przyczynili się do jego rozwoju, jako znaczącego ośrodka naukowego i kulturalnego w kraju i poza granicami.



*Operacja ustawiania pomnika; w tle zamek lubelski*

Lubelscy Lwowiacy i Kresowiacy musieli pokonać wiele trudności i oporów natury administracyjno — prawnej by uzyskać zgodę od władz i Rady Miejskiej Lublina, na wzniesienie pomnika. Zarząd Oddziału T.M.L. i K.P.W. uzyskał ją dopiero w przeddzień zorganizowanych we wrześniu 1993 r centralnych uroczystości związanych z 75 rocznicą odzyskania Niepodległości Polski i Obrony Lwowa. Podczas tych uroczystości na wzgórzu przed Zamkiem — Muzeum, poświęcono miejsce pod pomnik „Symbol Lwowa”, kamień węgielny oraz urnę z ziemią pobraną z cmentarza Obrońców Lwowa. (Uroczystości te zostały opisane w „Semper Fidelis” w nr 3/1993).

Do budowy pomnika przystąpiono bez możliwości uzyskania dotacji. Liczono jedynie na ofiarną społeczną pracę Zarządu i Członków Oddziału lubelskiego T.M.L. i K.P.W. składek i datków lwowiaków, kresowiaków, ich rodzin, miłośników Lwowa i Kre-

sów z kraju i zagranicy, społeczeństwa Lublina i Lubelszczyzny, instytucji i przedsiębiorstw. Opracowania projektu architektoniczno — urbanistycznego i wykonania dokumentacji, podjęli się członkowie Zarządu Oddziału lubelskiego T.M.L. i K.P.W. architekci p.p. Wacław Kondzioła i Jaremi Żurawiecki. Pomnik z monolitu piaskowca, którego nabycie umożliwiła Dyrekcja Szydłowieckich Kopalni Kamienia Budowlanego w Szydłowcu wagi 7 ton, wykonał p. Witold Marcewicz — rzeźbiarz z miejscowości Bełżyce koło Lublina. Z tego trudnego zadania wymagającego dużego wysiłku i talentu, p. Marcewicz wywiązał się znakomicie, wzbudzając powszechne uznanie tym większe, że wykonał tę pracę w znacznej mierze społecznie.

Na uroczystości odsłonięcia i poświęcenia pomnika „Symbol Lwowa” przybyli 10 VI br do Lublina liczni lwowiacy i kresowiacy, ich rodziny z kraju i zagranicy, miłośnicy Lwowa i Kresów, Rodacy ze Lwowa oraz liczne delegacje Oddziałów T.M.L. i K.P.W. z kraju. Uroczystości rozpoczęły się Mszą świętą odprawioną przez ks. Biskupa prof. dr Ryszarda Karpińskiego w Archikatedrze Lubelskiej. W koncelebrze uczestniczyli: ks. dr Józef Wołczański — kapelan Oddziału Lubelskiego T.M.L. i K.P.W. i ks. Kanonik Antoni Bezpalko — członek Towarzystwa. Wzruszającą, spokojną w tonie i serdeczną homilię wygłosił ks. dr Józef Wołczański. W wypełnionej wiernymi Archikatedrze splendoru uroczystości dodawała obecność Kompanii Honorowej z pocztą sztandarową i orkiestrą Wojska Polskiego, drużyny harcerskie, młodzież szkolna, poczty sztandarowe Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Lubelskiego, Związku Żołnierzy Armii Krajowej Oddziału Lublin, 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, Zarządu Głównego Związku Więźniów Okresu Komunistycznego z lat 1939 — 1989, Stowarzyszenia Szarych Szeregów, Związku Sybiraków, Rzemiosła Lublina i innych organizacji.



*Moment odsłonięcia pomnika Symbolu Lwowa*





Zarząd Oddziału Lubelskiego TMW i KPW

Po Mszy Świętej, w asyście Kompanii Honorowej i Orkiestry W.P. przy dźwiękach „Marsza lwowskich dzieci”, ruszył pochód uczestników uroczystości, za pocztami sztandarowymi i drużynami harcerskimi głównymi ulicami miasta na plac Zamkowy.

Wzgórze przed Zamkiem — Muzeum z pomnikiem „Symbol Lwowa” udekorowano trzema flagami na wysokich masztach: narodową, lwowską i lubelską a Lew przepasany był szarfą o barwach Lwowa. Uroczystość rozpoczęto odegraniem Hymnu Państwowego po którym p.prof. dr Tadeusz Radomański wygłosił znany wiersz Grońskiego zaczynający się od słów: „Jest takie miasto co zwie się Lwów, znów wolno o nim dziś pamiętać...”.

Przywitania uczestników uroczystości dokonał Prezes lubelskiego Oddziału T.M.L. i K.P.W. prof. dr hab Władysław Stążka. Powitał: p. mgr.inż. Edwarda Hunka Wojewodę lubelskiego, p. mgr. Ryszarda Pasikowskiego V-ce Prezydenta miasta Lublina, p. mgr. Andrzeja Pruszkowskiego V-ce Przewodniczącego Rady Miejskiej Lublina, p. prof. dr. Jana Janowskiego — Prezesa Stronnictwa Demokratycznego z Warszawy, Szefa Sztabu 3 Brygady Zmotoryzowanej Legionów ppłk. dypl. Włodzimierza Potasińskiego, z Wrocławia przedstawiciela Komendanta Garnizonu Lubelskiego ppłk. mgr.inż. Henryka Żubera, p. Nadkomisarza mgr. Zenona Maja — Naczelnika Wydziału Prezydialnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Lublinie, p. Przewodniczącą Sekcji Charytatywnej przy Katedrze Łacińskiej we Lwowie p. Janinę Zamojską, p. Zbigniewa Jarmilkę V — ce Prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej ze Lwowa, p. Eugeniusza Cydzika — Prezesa Towarzy-

stwa Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, p. Emila Legowicza z redakcji „Gazety Lwowskiej”, Rektorów Wyższych Uczelni Lublina, p. inż. Stanisława Mitraszewskiego — Przewodniczącego Rady Naczelnej Federacji Organizacji Kresowych z Warszawy, p. dr Danutę Nespiak — Prezesa Zarządu Głównego TML i K.P.W., p. prof. dr. Ignacego Wośko Prezesa Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej (w Urzędowie stoi od 1926 roku pomnik ku czci Orłąt Lwowskich), p. Włodzimierza Wójcikowskiego — Prezesa Miłośników Lublina, p. Józefa Adamskiego — Prezesa Fundacji Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza, Przedstawicieli Związku i Organizacji przybyłych z Pocztami Sztandarowymi, przedstawicieli bratnich towarzystw: Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko — Podolskiej, Przyjaciół Grodna i Wilna, przedstawicieli Rzemiosła miast Lublina.



Od lewej: St. Mitraszewski — prezes FOK-u, Danuta Tabińska Juhasz — prezes Fundacji Semper Fidelis, prof. dr hab. Wł. Stążka — prezes Oddziału Lubelskiego TML i KPW, Eugeniusz Cydzik — prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, Danuta Śliwińska — Sekretarz Generalny TMW i KPW, Emil Teśluk — wiceprezes ZG TML i KPW oraz grupa Polek z Wołynia.

Po powitaniu p. prof. dr Władysław Stążka wygłosił okolicznościowe przemówienie gorąco oklaskiwane przez uczestników uroczystości (treść przemówienia podajemy osobno). Kolejnym mówcą był Wojewoda Lubelski p. mgr. inż. Edwarda Hunek. W czasie wystąpienia p. Wojewody, wydawało się momentami, że przemawia rodowity lwowiak pod dyktando swego serca. Mówca został również nagrodzony dużymi oklaskami. Następnie przemawiali też: p. E. Cydzik, p. S. Mitraszewski, p. J. Janowski i p. Cz. Jarmilko.

Po przemówieniach, przy dźwiękach hejnału Wojska Polskiego nastąpiło odsłonięcie Pomnika „Symbolu Lwowa”, którego dokonali: p. Wojewoda i Prezes Oddziału Lubelskiego TML i KPW. Poświęcenia Pomnika dokonał ks. Kanonik Antoni Bezpalko wygłaszając okolicznościowe przemówienie, a lwowski chór „Echo” odśpiewał pieśń „Gaude Mater Polonia”. Po poświęceniu Pomnika złożono wianki kwiatów przepasanych szarfami o barwach Lwowa amarantowo — granatową i odśpiewano pieśń „Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa”.

Na cokole Pomnika wykute są napisy: W 75 rocznicę Obrony Lwowa Bohaterskim Orłętom Zawsze Wierni Lwowiacy i Kresowiacy — Lublin 1995” oraz cytaty autorstwa Henryka Sienkiewicza: „Tobie będzie chwała i cześć po wszystkie czasy”.

Następnie odbyło się przekazanie Pomnika Mistrzowi Lublinowi. Dokonał tego Prezes Oddziału T.M.L. i K.P.W. prof. dr hab. Władysław Stażka, odczytując i przekazując na ręce V-ce Prezydenta Miasta Lublina p. mgr. Ryszarda Pasikowskiego Akt przekazania. Uroczystość na wzgórzu przed Zamkiem — Muzeum została zakończona odśpiewaniem „Roty”. Z ramienia Oddziału Lubelskiego TML i KPW organizacyjnie całą uroczystość poprowadził p. mgr inż. Bolesław Maziak.

Kolejnym punktem programu uroczystości był występ okolicznościowy Zespołu Tańca Uniwersytetu im. Marii Curie — Skłodowskiej w Lublinie pod dyrekcją p. mgr. Stanisława Leszczyńskiego w sali widowiskowej Klubu Studenckiego „Chatka Żaka”. Występ trwający ponad dwie godziny nagrodzony rzesistymi oklaskami na stojąco, po którym wręczono wspaniałym wykonawcom piękny kosz kwiatów. Należy podkreślić, że nie często udaje się oglądać zespoły taneczne, prezentujące program o tak wysokim poziomie i wielkim ładunku patriotycznymco podkreśliła w krótkim wystąpieniu Prezes ZG TML i KPW dr. Danuta Nespiak. Na wysoką ocenę zasłużyła też oprawa plastyczna sali widowiskowej „Chatki Żaka” przygotowana z okazji obchodzonej uroczystości, związana tematycznie ze Lwowem, Kresami — obrońcami Lwowa i Ich Dowódcami, którą wykonał p. prof. dr hab. Tadeusz Radomański.

W przerwie programu artystycznego, nastąpiło uhonorowanie złotymi Odznakami Towarzystwa Miłośników Lwowa członków Zarządu Oddziału Lubelskiego T.M.L. i K.P.W. Odznaczeń dokonała Prezes Zarządu Głównego T.M.L. i K.P.W. dr Danuta Nespiak w asyście Prezesa Kapituły p. mgr. Emila Teśluka. Odznaczeni zostali: Tadeusz Radomański, Kazimierz Rozmiłowski, Leokadia Patyra, Małgorzata Kuczkowska, Helena Szaciłowska, Jeremi Żurawiecki, Wacław Kondzioła, Augustyn Kowalski, Andrzej Michałowski. W imieniu odznaczonych przemówił prof. dr hab. Tadeusz Radomański. Do zebranych zwrócił się również p. redaktor Jerzy Janicki. Wypowiedź jego utrzymana w bardzo serdecznym tonie pod adresem

organizatorów uroczystości, przyjęta została oklaskami.

Po zakończeniu tej miłej części uroczystości uczestników poproszono na wspólny obiad do stołówki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, podczas którego wygłoszono szereg toastów. Wielką salę stołówki, udekorowaną licznymi symbolami Lwowa, zawładnął „lwowski bałak”, a lwowskie piosenki grając na harmonii śpiewał p. Michał Osiadacz. Po obiedzie odbyło się zorganizowane przez p. dr Danutę Nespiak, posiedzenie wspólne Zarządu Głównego i Zarządu Oddziału lubelskiego TML i KPW.

W następnym dniu 11 czerwca, w sali Lubelskiego Towarzystwa Naukowego w Lublinie wystąpili dla licznie zgromadzonych Lwowiaków, Kresowiaków ich Rodzin i Miłośników Lwowa goście ze Lwowa — p. prof. Aleksander Koziński z synem Mikołajem z recitaleem fortepianowym, a ze swoim programem lwowskich piosenek „Batiar Lwowski” p. Michał Osiadacz.

Bardzo serdeczną i pochlebną opinię o pracy Oddziału Lubelskiego T.M.L. i K.P.W. o pomniku „Symbol Lwowa” oraz organizacji uroczystości związanych z Jego odsłonięciem i poświęceniem, wyraził p. prof. dr Witold Szolginia. Doszło do spotkania p. Profesora z rzeźbiarzem lubelskiego Lwa p. Witoldem Marciewiczem, które przerodziło się w bardzo ciekawą, obfitującą w fachowe uwagi rozmowę, w której pomnik został wysoko oceniony przez p. profesora.

Pomnik ten, który stał się znakiem Lwowa w Lublinie, odwiedany jest przez licznych mieszkańców miasta i regionu lubelskiego, grupy turystów i wycieczki młodzieży szkolnej zwiedzające Zamek — Muzeum.

W dniach 10 i 11 czerwca czynne były też wystawy towarzyszące uroczystościom w Lublinie: na Zamku lubelskim Wystawa obrazów z Galerii Lwowskiej, Wystawa medalierstwa p.t. „Lwów — ludzie, wydarzenia, historia 1917 — 1939”, Wystawa pocztówek lwowskich i kresowych na stoisku na Poczcie Głównej, w którym można było uzyskać okolicznościowy stempel pocztowy na widokówce i karcie pocztowej z pomnikiem „Symbolu Lwowa”, oraz Wystawa Leopolianów w Bibliotece Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

\*\*\*

Po prawie dwuletnich staraniach, wysiłkach, wyczerpanej pracy i niemałych poniesionych kosztach, dzięki zapałowi, wierze i miłości do rodzinnego miasta stanął w Lublinie — historycznej stolicy pięknej i patriotycznej Ziemi też zawsze wiernej Polsce, wstawionej walkami o jej wolność przez AK WIN, NSZ i BCh — znakomity w swej wymowie ideowej i walorach plastycznych pomnik Symbol Lwowa.

Władysław Strużka

KONSULAT GENERALNY  
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ  
WE LWOWIE

Lwów, 1995-06-08

Pan  
Prof. dr hab. Władysław Stażka  
Prezes oddziału Lubelskiego  
Towarzystwa Miłośników Lwowa  
i Kresów Południowo — Wschodnich

Szanowny Panie Prezesie,

Serdecznie dziękując za otrzymane zaproszenie na uroczystość odsłonięcia i poświęcenia Pomnika — Symbolu Lwowa w Lublinie z przykrością informuję, że wcześniej zaplanowane obowiązki każą dnia 10 czerwca konsulom być w Kamieńcu Podolskim, Gródku nad Smotryczem i Lwowie.

Pozwalam sobie, tą drogą, przesłać w imieniu Pracowników Konsulatu Generalnego RP we Lwowie i swoim własnym, życzenia wszelkiego powodzenia dla Organizatorów i Uczestników tej tak pięknej i patriotycznej uroczystości.

Niech ten pomnik wykuty w kamieniu będzie widomą oznaką więzi między Polakami mieszkającymi na Lubelszczyźnie i Polakami ze Lwowa i obwodu Lwowskiego.

Pozostaję z szacunkiem i z nadzieją na udział Szanownego Pana Prezesa w organizowanych przez nasz Konsulat uroczystościach z okazji 11 Listopada.

Konsul Generalny RP  
Tomasz Leoniuk

## AKT PRZEKAZANIA

**T**owarzystwo **M**łośników  
Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
Oddział w Lublinie niniejszym aktem  
przekazuje Miastu Lublinowi - Pomnik  
**SYMBOL LWOVA**, wzniesiony na wzgórzu  
przed Zamkiem Lubelskim staraniem Lwowiaków,  
Kresowiaków i Miłośników Lwowa. Odświeżony  
i poświęcony w dniu dzisiejszym Pomnik niech  
będzie przypomnieniem doniosłej roli **LWOVA**  
w dziejach Polski i niech stoi na straży naszej  
namięci. Niech będzie ozdobą Miasta Lublina.



LUBLIN, DNIA 10 CZERWCA 1995 ROKU

Zarząd Lubelskiego Oddziału  
Towarzystwa Miłośników **LWOVA**  
i Kresów Południowo-Wschodnich.

Prezes

Prof. dr hab. Witold Szustka

## AKT EREKCYJNY BUDOWY POMNIKA SYMBOLU MIASTA LWOVA W LUBLINIE

Na wieczną chwale  
MIASTU ZAWSZE WIERNEMU  
przez sześć wieków związanemu  
z dziejami i losami Polski  
dla odwołania dziełczywa Polaków  
żyjących we Lwowie i na Kresach

Roku Pańskiego 1993  
w 75 rocznicę Odzyskania Niepodleg  
łości i Obrony Lwowa

gdy Urząd Prezydenta Rzeczypospolitej  
Polskiej opowiadał Lech Wałęsa,  
Premiera - Hanna Suchocka,  
Ministra Obrony Narodowej -  
Janusz Onyszkiewicz,  
Wojewody Lubelskiego - Adam Cichocki  
Archiambrohem Archidiecezji Lubelskiej  
był ks. Bolesław Pylak,  
a Prezydentem Miasta Lublina -  
Leszek Bobrzyk

dnia 25 września o godzinie 12<sup>00</sup>  
poświęcony został  
kamień węgielny pod Pomnik -  
Symbol Miasta Lwowa  
oraz wzniesiona urna z ziemią  
z Cmentarza Opatów Lwowskich  
niniejszy Akt Erekcyjny

Pomnik - regalia iwa opozd Drukarni  
Chwały we Lwowie, będzie wyrazem  
hołdu i upamiętnieniem bożego  
nasładowania patriotyzmu, bohater  
stwa i wierności tych, którzy

MORTUI SUNT UT LIBERI VIVAMUS

Za Komitet Organizacyjny

Prezes

Towarzystwa Miłośników

Lwowa i Kresów Południowo-

Wschodnich w Lublinie

(Kamień - 1993)

Wojewoda Lubelski

Adam Cichocki

Prezydent Miasta Lublina

Leszek Bobrzyk

Za Komitet Honorowy

Metropolita Archidiecezji

Lubelskiej

ks. Bolesław Pylak

Wojewoda Lubelski

Adam Cichocki

Prezydent Miasta Lublina

Leszek Bobrzyk

Opublikowano w: "Gazeta Lubelska"

Opublikowano w: "Gazeta Lubelska"

Bywają ludzie, którym przyszło żyć na pograniczu różnych, najczęściej kilku epok i kultur oraz uczestniczyć w wydarzeniach, które zmieniają bieg historii. Niebywałe skondensowanie owych transfiguracji społeczno-politycznych i kulturowych od wieków obserwowano się szczególnie wyraźnie na rubieżach południowo-wschodnich Rzeczypospolitej. Tam też, na Ziemi Lwowskiej toczyło się długie życie późniejszego Pasterza Kościoła Archidiecezji Lwowskiej obrz. łac. — abp. Bolesława Twardowskiego, zamknięte cezurami niewoli narodowej, Polski Niepodległej i II wojny światowej.

## Arcybiskup metropolita lwowski Bolesław Twardowski (18.II.1864-22.XI.1944)

Ks. JÓZEF WOŁCZAŃSKI

### I. Młodość i pierwsze lata kapłaństwa

Bolesław przyszedł na świat 18.II. 1864 r. we Lwowie jako drugie z trojga dzieci inteligentnej rodziny, skoliigaconej ze znanymi rodami ziemiaństwa ówczesnej Galicji. Jego ojciec — Marceł Twardowski (1830-1877) pełnił funkcję sekretarza administracyjnego w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie, natomiast matka Franciszka ze Stańkowskich (1832-1867) zgodnie z ówczesnym zwyczajem zajmowała się domem i wychowaniem dzieci. Dwoje z nich — najstarszy syn Mieczysław (1852-1934) i młodszy Bolesław dożyło sędziwej starości, ale jedyna córka Jadwiga (1886-1906) zmarła we wczesnej młodości. Tego samego dnia, 18 lutego, Bolesław został ochrzczony w rodzinnym domu, leżącym na terytorium parafii św.

Marii Magdaleny we Lwowie przez swojego wuja — ks. Tomasza Stańkowskiego, wikariusza lwowskiej parafii św. Mikołaja. Rodzicami chrzestnymi zostali: hr. Maurycy Dzieduszycki oraz właścicielka dóbr ziemskich Zofia Matkowska. Niedługo, bowiem w wieku trzech lat stracił matkę, a dziesięć lat później ojca. Oboje rodzice zmarli w młodym wieku. Pochowano ich na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie w obrębie pola nr 2, ale dziś po nagrobkach nie pozostało najmniejszego śladu.

Bolesław rozpoczął edukację prawdopodobnie metodą prywatnych lekcji domowych, po czym kontynuował naukę w renomowanym Gimnazjum im. Franciszka Józefa I we Lwowie w latach 1875-1879, ale egzamin dojrzałości złożył 1882 r. w innej szkole jakiej, nie udało

się ustalić. Po maturze wstąpił do Seminarium Duchownego obrz. łac. we Lwowie, rozpoczynając zarazem czteroletnie studia filozoficzno-teologiczne na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Lwowskiego i uzyskując zawsze najwyższe lokaty na egzaminach. Seminaryjna i uniwersytecka formacja duchowieństwa katolickiego została uwieńczona święceniami kapłańskimi. Sakrament kapłaństwa przyjął Bolesław 25.VII.1886 r. z rąk arcybiskupa metropolity lwowskiego obrz. łac. Seweryna Morawskiego (1819-1900).

Znakomite wyniki w nauce oraz wzorowa postawa religijno-moralna, ale chyba też i rodowe koneksje zadecydowały o najbliższej przyszłości młodego kapłana. Na fali złagodzonego kursu rządu austriackiego względem kształcenia duchowieństwa katolickiego poza granicami monarchii po 1848 r., abp S. Morawski wysłał ks. Twardowskiego jako jednego z pierwszych z archidiecezji lwowskiej na specjalistyczne studia do Rzymu. Przedmiotem ich było prawo kanoniczne na Uniwersytecie Gregoriańskim, gdzie w latach 1886-1888 studiował je pod kierunkiem wybitnych ówczesnych kanonistów o europejskiej sławie. Studia te zakończył zdobyciem stopnia naukowego doktora prawa kanonicznego 24.VII.1888 roku. W Rzymie poznał młodego, ale rojującego świetną przyszłość krakowskiego uczonego ks. dr Józefa Bilczewskiego (1860-1923), późniejszego lwowskiego metropolity, a zarazem swego poprzednika na stolicy arcybiskupów łacińskich we Lwowie, z którym łączyła go później przyjaźń i współpraca. Po powrocie do Lwowa, ks. dr Twardowskiemu powierzono w roku akad. 1888/89 obowiązki prefekta studiów w Seminarium Duchownym, które pełnił do roku 1895. W sierpniu 1889 r. powołano go dodatkowo na stanowisko zastępcy katechety w Seminarium Pedagogicznym Męskim we Lwowie, a 27.VI.1893 r. objął tamże pełny etat. Jednocześnie w lutym 1890 r. ks. Twardowski otrzymał nominację na zastępcę egzaminatora nauki religii dla kandydatów do zawodu nauczycielskiego w szkołach państwowych, a trzy lata później został mianowany egzaminatorem dla nauczycieli lwowskich szkół ludowych.

Niewiele zachowało się przekazów o udziale ks. Twardowskiego w życiu archidiecezji lwowskiej — poza już wspomnianymi — z tego okresu. Zapewne całą jego aktywność pochłaniała praca wychowawcy seminaryjnego i katechety wraz z towarzyszącymi jej zajęciami. Wiadomo ponadto, że w 1893 r. przystąpił on do popularnego wśród duchowieństwa Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów o celach samopomocowych i religijno-ascetycznych. Tego samego roku wygłosił rekolekcje zorganizowane przez Bractwo Królowej Korony Polskiej dla ok. 300 terminatorów w katedrze ormiańskiej we Lwowie. Kilkuletnie doświadczenia w pracy duszpasterskiej, ale chyba nade wszystko rzetelna wiedza prawnicza zadecydowały, że w marcu 1895 r. abp S. Morawski powierzył 34-letniemu wówczas ks. Twardowskiemu odpowiedzialne stanowisko kanclerza i referenta Konsystorza Metropolitalnego obrz. łac. we Lwowie. Ciężar gatunkowy nowego urzędu łatwiej zrozumieć, jeśli zważy się, iż życie 86-letniego metropolity Morawskiego miało się już ku końcowi, on zaś sam z natury rzeczy nie był w stanie objąć wszystkich aspektów życia rozległej archidiecezji lwowskiej. W tej sytuacji rządy Kościołem lwowskim spoczywały de facto na barkach biskupa pomocniczego Józefa Webera (1856-1918), wspomnianego przez kanclerza. Oprócz wspomnianej funkcji, ks. Twardowski objął redakcję „Kurrendy Konsystorza Metropolitalnego obrządku łacińskiego we Lwowie” oraz został spowiednikiem zwyczajnym Sióstr Benedyktynek i nadzycząnym Sióstr Karmelitanek we Lwowie.

Z tą ostatnią wspólnotą zakonną związał się szczególnie mocno na całe życie a nawet dłużej, bowiem zgodnie z jego życzeniem ofiarował swoje serce po śmierci Sioström Karmelitanek, które umieściły je w urnie chóru zakonnego, a po II wojnie zabrały je do klasztoru we Włocławku. Kiedy arcybiskup Bilczewski poszukiwał odpowiedniego kandydata na wakującą parafię w Tarnopolu, ks. Twardowski przyjął jego propozycję.

## II. Tarnopolski duszpasterz

W grudniu 1902 r. nowy proboszcz objął kanonicznie placówkę w Tarnopolu. Jednym z rozlicznych zadań, jakim musiał stawić czoła była pilna kwestia budowy nowego kościoła parafialnego, bowiem od 1784 roku, kiedy to władze austriackie wydały nakaz rozbiórki starej i grożącej zawaleniem fary, centrum życia religijnego mieściło się tymczasowo w kościele i klasztorze OO. Dominikanów, udostępnionych na siedzibę parafii. Dzięki swej energii, już w lipcu 1903 r. ks. Twardowski otrzymał plany projektowanej świątyni, sporządzone przez kierownika katedry rysunku ręcznego i ornamentowego na Wydziale Architektonicznym Politechniki Lwowskiej — prof. Teodora Talowskiego. Nadzór techniczny nad budową objął bezinteresownie inż. Stefan Neuhoff. Dzieło wzniesienia Domu Bożego zjednoczyło wysiłki wszystkich niemal stanów społecznych miasta i okolicy. Dzięki nim, po 120 latach nieobecności kościoła parafialnego w panoramie Tarnopola 8.IX.1904 roku abp J. Bilczewski poświęcił kamień węgielny na parceli ofiarowanej przez Magistrat. Cztery lata później, w rekordowym wręcz jak na ówczesne warunki terminie, 11.X.1908 r. metropolita lwowski J. Bilczewski dokonał poświęcenia neogotyckiej świątyni pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Potem przysłała kolej na stopniowe wyposażenie wnętrza. I tak w 1909 r. z fundacji rodziny Franców ks. Twardowski otrzymał statuetkę Matki Bożej, umieszczoną w bocznym ołtarzu lewej nawy, natomiast latem następnego roku rodzina Puntscherów ofiarowała figurę Chrystusa Ukrzyżowanego, zainstalowaną w ołtarzu bocznym prawej nawy. Natomiast w prowizorycznym ołtarzu głównym królowała wizerunek M.B. Nieustającej Pomocy przeniesiony z kościoła OO. Dominikanów. Abp J. Bilczewski zanotował w swoim dzienniku po jednej z licznych wizyt w 1911 roku: „Pocziwy X. Twardowski cudu dokazał w zbudowaniu tak wspaniałego kościoła i w jego urządzeniu. Także praca w parafii idzie pięknie”. Ostatecznie zakończenie prac nad całkowitym wystrojem wnętrza kościoła przypadło dopiero na rok 1933, kiedy to były proboszcz tarnopolski sprawował rządy w archidiecezji lwowskiej w randze arcybiskupa-metropolity. Wykonano wówczas ołtarz według projektu inż. Wawrzyńca Dajczaka ze Lwowa z alabastrowymi rzeźbami dłuta Janiny Reichertówny oraz pokryto wnętrze polichromią. Twórcą tegoż dzieła był lwowski artysta malarz Paweł Gajewski. Uroczystość konsekracji świątyni celebrował abp B. Twardowski 23.IV.1933 roku. Trzeba przy tym dodać, iż zarówno kościół jak i parafia tarnopolska przez cały pontyfikat metropolity stanowiła dlań przedmiot niesłabnącego zainteresowania i serdecznej troski.

Oprócz świątyni tarnopolskiej zainicjował ks. Twardowski szeroką akcję budowy kościołów i kaplic na terenie wiosek afiliowych do parafii tarnopolskiej oraz w całym dekanacie. Obiekty te miały — w rozumieniu ich twórcy — pełnić funkcję ośrodków życia religijno-narodowego polskiej społeczności na Ziemi Tarnopolskiej. Tak więc na przestrzeni 11 lat wybudował kolejno kaplice w wioskach: Dołżanka (1903), Hłuboczek Wielki (1904), Petryków (1906) oraz rozbudował istniejącą świątynię w Janówce. Podobnie na terenie dekanatu tarnopolskiego doprowadził do powstania kilkunastu kościołów i kaplic: Krasówka (1906), Czernichowice (1906), Zarudzie (1906), Ditkowice (1907), Skomorochy (1908), Kretowce (1909), Iwańczany (1909), Zaścianka (1910), Załuże (1910), Hławcze (1911), Netreba (1912), Romanówka (1912), Toustolug (1913), Czarny Las (1913) i Kozłówka (1914). Ten imponujący katalog daje pewne pojęcie o szerokim spojrzeniu duszpasterza na funkcję Kościoła w życiu polskich środowisk wiejskich na południowo-wschodnich rubieżach archidiecezji lwowskiej.

Rozmachowi w dziedzinie inwestycji budowlanych towarzyszyła nie mniejsza aktywność ks. Twardowskiego na polu społeczno-religijnym. I tak dla objęcia opieką uczącej się młodzieży sprowadził do Tarnopola kilka żeńskich zgromadzeń zakonnych. W 1905 r. zaprosił do parafii wygnane z Francji siostry ze Zgromadze-

nia św. Józefa, którym powierzył nowo wybudowany i erygowany pensjonat dla córek zamożnych rodzin. Dwa lata później przyjął jego ofertę Siostry Dominikanki z Wielowsi w diecezji przemyskiej, poświęcając się misji prowadzenia internatu dla uczennic szkół żeńskich. Nieobce mu też były zagadnienia rozwoju szkolnictwa różnych stopni w Tarnopolu i okolicy; 6.XI 1907 r. dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach „Bursy Włościańskiej” TSL, a 18.XI.1911 r. pod budynek Gimnazjum Polskiego. W 1903 r. wszedł do Rady Szkolnej Okręgowej w Tarnopolu jako delegat Konsystorza Metropolitalnego lwowskiego, po czym dwa lata później został mianowany komisarzem Konsystorza do spraw szkół średnich.

Okres proboszczowania ks. Twardowskiego w Tarnopolu zaznaczył się również jego udziałem w pracach Rady Miejskiej; w wyniku wyborów uzupełniających w grudniu 1906 r. otrzymał on mandat radnego, co niewątpliwie ułatwiło mu realizację wielu projektów religijno-społecznych na rzecz lokalnej wspólnoty. Zarysowane tu pobieżnie osiągnięcia ks. Twardowskiego miały ostatecznie jeden cel: służbę Kościołowi oraz powierzonym mu wiernym. Wszelkie więc poczynania nosiły wyraźny charakter pastoralny, czego dowodzi również zachowana bogata korespondencja z abp. J. Bilczewskim. Dzięki umiejętnemu doborowi współpracowników, ks. Twardowski w dość krótkim czasie zdołał gruntownie przobrazić duchowe oblicze nie tylko parafii, ale też miasta i okolicy. O wynikach pracy ks. Twardowskiego w kilka lat po jego przybyciu do Tarnopola informował papieża Piusa X abp J. Bilczewski: „...zaledwie 4 lata tam będąc i już oblicze całej parafii na lepsze zmienił...”. Działalność szeroko znanego w Ziemi tarnopolskiej kapłana spotykała się b. dużą aprobatą władzy duchownej. Dowodem były przyznawane mu odznaczenia i godności np. w 1902 r. otrzymał on tytuł szambelana papieskiego. Abp J. Bilczewski upatrywał w nim godnego kandydata na biskupa pomocniczego archidiecezji lwowskiej. Po uzyskaniu pozytywnej opinii namiestnika Galicji Andrzeja Potockiego co do osoby kandydata, abp J. Bilczewski pismem z 5.VI.1906 r. przedstawił w tej sprawie formalną prośbę papieżowi Piusowi X. Pismo to nie przyniosło wszakże pożądanego skutku. Po dwóch latach, 3.XI. 1908 r. metropolita ponownie interweniował u Stolicy Apostolskiej w tej samej sprawie. Ale i tym razem nie spełniły się oczekiwania. Wręcz przeciwnie, w 1906 r. sakrę biskupa pomocniczego archidiecezji lwowskiej obrz. łac. otrzymał dotychczasowy kanclerz Konsystorza Biskupiego w Krakowie — ks. dr Władysław Bandurski (1865-1932), nie będący bynajmniej kandydatem abp. J. Bilczewskiego, ale wysunięty na to stanowisko przez osobistego sekretarza Piusa X — ks. dr. Adama Stefana Sapiehę. Zaistniałych faktów nie sposób było zmienić. Pomimo tego lwowski metropolita nie

zrezygnował z prób pozyskania ks. Twardowskiego do grona najbliższych współpracowników u swego boku, nosząc się z zamiarem ściągnięcia go do Lwowa. Wskazują na to notatki abp. J. Bilczewskiego w podręcznym dzienniku pod datą 1913 roku, informujące o wizycie tarnopolskiej delegacji z podziękowaniem za pozostawienie ks. Twardowskiego na dotychczasowym miejscu. Zdaniem delegatów, jego odejście przyniosłoby stratę dla całego Podola, w samych zaś Tarnopolu uzyskałoby dominację sferę ukraińskie. Wybuch I wojny światowej spowodował zwłokę w realizacji planów abp. Bilczewskiego. Lata wojny przyniosły dla ks. Twardowskiego nowe obowiązki. Kiedy działania wojenne zataczały coraz szersze kręgi, abp Bilczewski z obawy przed przerwaniem stałej łączności województwa tarnopolskiego ze Lwowem powierzył ks. Twardowskiemu w 1915 r. funkcję wikariusza generalnego dla wschodniej części archidiecezji lwowskiej odciętej od jej stolicy linią frontu. Nominat, ryzykując utratę wolności, spełnił nałożone nań zadania z całą odpowiedzialnością za losy Kościoła i wiernych w czasie rosyjskiej okupacji Galicji. Wraz ze swymi współpracownikami zrezygnował z opuszczenia miasta, pozostając na miejscu. Po załamaniu ofensywy rosyjskiej latem 1915 roku wycofujące się z Galicji Wschodniej wojska nieprzyjacielskie uprowadziły ze sobą grupę zakladników tarnopolskich, a wśród nich również ks. Twardowskiego. Dotarł on już do Podwołoczysk na granicy rosyjsko-austriackiej, skąd po kilkunastu dniach powrócił do Tarnopola dzięki interwencji polskiego oficera w rosyjskiej służbie. Niezwłocznie przystąpił do pracy duszpasterskiej i organizacyjnej, bowiem działania wojenne spowodowały znaczne szkody tak w wymiarach moralno-religijnych, jak i materialnych, m.in. jego inicjatywą było zorganizowanie dla pozbawionej nauki szkolnej młodzieży cyklu spotkań i konferencji religijnych w obrębie budynków parafialnych. Odbudowy wymagał gmach kościoła parafialnego wskutek doznanych zniszczeń.

Dobiegający końca 15 rok pasterzowania w Tarnopolu przyniósł nowe rozstrzygnięcia w życiu ks. Twardowskiego. Wyczerpany zapewne trudami kierowania rozległą parafią, ale chyba w nie mniejszym stopniu odpowiadając na sugestie abp. J. Bilczewskiego, jesienią 1917 roku zgłosił rezygnację z probostwa i gotowość przejścia do Lwowa. Tarnopol opuścił wszakże dopiero 6.V.1918 roku, obejmując kanonię w Kapitułe Metropolitalnej we Lwowie jako prałat-scholastyk. Odtąd, u progu Odrodzonej Rzeczypospolitej, otwierał się przed nim nowy a zarazem najważniejszy okres życia brzemiennej w przeżycia natury osobistej, kościelnej i narodowej.

c.d.n.

ks. Józef Wolczański

## Kresowy ministrant fragmenty wspomnień

MIECZYŚLAW GAWŁOWSKI

Zostać ministrantem, służyć do Mszy Św. oto marzenia w tamtych latach wielu kresowych pierwszokomunijnych chłopców i ich rodzin. Było to jednoczesne wyróżnienie za nienaganne sprawowanie i bardzo dobre postępy w nauce szkolnej z religią włącznie. Takie kryteria stosował przed ponad półwiekiem proboszcz parafii Zabójki, położonej na Podolu w powiecie i województwie tarnopolskim. W ten sposób autor wspomnień znalazł się w 1938 roku wśród grupki „świeżych” ministrantów. Wieś Zabójki uzyskała status parafii tuż przed pierwszą wojną światową w 1914 roku po wybu-

dowaniu z ofiar około 400 rodzin polskich kościoła. Ustanowienie parafii w Zabójkach kończyło kres uciążliwych wędrówek mieszkańców wsi do odległego o 6 km, małego miasteczka Kozłów — siedziby dotychczasowej parafii. Zresztą do Kozłowa chodzono lub jeżdżono furmanką połą drogą nie tylko do kościoła, ale też do lekarza, po zakupy itd. We wsi znajdowała się cerkiew grecko-katolicka, ale Polacy tylko wyjątkowo uczestniczyli w nabożeństwach. Proboszczem parafii, a jednocześnie urzędnikiem stanu cywilnego, nauczycielem religii w miejscowej szkole na kilka lat przed drugą wojną światową i podczas wojny, aż do momentu wysiedlenia razem z parafianami w 1945 roku na Ziemi Zachodniej był ksiądz Michał Karczewicz. Ksiądz Karczewicz to nie tylko wzorowy proboszcz, ale także propagator postępu w rolnictwie, czemu służyło wzorcowe parafialne gospodarstwo z nowoczesną agrotechniką, z chowem zwierząt gospodarskich w tym wspaniałych koni jeździeckich, prowadzono również na wysokim poziomie pasiekę.

Pomieszczenia plebanii wraz z zapleczem kuchennym były wykorzystywane na kursach zajęć gospodarstwa domowego, organizowanych przez koło gospodyń wiejskich. W czasie wojny był to

ośrodek myśli konspiracyjnej i patriotycznej miejscowej komórki AK. Tak więc autorowi wspomnień przyszło pełnić funkcję ministranta za probostwa ks. M. Karczewicza, który jako nauczyciel religii sam dokonywał wyboru spośród dzieci komunijnych do posługi przy ołtarzu. I tak się stało w 1938 roku, gdy po przyjęciu proboszcz wybrał nowych adeptów na ministrantów. Pierwsze wspomnienia ministranta giną w mrokach ponad półwiekowej przeszłości, tak samo jak większość towarzyszących temu zdarzeń. Przywodzą jednak na pamięć pierwsze publiczne wystąpienia przy ołtarzu w tej roli. Jak przenoszenie ciężkiego Mszału z jednej strony ołtarza na drugą, czy też trudności przy odmawianiu ministrantury po łacinie. Trudności te taktownie łagodził proboszcz, który organizował dla kandydatów kurs przygotowawczy obejmujący oprócz praktycznych zasad obsługi przy ołtarzu, także technikę uczenia się na pamięć trudnych wersetów łacińskich tekstów ministrantury. Do tego celu służyły wydane broszury. Fonetyka w nich była polska, ale tekst łaciński bez tłumaczenia. I trzeba było upływu lat, żeby dopiero w szkole średniej ucząc się łaciny zrozumieć treść z takim trudem wkuwanej ministrantury po łacinie. Prawidłowe nauczenie się ministrantury było podstawowym stopniem do opanowania doskonałości ministranta. Dlatego też w trakcie służenia do Mszy św. należało wsłuchiwać się w słowa kapłana, by we właściwym momencie włączyć się do dialogu. Biegle opanowanie pełnego tekstu ministrantury i praktyczne zastosowanie tej umiejętności podczas Mszy św. stanowiły o przydatności do „zawodu” ministranta. Niełatwą czynnością było również przenoszenie ze strony Lekcji na stronę Ewangelii i odwrotnie, ciężkiej księgi Mszału. Bywało tak, że niskiego wzrostu i słabej kondycji ministrant potykał się o stopnie ołtarza i upadał. Z pomocą innych podnosił się i Mszał przenosił na prawidłową część ołtarza. Ale ile taki delikwent przeżył to tylko on sam mógł powiedzieć. W kościele znajdowały się organy o napędzie ręcznym polegające na pompowaniu powietrza do miechów organowych za pomocą dźwigni ręcznej, czynność tę zwaną „kalikowaniem” wykonywał jeden lub więcej ministrantów (kalikantów). Była to dość uciążliwa praca wymagająca rytmicznego poruszania dźwignią, w przeciwnym razie ulegała zakłóceniu jakość tonów instrumentów. A organista pan Dudek wpadał wówczas we wściekłość i rzucał tym co miał pod ręką w nieszczęśliwego delikwenta.

Obserwując pracę dzisiejszych ministrantów przy obsłudze ołtarza to jest ona łatwiejsza od tej opisywanej. Liturgia odbywa się obecnie w języku polskim i odpada więc uczenie się łacińskiej ministrantury. Zasadniczą część liturgii łącznie z ministranturą odmawiają wierni wspólnie z kapłanem. Nie widać obecnie ministrantów z dzwonkiem i zapalonymi lampami towarzyszącymi kapła-

nowi niosącemu choremu sakramenty: komunię św. i ostatnie namaszczenie. Zaawansowani stażem ministranci uczestniczyli w obrzędach chrztu św., ślubach i pogrzebach. Wiele było dodatkowych zajęć w okresie Wielkiego Tygodnia. Gdy zamilkły dzwony, zastępowano je kołatkami, które obsługiwali ministranci.

Kościół w Zabojkach przeżywał kryzys podczas pierwszej okupacji radzieckiej w latach 1939-1941. Został on obłożony wysokim podatkiem, pod rygiem zamknięcia w razie niezapłacenia w terminie. Mobilizacja wiernych i hojne datki na tacę uchroniły kościół przed zamknięciem. Ks. Karczewicz osobiście dostarczał do kasy Rejonu zebrane ofiary. Podobnych trudności nie było pod okupacją niemiecką, ale podczas tej okupacji mieszkańcy przeżywali innego rodzaju represje. Niemcy urządzali niespodziewane łapanki na wiernych zgromadzonych w kościele. Młodych wywozili na roboty do Rechu. W takich sytuacjach ministranci mieli obowiązek stojąc na czatach donosić o grożącym niebezpieczeństwie. Szczególnie utkwiła w pamięci piszącemu procesja rezurekcyjna w 1944 roku, która odbyła się w normalnym trybie mimo działań wojennych. Na kościele znajdował się punkt obserwacyjny dla baterii dział ułokowanych nieopodal kościoła prowadzących w tym czasie ogień. Szczęśliwie procesja po trzykrotnym przejściu odbyła się bezpiecznie jak i dalszy przebieg Mszy świętej. Strachu było co niemiara gdyż front był jeszcze płynny i cała wioska mogła być w każdej chwili terenem działań wojennych.

Przyjemnie wspomina się okres służenia do Mszy św. do wybuchu wojny, kiedy dość często posługi w dniu powszednim trzeba było pełnić pojedynczo, wówczas wszystkie czynności spadały na jednego ministranta, był to moment indywidualnego sprawdzenia umiejętności z danego zakresu, a uśmiech i „Bóg zapłać” wyrażony przez księdza na zakończenie Mszy św. był swoistą nagrodą za wykonaną posługę.

Z żalem rozstawaliśmy się z kościołem i proboszczem w czasie ostatnich nabożeństw przed wyjazdem na Ziemię Zachodnią w 1945 roku, ks. Karczyński przebywał do końca ewakuacji parafii, której członkowie trafili do różnych stron Polski. Kapłan wyjechał ostatnim transportem jesienią 1945 roku. Przed wyjazdem zdjął nowe kościelne dzwony i zakopał w niewiadomym do tej pory miejscu. Nasze drogi od tego czasu rozstały się i nigdy się nie spotkałyśmy.

Po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną tylko doraźnie służyłem do Mszy św. Taka sytuacja zaistniała podczas pogrzebu mojej babci, kiedy z powodu braku miejscowego ministranta już jako dorosły człowiek taką funkcję wykonałem.

*Mieczysław Gawłowski*

## KOŁOMYJSKI WĘZEŁ KOLEJOWY

EUGENIUSZ DMYTRÓW

### Początki

Jeśli przyjrzeć się mapie dziewiętnastowiecznej Europy, a szczególnie mapie Austro-Węgier, łatwo zauważyć, że ziemia pokucka leżała na peryferiach Monarchii. Co więcej — była od stolicy, Wiednia oddzielona pasmem Karpat. W tej sytuacji jasne się staje pewne zacofanie cywilizacyjne regionu. Wszelkie nowości ze stolicy trafiały najpierw na Czechy i Morawy, później do Krakowa, stamtąd do Lwowa i dopiero stąd na południe i wschód. Środkowe lata dziewiętnastego wieku w Europie charakteryzują się gwałtow-

nym rozwojem nowego systemu komunikacyjnego, jakim była kolej. Pierwszą linię kolejową w Austrii otwarto w 1837 roku. Dopiero w dwadzieścia lat później rozpoczęto prace projektowe nad budową linii Lwów-Czerniowce. Linię ostatecznie oddano do użytku w 1866 roku. Wiodła ona trasą aktualną do dziś, ze Lwowa, przez Chodorów, Stanisławów, Kołomyję i Śniatyn.

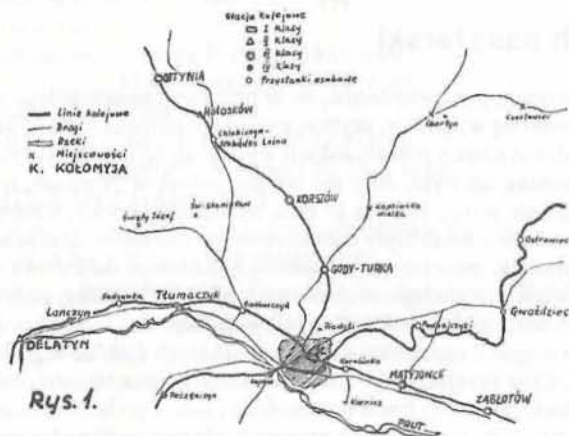
Odkrycie złóż ropy naftowej i gazu ziemnego w Słobodzie Rungurskiej, stworzyło nowe możliwości gospodarcze dla Pokucia. Stanisław Szczepanowski, inżynier, geolog i działacz gospodarczy rozpoczął eksploatację tych złóż. Szybko okazało się, że niezbędne jest usprawnienie transportu pomiędzy kopalnią a rafineriami, zlokalizowanymi w Kołomyi i Wierbiążu. Towarzystwo Kolomeaer Localbahnen, którego głównym udziałowcem był St. Szczepanowski przystąpiło do budowy kolei w relacji Kołomyja-Słoboda Rungurska Kopalnia. Linię tę oddano do użytku w 1886 roku. Miała ona wówczas odgałęzienie, wiodące do Kniaźdwora. Inne towarzystwo — Ostgalizische Localbahnen — pobudowało w 1894 roku połączenie kolejowe Stanisławów-Delatyn-Jaremcze-Woronienka, które swym przedłużeniem poprzez Jasinę dawało łączność z Rusią Zakarpacką i Węgrami. Ta sieć została uzupełniona w 1899 roku

połączeniem Delatyn-Kołomyja i dalej z Horodenką, Jesienowem Polnym i Stefanesti. Tak więc cała sieć kolejowa regionu została zbudowana w XIX wieku. Kołomyja stała się ważnym węzłem kolejowym. Przemysł naftowy i łączność kolejowa ożywiły życie gospodarcze regionu, wzrosły możliwości zatrudnienia, a tym samym dobrobyt. Ludność miasta szybko się powiększała, przekraczając przed wojną światową 50 tys. mieszkańców.

Wojna światowa i odzyskanie niepodległości zmieniły sytuację regionu, w tym także węzła kolejowego. Pokucie nadal było na peryferiach, tym razem Rzeczypospolitej. Wojna wyłudniła częściowo miasto, nastąpiła znaczna pauperyzacja społeczeństwa. Połączenia Kołomyja-Czerniowce, Kołomyja-Jasina i Kołomyja-Zaleszczyki przez Horodenkę zostały przecięte granicami państwowymi. Niezależnie od przemian politycznych, wystąpiła jeszcze jedna zmiana, która wywarła negatywny wpływ na stan gospodarczy Pokucia. Złoża ropy i gazu w Słobodzie Rungurskiej okazały się ubogie i wydobywanie zaczęło gwałtownie spadać. Obie rafinerie kołomyjskie zamknięto po wojnie. W tej sytuacji połączenie kolejowe Kołomyja-Słoboda Rungurska nabrało lokalnego, drugorzędowego charakteru.

## Sieć kolejowa

Jak już wspomniano, sieć kolejowa regionu została ukształtowana w II połowie XIX wieku. Na rys. 1. przedstawiono trasy kolejowe wg stanu z lat trzydziestych. Sieć kolejowa zapewnia dogodną łączność miasta we wszystkich kierunkach, za wyjątkiem południowego. Główna linia kolejowa łączy Kołomyję ze Lwowem z jednej strony, a z Czerniowcami i Bukaresztem z drugiej. W przybliżeniu jest to trasa północ-południe. Boczne odgałęzienia, to dwa ważne kierunki. Jeden prowadzi do Horodenki i dalej do Zaleszczyk, częściowo przez terytorium Rumunii, a więc łączy Kołomyję z regionem rolniczym. Drugi zaś, na zachód, łączy Kołomyję z Delatynem, a dalej ze znanymi uzdrowiskami — Jaremczem, Tatarowem i Wiorochą. Kierunek południowo-zachodni, to kolej lokalna do Słobody Rungurskiej.



Kierunek stricte południowy nie miał bezpośredniego połączenia kolejowego. Wprawdzie Kołomyja miała łączność kolejową z Kutami, najbardziej na południe wysuniętym miastem polskim, ale poprzez Sniatyn, oraz rumuńskie stacje Oraseni i Wyżnicę. Tak więc cały obszar górzysto-leśny, leżący na południe od Kołomyi, pomiędzy Prutem a Czeremoszem, obejmujący takie miejscowości jak Jabłonów, Kosów (ze znanym domem uzdrowiskowym dra Tarnowskiego), Pistryń i największą wówczas wieś Polski-Żabie, był zdany na komunikację drogową.

Linie kolejowe kołomyjskiego węzła były jednotorowe. A tak nawiasem mówiąc, cała Małopolska Wsch. miała takie linie, za wyjątkiem tras Lwów-Kraków i Lwów-Złoczów. Same torowiska węzła były trojakiemu rodzaju. Na trasie do Słobody Rungurskiej

było typu lekkiego (masa szyny 24 kg/mb), na kierunkach Delatyn i Jasienów Polny — typu średniego (30 kg/mb). Na tych trasach szyny były mocowane do drewnianych podkładów przy pomocy gwoździ. W latach trzydziestych na głównej magistrali Lwów-Sniatyn wymieniono szyny na tzw. stalówki, ciężkiego typu, o długości 30m. Do podkładów mocowano je przy pomocy wkrętów i płytek. Takie torowisko stwarzało możliwość używania ciężkich parowozów i składów pociągów, a także pozwalało na wzrost prędkości pociągów do 120 km/godz. Ponadto takie torowisko było znacznie trwalsze i bezpieczniejsze.

W zależności od wielkości i znaczenia stacje PKP były podzielone na cztery klasy oraz przystanki osobowe. Na załączonym planie (rys.1) oznaczono klasyfikację stacji wg stanu z 1932 roku. Później, po likwidacji stanisławowskiej DOKP, większości stacji przydzielono klasę niższą o 1 stopień. Na rys. 2. pokazano plan stacji Kołomyja. Może on być obarczony pewnymi nieścisłościami i zachwianymi proporcjami, bowiem został odtworzony z pamięci po z górą 60 latach.

Długość torowiska głównego wynosiła około 2 km. Tory 1 i 2 były w zasadzie przeznaczone na przyjmowanie pociągów ze Lwowa i Sniatyna. Kierunek Delatyn był obsługiwany z toru 6, podobnie jak Jasienów Polny, tyle, że z drugiej strony dworca. Lokalkę odprawiano z toru 8. Pociągi towarowe zestawiono na torach nieparzystych, przy czym przetaczania odbywały się po zachodniej stronie placu. Tory 10, 12 i 14 były przeznaczone dla drobnicowych i wagonowych przeładunków towarów. Plac w pobliżu parowozowni służyły za ogromne składowisko węgla. Na rysunku, z braku miejsca nie pokazano drugiego, dużego rejonu przetokowego, poprowadzonego wzdłuż toru do Horodenki, zwanego jeszcze z czasów austriackich — ranżirką. A tak nawiasem mówiąc, język kolejarzy zawierał sporo „austriackich” germanizmów, jak np. wajcha, bremsszuh, hajc, hajcer, kupła, szybować, baumajster itd.

Cała stacja była oczywiście objęta pełną blokadą. Sam budynek dworcowy, zbudowany w XIX w. nie był pozbawiony swoistej urody. Peron, ciągnący się wzdłuż budynku i oddzielony od torów wymyślną balustradą metalową, miał piękną posadzkę z beżowych płytek i był zawsze sterylnie czysty.

## Tabor

W skład taboru wchodziły lokomotywy, wagony osobowe i wagony towarowe. Jeśli idzie o lokomotywy, to wówczas w powszechnym użyciu były parowozy. Kołomyjska parowozownia dysponowała parowozami, obsługującymi pociągi na trasach do Delatyna, Jesienowa Polnego, Zaleszczyk i Słobody Rungurskiej, a także do stałych prac przetokowych. Były to parowozy Ti 12 (23szt.), Tp 4 (4 szt.), Tr 11 (4szt.), Tkh 1 (3 szt.) i Tkh 18 (2 szt.). Pociągi na trasie do Lwowa i Sniatyna były obsługiwane przez parowozy z tych stacji. Pociągi towarowe, głównie przez ciężkie parowozy Tr 12, zaś osobowe bądź przez starsze, jeszcze austriackie 01 12, bądź przez nowsze, pochodzące z Chrzanowskiej Fabryki Parowozów, bardzo popularne Ok 22. Tuż przed wojną pokazały się parowozy pośpieszne o dużej prędkości i sile uciągu Pt 31. Oddzielną pozycję stanowiła lokomotywa spalinowa, wykonana w zakładach H. Cegielski w Poznaniu, a obsługująca pociąg motorowo-ekspresowy.

Kołomyjski węzeł dysponował wagonami osobowymi, obsługującymi te same kierunki, co parowozy. Były to wagony dwuosobowe, często z platformami u szczytów, w większości bezprzedziałowe. Trafiały się wagony trójosiowe. Pociąg składał się z wagonów 2 i 3 klasy, ale na głównej trasie była obowiązkowo także pierwsza. Wg ówczesnych norm siedzenia w wagonach 3 klasy były wykonane z listew drewnianych, zabezpieczonych kryjącym lub bezbarwnym lakierem. 2 klasa miała siedzenia miękkie, kanapowe, pokryte pluszem o odcieniu zielono-brązowym. 1 klasa miała siedzenia z czerwonego pluszu z białymi, koronkowymi zagłówkami. W przedziale 3 klasy było 8 miejsc, w drugiej 6, zaś w pierwszej — 4 miejsca. Mimo, iż parowozy dymyły potężnie — w wagonach było zdumiewająco czysto. Na trasie Sniatyn-Lwów pociągi składały się

z wagonów 4-osioowych, tzw. pullmannów. Na kilka lat przed wojną na tej trasie pojawiły się polskie wagony nowej generacji, bardzo estetyczne, z napisami informacyjnymi, grawerowanymi w płytach ze stali niklowej.

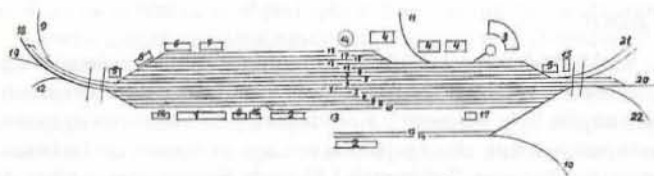
Tabor towarowy był intensywnie wymieniany pod koniec lat dwudziestych. Do tej pory w składzie pociągu co 8-10 wagonów musiał być wagon z ręcznym hamulcem. W nim, w specjalnej budce jechał kolejarz, tzw. hamulcowy, który na sygnał maszynisty był zobowiązany zacisnąć korbą hamulec. Pozostałe wagony składu były pozbawione układu hamulcowego. Te wszystkie wagony wycofano z obiegu, zastępując je nowymi, wyposażonymi w hamulce zespolone.

## Ruch towarowy

Ruch towarowy węzła kołomyjskiego był jakby odbiciem stanu gospodarczego regionu — Pokucia. Pokucie było regionem rolniczo-leśnym, pozbawionym przemysłu. Stąd też produkty rolno-leśne były głównie stąd wysyłane.

Na przełomie stuleci, gdy czynne i wydajne były kopalnie w Słobodzie Rungurskiej, towarem wysyłkowym były pochodne ropy naftowej. W okresie międzywojennym zaznaczył się proces odwrotny, ropę do jedynej czynnej rafinerii w Wierbiążu sprowadzono z Bitkowa lub Borysławia. Mówiąc o przewozie towarów trzeba poinformować, że składały się nań dwa rodzaje przesyłek, wagonowe i drobnicowe. Załadunek na wagony realizował zamawiający taką przesyłkę, do obowiązków kolei należało tylko terminowe podstawienie wagonów na rampę. Przesyłki drobnicowe były przyjmowane z reguły na magazyn, zaś załadunek odbywał się siłami PKP.

- |                   |            |
|-------------------|------------|
| 1. Drewno sztabki | 13. Żelazo |
| 2. Żelazo         | 14. Żelazo |
| 3. Żelazo         | 15. Żelazo |
| 4. Żelazo         | 16. Żelazo |
| 5. Żelazo         | 17. Żelazo |
| 6. Żelazo         | 18. Żelazo |
| 7. Żelazo         | 19. Żelazo |
| 8. Żelazo         | 20. Żelazo |
| 9. Żelazo         | 21. Żelazo |
| 10. Żelazo        | 22. Żelazo |



Rys.2. Plan stacji Kołomyja

Inne rodzaje przesyłek, a mianowicie bagażowe i ekspresowe były przewożone pociągami osobowymi, a więc nie podlegały pod ruch towarowy. Warto jednak przypomnieć o jednym szczególe, świadczącym o sprawności ówczesnych kolei. Otóż towary łatwo psujące się, jak owoce, ryby itp., nadane na ekspres, były przewożone szczególnie szybko. Na przykład szprotki lub śledzie, łowione w Bałtyku nad ranem i bezpośrednio po tym wędzone i pakowane w skrzynki, trafiały koło południa do pociągu dalekobieżnego w Gdyni, zaś w kołomyjskich sklepach kupowano je wczesnym popołudniem następnego dnia. Droga transportu — bagatela, ponad 1100 km. Na trasie do Jasienowa Polnego i Delatyna pociągi towarowe kursowały w miarę potrzeby. Trasa główna była obsługiwana przez dwie pary pociągów na dobę, towarowy nr 374 i pośpieszno-towarowy nr 9766. Pociąg towarowy zatrzymywał się na wszystkich stacjach, zabierając przesyłki wagonowe i drobnicowe i dostarczając je do stacji węzłowej-Kołomyi. Pociąg pośpieszno-towarowy nie zatrzymywał się na stacjach pośrednich. Pociągi kolei lokalnej były towarowo-osobowe.

Ruch towarowy w różnych latach miał różne natężenie. Od 1921 roku wzrastał on stopniowo, osiągając apogeum w 1930 roku. Później, na skutek światowego kryzysu przewóz towarów znacznie

się obniżył, aż do minimum w 1933 roku, po czym znów wzrastał aż do wojny. Także rytm przesyłek w ciągu roku wykazywał nierównomierność. W zimie, szczególnie w lutym był najmniejszy, a od czerwca do listopada — największy.

Jakie towary były przedmiotem obrotu na stacji Kołomyja? Wymieńmy kilka głównych grup np. w 1935 roku (przesyłki wagonowe):

Załadunek w tonach		Wyładunek w tonach	
Drewno surowe i obrabione	6146	Węgiel i koks	4066
Bydło i trzoda	1163	Ropa i przetwory	847
Rośl. strączkowe, gł. fasola	2967	Drewno surowe i obrabione	1630
Jaja	658	Zboża chlebne	654
Złom stalowy	279	Przetwory zbożowe	264
		Cukier	1608
		Piwo	1036

W sumie obrót roczny na stacji Kołomyja wynosił od 30 tys. do 40 tys. ton towarów. Kołomyję można było pod tym względem zaliczyć do średnich stacji Polski pół.-wschodniej. W Wielkopolsce, a szczególnie na Śląsku masa przewożonych towarów była wielokrotnie większa, co w sposób oczywisty było związane z wyższym rozwojem gospodarczym.

Dokąd szły wysyłki z Kołomyi? Większość była kierowana na teren woj. stanisławowskiego. Na drugim miejscu były porty Gdańsk-Gdynia, a następnie w kolejności woj. śląskie, lwowskie i tarnopolskie. Jeśli idzie o towary dostarczane do Kołomyi, kolejność była następująca: woj. stanisławowskie, lwowskie, wołyńskie i śląskie. Eksport towarów z regionu nie był zbyt duży. Np. w 1933 roku wysłano z Kołomyi do portów 209 wagonów drewna, 102 wagony fasoli i 5 wagonów jaj. Drogą lądową wyeksportowano m. in. do Niemiec 25 wagonów fasoli, 12 wagonów jaj i 2 wagony mięsa, do Austrii 82 wagony mięsa i 4 wagony żywca, do Czechosłowacji 19 wagonów jaj, 6 wagonów fasoli i jeden wagon skór. Oczywiście powyższe dane nie są kompletne, zresztą nie o to chodzi, ale dają pewien pogląd na ówczesny obrót towarowy, jego rodzaj i wielkość.

## Ruch pasażerski

Truizmem jest twierdzenie, że w przedwojennych kolejach podróżowało się wygodnie, szybko, czysto i punktualnie. Po 45 latach złych doświadczeń peerelowskich wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak tak było. Aby nie popaść jednak w przesadę, trzeba uświadomić sobie, że była to inna technicznie epoka. Królowała trakcja parowa, szlaki były jednotorowe, profile torów dostosowane generalnie do mniejszych prędkości. Z Kołomyi do Lwowa (195 km) jechało się pociągiem osobowym ponad 4 godziny, pośpiesznym blisko 3 godziny. Ale czas przejazdu wprowadzonym w 1937 roku pociągiem motorowo-ekspresowym skrócił się do 2 godz. i 7 minut. Czas przejazdu do Delatyna trwał 1 godz.10 min., zaś do Horodenki, na krętej trasie o długości 54 km. 1 godz. 36 minut.

Oczywiście, z wiadomych przyczyn, nie ma możliwości porównania prędkości pociągów węzła kołomyjskiego ze współczesnymi. Ale można takie porównanie przeprowadzić na innym terenie, np. na trasie Poznań-Katowice. W 1939 roku pociąg pośpieszny miał czas przejazdu 4 godz. 58 minut, zaś w 1995 roku „Wielkopolanin” pokonuje tę trasę w 4 godz.52 min.

Może warto przypomnieć godziny odjazdów i przyjazdów pociągów na stacji Kołomyja w 1939 roku.

### Odjazdy

(p — oznacza pociąg pośp, a MTE pociąg motorowo-ekspresowy)  
 Kierunek Lwów: 1:34-5:53 MTE — 6:02-9:28p-10:25-16:00-18:12-19:56p  
 Kierunek Śniatyn: 3:49p-8:45-11:53-15:19-19:26-19:57p  
 Kierunek Jasienów Polny: 4:10-9:56-12:06-16:14



Kierunek Delatyn: 7:40-16:10

Kierunek Słoboda Rungurska: 8:50-15:22-20:24

#### Przyjazdy

Kierunek Lwów: 3:45p-8:43-9:49-11:47-15:13-19:21-19:54p-21:26 MTE

Kierunek Śniatyn: 1:32-5:51-9:27p-10:21-15:47-19:40p

Kierunek Jasienów Polny: 7:20-15:35-18:04-19:34

Kierunek Delatyn: 7:36-20:19

Kierunek Słoboda Rungurska: 7:55-14:40-18:45

Jak wcześniej wspomniano, pociągi miały wagony 2 i 3 lub 1, 2 i 3 klasy. Tylko pociąg motorowo-ekspresowy miał wagony bez klas, wszystkie miejsca były równe.

Na stacji w Kołomyjach działały stale dwie restauracje, oddzielnie dla klas 1 i 2, oddzielnie dla klasy 3, dalej bufet, poczta peronowa i przevożne barki z kanapkami i napojami.

Mówiąc o ruchu pasażerskim nie sposób pominąć ceny biletów. W relacji Kołomyja-Lwów za bilet 3 klasy pociągu osobowego trzeba było zapłacić 10.20 zł. Bilet 2 kl. był o 50 %, a 1 kl. o 100% droższy. Analogicznie bilet do Horodenki kosztował 3 zł, a do Delatyna 2.20 zł. Dość powszechna była opinia, że przed wojną ceny biletów kolejowych były wysokie. Trudno się do tej opinii jednoznacznie ustosunkować. Może warto tylko dodać, że obecne ceny biletów PKP (grudzień 1994 r.) w przeliczeniu na dolary są ponad dwukrotnie wyższe.

## Podział organizacyjny

Według ówczesnych schematów kolej dzieliła się na pionry, zwane służbami. W odniesieniu do stacji Kołomyja ten podział przedstawiał się następująco:

### SŁUŻBA DROGOWA

Oddział Drogowy.

Naczelnik inż. Tadeusz Kobylański do 1934 roku.  
inż. Kazimierz Mastalerz od 1934 roku.

Odcinek drogowy II kl.

Zawiadawca Józef Sagasz

### SŁUŻBA RUCHU I HANDLOWA

Stacja I kl.

Zawiadawca Henryk Ferus do 1936 roku

Józef Cieszyński do 1936 roku

Ekspedycja Towarowa I kl.

Kierownik Józef Cieszyński do 1936 roku.

Zygmunt Modlinger od 1936 roku.

### SŁUŻBA MECHANICZNA

Parowozownia II kl. Zawiadawca Bronisław Ilnicki

### SŁUŻBA ELEKTROTECHNICZNA

Odcinek Sygnalowy I kl. Kołomyja 1. Zawiadawca Józef Kliś

Kołomyja 2. Zawiadawca Józef Rymarz

### SŁUŻBA SANITARNA

Dr Aleksander Wasilewski

## Organizacje społeczne

Spoleczne organizacje, działające na terenie węzła Kołomyjskiego były typowe, właściwe także dla innych większych stacji. W pierwszym rzędzie należy wymienić Związek Zawodowy Kolejarzy. Powstał on w połowie lat trzydziestych, niezależnie od działających wcześniej 16 związków grupowych, jak np. Zw. Zaw. Pracowników Kolejowych RP, Bezpartyjny Zw. Zaw. Maszynistów Kolejowych, Zw. Zaw. Drużyn Konduktorskich itd. Statutowym zadaniem ZZK była obrona interesów zawodowych ogółu członków, niesienie pomocy materialnej jak np. odprawy emerytalne, zapomogi pośmiertne, pomoc prawną, a także troska o podniesienie poziomu kulturalnego i wiedzy fachowej członków itd.

Inną organizacją była Rodzina Kolejowa. Powstała ona na podstawie decyzji Ministra Komunikacji z dn. 28.03.1934 roku. Wcześniej działały różne organizacje, mające na celu akcję humanitarną i

kulturalno-oświatową, ale o działaniu mało skoordynowanym. Statutowo Rodzina Kolejowa zajmowała się opieką nad zdrowiem pracowników kolejowych i ich rodzin, opieką wychowawczą nad dziećmi (przedszkola), pomocą ekonomiczną i prawną, a także prowadzeniem instruktażu gospodarczego. Rodzina kolejowa w Kołomyjach organizowała dla dzieci i młodzieży coroczne podróże krajoznawcze po Polsce, kolonie letnie w Worochcie, półkolonie w Łanczynie i pomagała w zakresie lecznictwa sanatoryjnego.

Myślę, że dla przybliżenia tej działalności warto posłużyć się dwoma konkretnymi przykładami. Przy Rodzinie Kolejowej działał zespół teatralny, nawet z pewnymi ambicjami artystycznymi. Zespół składał się z kolejarzy i ich żon i wystawiał dość zgrabnie sztuki. Z okazji świąt państwowych sztuki miały charakter patriotyczny. Natomiast w okresie Bożego Narodzenia wystawiano baśnie, niekiedy o podłożu religijnym. Te ostatnie były odgrywane z reguły przy współudziale dzieci. Na ile pamiętam, widownia była zawsze wypełniona do ostatniego miejsca i nie szczydziła braw.

Półkolonie letnie w Łanczynie odbywały się w dwóch miesięcznych turnusach, w lipcu i sierpniu. Pierwszy turnus obejmował dziewczynki, drugi chłopców w wieku 10-18 lat. Codziennie, oprócz niedziel, wyjeżdżano do Łanczyna o 7<sup>40</sup>, wracano o godz. 20<sup>00</sup>. Pobyt w Łanczynie trwał więc 11 godzin. Na boczniczy tej stacji stały dwa wagony, jeden zaadoptowany na jadalnię, drugi na świetlicę. Dzień rozpoczynano apelem, następnie serwowano śniadanie, złożone z pieczywa, masła, wędlin, dżemu i dużego kubka kakao. Później, przy słonecznej pogodzie, a ta zwykle nie zawodziła, maszerowano nad Prut, który był tam krystalicznie czysty, ale znacznie cieplejszy, niż w Jaremczu, czy Worochcie. Kapano się do obiadu. Obiad był złożony z trzech dań. Po południu grano zwykle w siatkówkę, w „główki”, improwizowano zabawy i gry ruchowe. O godz. 18<sup>00</sup> była kolacja, później apel i odjazd do domu. W razie gorszej pogody, do południa grano w piłkę nożną lub prowadzono zajęcia świetlicowe. Obfite i smaczne jedzenie, stały ruch i życie grupowe stanowiły o atrakcyjności półkolonii.

Kolejną organizacją węzła było Kolejowe Przyniesienie Wojskowe KPW. Ta organizacja miała za zadanie rozwijanie wyszkolenia kolejowo-wojskowego, propagowanie i rozwijanie działalności sportowej, pogłębianie nurtu patriotycznego, a także działalność kulturowo-oświatową. W węzle kołomyjskim były prowadzone kursy i szkolenie o charakterze gospodarczym, np. propagowanie pszczelarstwa, hodowli jedwabników itp. KPW organizowało liczne odczyty, współdziałało przy organizacji obchodów rocznic historycznych. Godny podkreślenia jest fakt, iż w kołomyjskim oddziale KPW działała prężnie duża orkiestra, będąca obok znakomitej orkiestry wojskowej, wizytówką miasta.

Organizacją czysto młodzieżową była 3. Kolejowa Drużyna Harcerska. Barwa chust-bordowa. W połowie lat trzydziestych drużynowym był Lucjan Hołowaty, później na krótko Józef Huber. Niestety, pamięć zawiodła, jeśli idzie o ostatniego drużynowego przed wojną.

## Obsada personalna

Pracownicy PKP dzielili się na etatowych, stałych, praktykantów i sezonowych. Zasadniczy trzon stanowili pracownicy etatowi, była to kadra dobrze przygotowana do pełnienia swych funkcji i nieźle uposażona. Pracownicy etatowi byli podzieleni na 14 grup uposażenia. Miesięczna płaca podstawowa wynosiła od 100 zł (gr.14) do 1000 zł (gr.1). Faktyczna płaca realna brutto była o 50-120 % wyższa, bowiem przysługiwały różne dodatki. Do przywilejów pracowników PKP można zaliczyć służbowe umundurowanie, ulgi w przejazdach i deputat węglowy. Pomijając sprawę umundurowania, w szczegółach znacznie złożoną, wymienimy ulgi przejazdowe. Pracownicy i członkowie ich rodzin mieli prawo do 80% zniżki w przejazdach w klasie im przysługującej, a oprócz tego pracownik miał co roku 12 bezpłatnych przejazdów na dowolnie wybranych trasach w obrębie Państwa, zaś rodzina 3 takie przejazdy. Pracow-

nicy w grupach 1-5 mieli prawo przejazdu 1 klasą, w grupach 6-9 — drugą klasę, pozostali trzecią.

Deputat węglowy dotyczył przydziałów węgla po cenach ulgowych w ilości zależnej od pory roku i wielkości mieszkania. Roczny deputat był zawarty w granicach 3-8,8 ton.

Pracownicy kołomyjskiego węzła zaliczali się oczywiście do różnych grup uposażenia. Najwyższą miał inż. Kobylański — piątą (390 zł. uposażenia zasadniczego). Zawiadowcy mieli grupę 6 lub 7, dyżurni ruchu i maszyniści 8 lub 9, kierownicy pociągów grupę 10, zaś konduktorzy grupę 12, tj. 150 zł uposażenia zasadniczego. Tak na marginesie — minister miewał zwykle grupę 2, wiceministrowie — grupę 3, zaś dyrektorzy DOKP grupę 4, a nawet 5. Jeśli jest już mowa o pieniądzach, myślę, że warto przedstawić jeszcze jedno zjawisko z tym związane. Nie wiem, czy było ono powszechnie w całym kraju, czy tylko na kresach. Otóż pewne kategorie pracowników PKP miały wcale niegorsze dochody z tak zwanych po wschodniemu bakszyszów. Dotyczy to pracowników, mających bezpośredni kontakt z klientami, zamawiającymi przesyłki wagonowe lub drobnicowe, a nawet bagażowe. Otóż taki handlowiec odwdzięczał się zwyczajowo za dobrą usługę (a tylko takie były) kilkoma lub nawet kilkudziesięcioma złotymi, zależnie od wielkości i wartości przesyłki. W żadnym wypadku nie miało to charakteru łapówki, gdyż obie strony wiedziały doskonale, iż usługa będzie zawsze wykonana rzetelnie, lecz czymś w rodzaju napiwku w restauracji, czy hotelu. Stąd też pracownicy szczególnie służb handlowych uchodzili za dobrze sytuowanych, co też odpowiadało prawdzie. Pisząc o sprawach personalnych, myślę, że warto poruszyć kilka ciekawostek.

Pierwsza dotyczy hierarchiczności. Otóż nadmiernie chyba akcentowano wagę własnego stanowiska, czy stopnia służbowego wobec personelu niższego i to niekoniecznie bezpośrednio podległego. Na tym tle kwitła, wywodząca się jeszcze z CK Austrii, tytułomania. Anegdotyczna „pani kierownikowa wąskotorowa” nie tak daleko odbiegła od rzeczywistości. Nie do pomyślenia były bruderszafty pomiędzy pracownikami z różnych grup, nawet prywatnie zaprzyjaźnionymi. Przypominam sobie pewną „Ważną Os-

bistość” (proszę wybaczyć, że pominię nazwisko), która miała w zwyczaju przed przyjazdem pociągu wychodzić na peron i kroczyć dumnie tam i z powrotem. Nienaganny mundur, spodnie o nieskazitelnym kroju, półbuty, lśniące jak lustro i nadęta, ważna mina miały na pasażerach sprawiać takie wrażenie, jak chociażby opisana przez H. Sienkiewicza postać Janusza Radziwiłła „od której biła pycha, powaga i potęga”. Tymczasem, jak przy każdym przerysowaniu, skutek był zgoła odmienny, groteskowy, czy operetkowy, co nawet ja odczuwałem, jako mała osoba.

Nocne zmiany gromadziły na służbie sporą ilość pracowników. Obowiązków było znacznie mniej, niż w dzień, a sen raczej nie był mile widziany. Kwitły więc szachy. Na 64 polach zapominano o hierarchii służbowej, toczono ostre boje, a przegrana, nawet z podwładnym — nie hańbiła. Demokracja.

Trzecia sprawa, to kwestia protekcji i związanych z nią awansów. Może ten czynnik nie był powszechnie spotykany, tym niemniej istniał i funkcjonował na PKP (czy tylko?). Poparcie kogoś z DOKP, nie mówiąc o ministerstwie, często działało cuda i pozwalało o wiele łatwiej piąć się po szczeblach kariery.

I wreszcie problem — kolej i alkohol. Wydaje mi się, że ten problem nie istniał. Po prostu nie do pomyślenia było picie w pracy lub przyjeździe na służbę w stanie nietrzeźwym. Każdy szanował stanowisko i starał się rzetelnie pracować. Nie było mody na picie. Owszem po pracy, szczególnie w dni wypłaty, szło się do Szerla (przypominam, na rogu ul. 3 Maja), czy też do pobliskich knajpek Fałszyckiego lub Kejwana na bombę piwa, czasem dwie, zagryzione kwargłami lub preclm (co za smak, precla oczywiście). Bardziej spragnieni wypijali po kilka kieliszków czystej, no a zupełnie nieliczni — więcej.

W sumie na stacji Kołomyja pracowało 180-190 pracowników etatowych i 180-190 pracowników stałych. Liczba pracowników sezonowych była zmienna i jest trudna do ustalenia. Miło mi będzie, jeśli któryś z Czytelników natrafi na nazwisko swego ojca lub dziadka.

Eugeniusz Dmytrów

*Wanda Siemaszkowa należała do tej grupy wybitnych aktorów polskich przełomu XIX i XX wieku, których często określa się mianem „gwiazd wędrownych”. Często zmieniała miejsce pracy z rzadka zatrzymując się gdzieś na dłużej, na dwa, trzy, góra cztery sezony. Bardzo dużo podróżowała, zarówno występując gościnnie, jak i objeżdżając Polskę i nie tylko Polskę, z kierowanymi przez siebie zespołami wędrownymi.*

## Wanda Siemaszkowa we Lwowie

DARIUSZ KOSIŃSKI

Dłużej niż na cztery sezony zatrzymała się w dwóch tylko miastach — w Krakowie i we Lwowie. W pierwszym z tych miast debiutowała i odnosiła swe największe sukcesy, w drugim zaś przebywała łącznie dwadzieścia trzy sezony, czyli ponad jedną trzecią swego artystycznego żywota. Pierwsze jej lwowskie występy odbyły się jeszcze na scenie starego teatru skarbkowskiego, ostatnie miały miejsce w roku 1941, w budynku przy ulicy Jagiellońskiej, gdzie mieścił się wyrucony przez władze radzieckie ze swego gmachu teatr polski. Między tymi dwoma występami rozciąga się cała dwudziestowieczna historia polskiej sceny zawodowej we Lwowie, historia, której Siemaszkowa była aktywną uczestniczką i której za pośrednictwem jej losów można się przyrzyć z bliska.

Po raz pierwszy znalazła się aktorka we Lwowie we wrześniu 1894 roku. Choć od daty jej scenicznego debiutu minęło już siedem lat wciąż jeszcze była aktorką początkującą, znaną bardziej jako „żona swego męża”, popularnego komika Antoniego Siemaszki. Aktorskie małżeństwo przyjechało do Lwowa rozczarowane tym, że nowy dyrektor teatru krakowskiego Tadeusz Pawlikowski nie zaangażował ich do zespołu mającego występować w nowym gmachu przy placu św. Ducha. Powody dla których tego nie uczynił są dość niejasne, nie o nie zresztą tu chodzi.

Siemaszkowa po raz pierwszy na scenie teatru skarbkowskiego pojawiła się 18 IX 1893 roku jako Maria Czempelińska w sztuce „Oj męczczyźni, męczczyźni” Kazimierza Zalewskiego, zdobywając

sobie przychylność publiczności i krytyki. Przychylność ta towarzyszyła jej w trakcie całego pobytu stając się jednym z głównych czynników, dzięki którym mało znana aktorka dość szybko zyskała sobie uznanie, ujawniając swe zdolności i niemałe już umiejętności. Nadal wprawdzie, podobnie jak wcześniej w Krakowie, grała głównie młode, naiwne dziewczęta, ale coraz częściej powierzano jej role trudniejsze, bardziej odpowiedzialne, wymagające czegoś więcej niż ładna buzia i urok młodości. Bezprzecznym największym osiągnięciem aktorki w trakcie tego pierwszego lwowskiego sezonu była rola Małego Pierrotta w pantomimie M. Carrego „Syn marnotrawny” (premiera 17.II.1894), w której zachwycała urozmaiconą, subtelną a przy tym wyrazistą grą mimiczną.

Początek sezonu 1894/1895 przyniósł zmianę sytuacji w teatrze krakowskim, na skutek której od września na scenie przy placu św. Ducha zaczął występować Antoni Siemaszko, a w grudniu 1894 po raz pierwszy pojawiła się na niej jego żona kończąc tym samym swój pierwszy pobyt we Lwowie.

Po raz drugi przybyła tu w czerwcu 1898 roku wraz z gościnnie nad Pełtwią występującym zespołem teatru krakowskiego. Występy te stały się prawdziwym tryumfem Pawlikowskiego i jego aktorów. Siemaszkową powitano wprawdzie z wielką życzliwością, dostrzegając postępy, jakie poczyniła w ciągu kilku minionych lat, ale wyżej od niej oceniono grę Tekli Trapszo i Kazimierza Kamińskiego. Fakt ten nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę, że swoje największe artystyczne dokonania — Julię Chomińską we „W sieci” Jana Augusta Kisielewskiego i Młynarkę w „Zaczarowanym kole” Lucjana Rydla — miała jeszcze przed sobą.

Zupełnie inny charakter nosiły następne, także gościnne występy aktorki w styczniu 1905 roku. Lwowski Teatr Miejski mieścił się wówczas już w nowym, reprezentacyjnym gmachu, zaprojektowanym przez Zygmunta Gorgolewskiego, a jego pracami od pięciu lat kierował Pawlikowski, który podniósł scenę lwowską do rangi najważniejszej obok teatru krakowskiego polskiej placówki teatralnej. Siemaszkowa ciesząc się już sławą jednej z najwybitniejszych aktorek polskich swojego pokolenia pozostawała właśnie po raz pierwszy w swojej karierze bez stałego angażement. Wyrzucona w czerwcu 1904 roku z Warszawskich Teatrów Rządowych rozpaczliwie szukała nowego miejsca pracy. Nie udało jej się wejść w skład zespołu teatru krakowskiego i wiele wskazuje na to, że przyjazd do Lwowa miał na celu zapewnienie sobie stałej pracy w tym właśnie mieście. Ogromny sukces jaki odniósł po raz pierwszy tu prezentowane role Julki Chomińskiej, Młynarki czy Maryjki w „Sobótkach” Hansa Sudermanna zdawały się wróżyć powodzenie tych planów. Niestety kontrakcja podjęta przez niechętną Siemaszkowej, ukochaną dyrektora Konstancję Bednarzewską zniweczyła te nadzieje. Jedynym właściwie owocem półrocznego nieomal pobytu we Lwowie pozostał udział w prapremierowym przedstawieniu „Legendy” Stanisława Wyspiańskiego (26.I.1905), w której na życzenie autora zagrała Siemaszkowa Wandę.

To, czego nie mógł lub nie chciał uczynić Pawlikowski natychmiast zrobił jego następcą na stanowisku dyrektora teatru lwowskiego Ludwik Heller. Począwszy od pierwszego sezonu swej dykcji, sezonu 1906/1907 zaangażował on Siemaszkową na stałe, zapewniając jej pozycję pierwszej bohaterki i gwiazdy. Miała nie tylko prawo do włączenia do repertuaru teatru sztuk, w których wcześniej odniosła sukces, ale jak się wydaje, mogła także decydować o tym, jakie nowe pozycje z jej udziałem będą wprowadzone na scenę, często wybierając takie, które dawały jej możliwość popisania się swoimi umiejętnościami. Jednocześnie dyrekcja zgadzała się na jej częste wyjazdy na występy gościnne i recytacyjne tournées, co związane było z jej długotrwałą nieobecnością w macierzystym teatrze. Nic dziwnego, że mając tak świetne warunki Siemaszkowa została we Lwowie na najbliższe 13 lat. Przy tym wszystkim powie-

dzieć trzeba, że lata 1906-1918 nie należały do najlepszych w jej aktorskiej karierze. Zagrała wprawdzie kilka znakomitych ról na czele z kreacją pani Alving w „Upiorach” Henryka Ibsena, ale zarówno intensywność pracy twórczej, jak i ranga poszczególnych występów odbiegała od poziomu, jaki osiągała w najlepszych latach spędzonych przez aktorkę w Krakowie i Warszawie. Bardzo często grała Siemaszkowa postacie namiętnych, bardzo emocjonalnie reagujących kobiet, które po Julce Chomińskiej i Młynarce uznawano za jej specjalność i które odtwarzała zawsze dobrze, ale zawsze w sposób bardzo podobny. Próbowowała też niejednokrotnie swoich sił w wielkim repertuarze poetyckim grając Rożę Wenedę, Balladynę czy Lady Makbet, ale żadna z nich nie dorównała krakowskiej Judycie w „Księdzu Marku” J. Słowackiego.

Dla tego okresu w życiu i karierze Siemaszkowej bardziej niż kolejne osiągnięcia artystyczne charakterystyczne jest jej zaangażowanie w działalność społeczną. Już na początku roku 1908 została mianowana przewodniczącą Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Literatów i Artystów Polskich. Jej największym osiągnięciem na tym stanowisku było zorganizowanie uroczystego wieczoru ku czci Stanisława Wyspiańskiego. W tym samym roku rozpoczęła też prace w Komitecie przygotowującym obchody ku czci Norwida, jednocześnie aktywnie wspomagając takie akcje społeczne jak budowa Domu Kobiet, na rzecz której wystąpiła 21.V.1908 roku w „Norze” Ibsena. Podobnych inicjatyw w ciągu tych trzynastu lat spędzonych we Lwowie można wymienić bardzo wiele. Zaliczają się do nich także, często rozpatrywane w kategoriach czynu patriotycznego gościnne występy teatru lwowskiego w Wiedniu (1910) i w Paryżu (1913), w czasie których Siemaszkowa prezentowała swe największe role z Młynarką, panią Alving i Marią w „Warszawiance” Wyspiańskiego na czele, zyskując sobie niezmiennie wielkie uznanie zagraniczkę krytyki.

Prawdziwym okresem próby zarówno dla aktorki, jak i dla całego Lwowa stały się lata pierwszej wojny światowej. Gdy 13.IX.1914 roku wojska rosyjskie wkroczyły do miasta, część aktorów na czele z Hellerem schroniła się w Wiedniu, gdzie kontynuowała działalność teatralną. Siemaszkowej nie było w tej grupie. Pozostała w mieście i gdy na początku maja Kornel Makuszyński i Jakub Glikson podjęli próbę powołania do życia Teatru Miejskiego pod okupacją rosyjską, to ona właśnie wystąpiła w przedstawieniu inauguracyjnym ze swą niezrównaną interpretacją Młynarki. Gdy po wyparciu Rosjan powrócił z Wiednia Heller, nadal pracowała w kierowanym przezeń teatrze, jednocześnie biorąc często udział w akcjach charytatywnych.

Koniec sezonu 1917/1918 był jednocześnie końcem dykcji Hellera, który znudzony licznymi atakami nie starał się o przedłużenie dzierżawy Teatru Miejskiego. Jego miejsce zajął duet Roman Żelanowski/Henryk Cepnik, w których zespole znalazła się też Siemaszkowa.

Nadeszły jednak wydarzenia, które zepchnęły problemy życia teatralnego na margines. Po latach niewoli Polska odzyskała niepodległość. We Lwowie jej początki były wyjątkowo trudne, jako że już w listopadzie rozpoczęły się polsko-ukraińskie walki o miasto, zakończone dopiero w maju 1919 roku ofensywą wojsk polskich. Przez cały ten wojenny czas Siemaszkowa przebywała w mieście i pracowała urządzając koncerty dla wojska z ramienia Komitetu Pracy Narodowej Kobiet.

Paradoksalnie wyjazd aktorki ze Lwowa spowodowany został troską o miasto i jego mieszkańców. Siemaszkowa opuściła je bowiem w kwietniu 1919 roku udając się do Warszawy, by tam zorganizować koncerty na rzecz Lwowian. Koncerty te odbyły się 6 i 8 V, ale ich organizatorka i uczestniczka pozostała już w stolicy tam szukając szczęścia i sławy.

Nie znalazła. Nie udało się jej zaangażować do Teatru Rozmałości, zmarnowała dwa lata usiłując wbrew niesprzyjającym warunkom kierować Teatrem Miejskim w Bydgoszczy, potem znów tułała się po Polsce. Wreszcie w 1924 roku ponownie znalazła się we Lwowie, w teatrze kierowanym przez Ludwika Czarnowskiego, ale i tu nie zagrzała długo miejsca występując tylko w dwu rolach. Rozczarowana, nie mogąc znaleźć sobie miejsca na teatralnej mapie Polski, zdecydowała się na podjęcie ryzykownej wyprawy do Stanów Zjednoczonych.

Wróciła stamtąd w roku 1926, by znów nie mogąc znaleźć stałej pracy trafić do Lwowa, gdzie zaangażował ją dyrektor Teofil Trzciniński, którego po jednym sezonie zastąpił duet Henryk Barwiński/Czesław Zaremba. W tych nienajlepszych dla lwowskiej sceny czasach, Siemaszkowej udało się odnieść kilka znaczących sukcesów, spośród których za największy uznać należy występ w „Upiorach” obok wielkiego niemieckiego aktora Aleksandra Moissiego, który miał się o swej partnerce wyrażać z najwyższym uznaniem.

Udanie przebiegała też jej praca pedagogiczna we własnym „Studio” założonym w marcu 1927 roku przy Gimnazjum nr I. Obok przedmiotów praktycznych wykładano tam także teoretyczne, a „Studio” dysponowało swą własną sceną. Największym sukcesem tego zespołu było wystawienie w Teatrze Małym „Śmierci Ofelii”, „Sędziów” i fragmentów „Wesela” w ramach uroczystości ku czci Wyspiańskiego. Siemaszkowa zachęcona powodzeniem znów ruszyła w drogę objeżdżając kraj z własnym zespołem, w którego repertuarze był tylko jeden temat — „Mirla Efros” J. Gorodina, ze wspianą kreacją szefowej trupy w roli tytułowej.

We Lwowie znalazła się ponownie latem 1931 roku, wkraczając w sam środek wielkiego kryzysu teatralnego wywołanego konfliktem Związku Artystów Scen Polskich ze Związkiem Dyrektorów Teatrów. W jego wyniku aktorzy lwowscy zostali bez pracy, bez gaży i bez sceny. Pierwszą próbę ratowania zespołu podjął Leon Schiller zakładając Zrzeszenie Artystów Dramatycznych ZASP, z którymi przygotował i prezentował „Królową przedmieścia” Konstantego Krumulowskiego. Jednak wobec przedłużającego się impasu Schiller z częścią zespołu wyjechał do Warszawy. Zdesperowani aktorzy zwrócili się o pomoc do Siemaszkowej prosząc ją o objęcie kierownictwa zrzeszenia aktorskiego pod nazwą Lwowska Filia ZASP. Pomimo choroby aktorka zgodziła się bez wahania i z wielką energią przystąpiła do organizowania zespołu. Działalność przez pierwszą połowę sezonu 1931/1932 przygotowując kilka premier, wśród których przeważały pozycje komediowe. Ich poziom oceniano bardzo różnie, generalnie jednak o firmowanej przez aktorkę wyrażano się z uznaniem, dziękując jej, że uratowała miasto przed zamarciem życia teatralnego.

Wyrazem wysokiej oceny zespołu Siemaszkowej był fakt, że Rada Miejska upoważniając 22.XII.1931 roku prezydenta Drojanowskiego do zawarcia kontraktu z nowym dyrektorem teatru lwowskiego Wilamem Horzycą instruowała go, że ma być on tak sformułowany, by przy zaangażowaniu uwzględnić także członków „Lwowskiej Filii ZASP”. Dzięki temu aktorka znów znalazła się w jednym z najważniejszych polskich teatrów jakim w latach 1931-1937 dzięki działalności Horzycy i Schillera stała się scena lwowska. Siemaszkowa wzięła nawet udział w jednym z najważniejszych wydarzeń w dziejach teatru międzywojennego, w premierze „Dziadów” Mickiewicza w reżyserii Schillera (Rollisonowa, 18.III.1932), ale generalnie pozostawała nieco na uboczu głównego nurtu artystycznego tych lat grając coraz częściej role charakterystyczne i komediowe. Sama aktorka tak charakteryzowała swoją sytuację w liście do Lucyny Kotarbińskiej z 30.III.1933 roku: „Ja tkwię we Lwowie chwaląc sobie jaki taki kawałek chleba, regularnie małą, ale wypłacaną pensję, gram wszystko i cieszę się względną estymą w teatrze(...)”. Potwierdzeniem tego ostatniego stwierdzenia

stały się zorganizowane przez Horzycę uroczyste obchody czterdziestopięcioletnia pracy artystycznej Siemaszkowej, które odbyły się 6.XI.1932 roku na scenie Teatru Wielkiego. Był to z pewnością najwspanialszy jubileusz w jej karierze. Zorganizował go specjalny komitet, w którego składzie znaleźli się najwybitniejsi przedstawiciele życia umysłowego i artystycznego Lwowa. Wydano księgę jubileuszową, poświęcony wyłącznie aktorce zeszyt „Sceny Lwowskiej”, zaś pisma codzienne pełne były artykułów omawiających życie i twórczość jubilatki.

Wspaniałość tych obchodów oraz uznanie i sympatia jakimi cieszyła się we Lwowie, nie zdołały jednak zatrzymać Siemaszkowej w mieście. W 1935 roku znów wyruszyła w podróż, by następnie przez cztery sezony występować w Katowicach.

Do Lwowa wróciła późnym latem 1939 roku. Począwszy od września miała rozpocząć pracę w Teatrach Miejskich kierowanych przez Mieczysława Szpakowicza. Jednak historia brutalnie przekreśliła te plany — Lwów dostał się pod okupację sowiecką i o normalnym funkcjonowaniu teatru polskiego nie mogło być mowy.

Nowe władze doskonale orientowały się, jak wielkie znaczenie ma to miasto dla Polaków, toteż usilnie starały się uczynić zeń centrum polskiej kultury komunistycznej. Jednym z etapów tego programu było przekształcenie Teatru Miejskiego w Państwowy Polski Teatr Dramatyczny, którego dyrektorem został przybyły z Kijowa Włodzimierz Kandyba. Zespół wyrzucono z dotychczasowej siedziby, przeznaczając dla niego budynek przy ulicy Jagiellońskiej, który przed wojną zaczęto budować dla teatru żydowskiego.

Dla Siemaszkowej wkroczenie Armii Czerwonej było tym większą tragedią, że to właśnie w walce z wojskiem bolszewickim zginął jej ukochany syn Wojciech. Mimo to podjęła jednak decyzję o pozostaniu w zespole PPTD i to właśnie w teatrze przy Jagiellońskiej zagrała swe ostatnie lwowskie role. W jej przypadku pytanie o motywy takiego postępowania, formalnie potępiających czy wybielających sądów jest o tyle bezzasadne, że kwestia „grać czy nie grać” najwyraźniej nie zaprzętała w ogóle jej uwagi. Rozważania tego typu charakterystyczne są dla okresu późniejszego i dla pokoleń następnych. Siemaszkowa, która całe niemal swe artystyczne życie spędziła w Teatrze kontrolowanym przez obce władze, prawdopodobnie patrzyła na tę kwestię w sposób bardzo prosty: jestem aktorką, chcę bym pracowała, więc idę do pracy.

Ostatnią rolę jaką Siemaszkowa zagrała we Lwowie była Maria w „Niespokojnej starości” L. Rachmanowa (24.IV.1941). Wzruszony nią Boy-Żeleński napisał recenzję, jedną ze swych ostatnich, w której wychwalał radości życia „młodą starość” Wandy Siemaszkowej, wspominając jednocześnie dawne czasy, gdy oboje byli młodszy i gdy młodszy i szczęśliwszy był cały świat.

Ta recenzja była zarazem pożegnaniem — dwa miesiące później Żeleński został rozstrzelany przez hitlerowców, a z początkiem 1942 roku Siemaszkowa wyjechała ze Lwowa, by nigdy już tu nie powrócić.

Dla niej, „gwiazdy wędrowniej”, było to miejsce szczególne. To tu właśnie wracała zawsze po swych kolejnych niepowodzeniach, tu przez kilkadziesiąt lat miała swój dom, krąg życzliwych jej ludzi, do których zaliczała się też publiczność lwowska oglądająca po kilkanaście razy jej najwybitniejsze role.

Kiedy w 1947 roku Siemaszkowa zmarła, pochowano ją obok męża na Cmentarzu Powiżkowskim w Warszawie, gdzie przeżyła swe największe rozczarowania. Może właśnie dlatego jej grób jest taki smutny i zapomniany.

Dariusz Kosiński

*To najmniejsze chyba z wszystkich szkół średnich we Lwowie i po trosze plebejskie w swoim składzie klasowym Państwowe Gimnazjum VI miało jednocześnie opinię i renomę szkoły wzorowej, uchodzącej za laboratorium najnowocześniejszych pomysłów i eksperymentów pedagogicznych, było też przez wiele lat stałą siedzibą Kursu Hospitantów, absolwentów Uniwersytetu Lwowskiego, przygotowujących do pracy nauczycielskiej.*

# MOJE ŁYCZAKOWSKIE GIMNAZJUM

ARTUR HUTNIKIEWICZ

W czerwcu 1926 r., po ukończeniu 4 klasy męskiej szkoły powszechnej pod wezwaniem św. Antoniego we Lwowie, złożyłem egzamin wstępny do pierwszej klasy jedynej w mojej łyczakowskiej dzielnicy Państwowego Gimnazjum VI im. Stanisława Staszica przy ul. Łyczakowskiej 37. Od tego dnia przez osiem lat przebiegałem codziennie rano ten sam trakt z mego domu przy ul. Paulinów nr 5, mijając po drodze Plac św. Antoniego i wstępując na chwilę do parafialnego kościółka pod tym samym wezwaniem. Moja nowa szkoła, która powstała w roku 1902 z filii gimnazjum V, tzw. bernardyńskiego, mieściła się w jednopiętrowym budynku w kształcie litery L, obejmującym osiem sal lekcyjnych, kancelarię dyrektora, pokój konferencyjny, dwa gabinety naukowe: przyrodniczo-fizyczny i geograficzno-historyczny oraz dwuizbowe mieszkanie głównego tercjana szkolnego, pierwszej osoby po panu dyrektorze. W rozchyleniu obu skrzydeł budynku mieściło się obszerne boisko, od północnej strony wznoszące się ku ul. Kurkowej i gęsto zadrzewione potężnymi kasztanami. Porą wczesnojesienną dostarczały nam one znakomitej anunicji w permanentnych bitwach toczonych na każdej pauzie między klasami najmłodszych. Niedostatkami szkoły był brak własnej sali gimnastycznej, do której musieliśmy biegać do gmachu Sokoła IV, na rogu Łyczakowskiej i mojej ulicy Paulinów, a naprzeciw koszar zapasowego szwadronu 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich. Szwadron ten odbywał często ćwiczenia w ścinaniu w biegu głów nieprzyjacielskich na tzw. „wielkim polu” Kajzerwaldu, których pilnymi obserwatorami była z reguły łyczakowska, okoliczna dzieciarnia.

Szczupłość gmachu szkolnego, która wykluczała możliwość oddziałów równoległych sprawiała, że gimnazjum VI nigdy nie było szkołą liczną, liczba uczniów nie przekraczała na ogół 300 chłopców, bo oczywiście było to gimnazjum męskie, koedukacji w szkołach zarówno powszechnych, jak i w średnich w tamtych czasach nie było, a uczyli nas przez 8 lat aż do matury wyłącznie profesorowie mężczyźni. Przekrój narodowościowy, wyznaniowy i społeczny uczniów odzwierciedlał przeważnie charakter dzielnicy łyczakowskiej, w ponad 90 procentach dominowali Polacy, uczniów narodowości ruskiej (ukraińskiej) nie było nigdy więcej jak dwóch lub trzech w klasie i to nie w każdej, podobnie Żydów, czy też raczej Polaków mojżeszowego wyznania, z reguły zupełnie zasymilowanych. Nie było nigdy między nami najmniejszych antagonizmów na tle narodowościowym czy wyznaniowym, byliśmy wszyscy kolegami i przyjmowaliśmy w sposób najzupełniej naturalny, że niektórzy z nas nie byli obecni na godzinach religii czy nabożeństwach szkolnych. Nasze niedzielne msze, na które całe gimnazjum regularnie maszerowało w dwójkowym oryndku, odbywały się w kościołach na ogół dla wiernych spoza szkoły zamkniętych w różnych latach bądź w pięknym kościółku SS. franciszkanek przy ul. Kurkowej, bądź w zupełnie opustoszałym, po likwidacji tego zgromadzenia zakonnego jeszcze za czasów austriackich, kościele SS. klarysek u wlotu ul. Łyczakowskiej, naprzeciw pobliskich murów bernardyńskich. Rysem charakterystycznym tego łyczakowskiego gimnazjum był też stały w nim udział wychowanków Małego Seminarium Arcybiskupiego, którego prefektem był nasz gimnazjalny katecheta ks. dr Bartłomiej Szulc. Przedmiejski chara-

cter Łyczakowa sprawiał też, że w przekroju społecznym dominowali chłopcy z warstw na ogół uboższych czy średnich, tzw. ludu miejskiego, drobnych kupców i rzemieślników, niższych urzędników i funkcjonariuszy państwowych, niekiedy synów chłopskich, tu i ówdzie przetkanych dziećmi inteligencji, przeważnie nauczycieli, zupełnie wyjątkowo spośród wolnych zawodów lub ziemianstwa. Nie było nigdy najmniejszego podkreślenia tzw. różnic klasowych, byliśmy wszyscy równi, jedyny w mojej klasie kolega z rodziny ziemiańskiej we wszystkich ankietach w rubryce zawód ojca podawał: rolnik.

Żywa była w nim tradycja pierwszych wybitnych jego twórców i dyrektorów: dr. Antoniego Danysza, docenta pedagogiki Uniwersytetu Lwowskiego, a po I wojnie profesora i prorektora Uniwersytetu Poznańskiego, dra Konstantego Wojciechowskiego, wieloletniego nauczyciela szkół średnich, a jednocześnie profesora historii literatury polskiej Uniwersytetu Jana Kazimierza, a także Stanisława Sobińskiego, kuratora Okręgu Szkolnego Lwowskiego, skrytobójczo zamordowanego w r. 1926 przez nacjonalistów ukraińskich.

O poziomie szkoły decydował skład osobowy kadry nauczycielskiej. Pod tym względem łyczakowskie gimnazjum było istotnie szkołą wyjątkową. Zarówno przed I wojną, jak i w latach międzywojennych docentura uniwersytecka była tytułem honorowym, niepłatnym, toteż wszyscy docenci byli przeważnie nauczycielami szkół średnich. Profesorami Gimnazjum VI w różnych latach były więc takie późniejsze znakomitości naukowe jak: Tadeusz Czeżowski, uczeń Kazimierza Twardowskiego, twórcy słynnej lwowsko-warszawskiej szkoły filozoficznej, późniejszy profesor Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu, ks. dr Hieronim Feicht, profesor muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego, Wiktor Hahn, jeden z seniorów polonistyki uniwersyteckiej, wieloletni profesor Uniwersytetu Lwowskiego i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Antoni Jakubski, profesor anatomii porównawczej i biologii Uniwersytetu Poznańskiego, poloniści: Juliusz Kleiner i Eugeniusz Kucharski, profesorowie Uniwersytetu Jana Kazimierza, a po II wojnie Uniwersytetu Jagiellońskiego i Toruńskiego, Mieczysław Kretutz, profesor psychologii Uniwersytetów Lwowskiego, Wrocławskiego i Warszawskiego, Stanisław Łempicki, profesor oświaty i szkolnictwa Uniwersytetu Lwowskiego i Jagiellońskiego, Zygmunt Łempicki, profesor filologii germańskiej Uniwersytetu Warszawskiego, Antoni Łomnicki, profesor matematyki Politechniki Lwowskiej, Mojżesz Schorr, profesor assyriologii i semitologii Uniwersytetu Warszawskiego, profesorowie Politechniki Lwowskiej Julian Tokarski, profesor petrografii i mineralogii i Tadeusz Wiśniowski, profesor geologii i paleontologii. Nauczycielami gimnazjum VI byli też wybitni dydaktycy i autorzy powszechnie znanych podręczników: poloniści Marian Reiter i dr Juliusz Balicki, historyk Bronisław Gebert, filolog klasyczny Aleksander Frączkiewicz, logik i psycholog, wieloletni wizytator szkół średnich i profesor Uniwersytetu Toruńskiego i Gdańskiego Kazimierz Sośnicki. Nie brakło też w gronie nauczycielskim naszego gimnazjum literatów jak: Henryk Balk, Stefan Grabiński, Edwin Jędrkiewicz, Stanisław Maykowski i Jan Pietrzycki, krytyków literackich: Włodzimie-

rza Jampolskiego i Adama Szcherbowskiemu, a nawet polityków i mężów stanu jak: filolog klasyczny i późniejszy marszałek sejmu Maciej Rataj i polonista, przyszły premier rządu polskiego Kazimierz Świtalski.

Wszystkie te wybitne osobowości tworzyły ową szczególną aurę i klimat szkoły, której dewizą było wypisane na naszym szkolnym sztandarze łacińskie „Per aspera ad astra”, „Przez ciernie do gwiazd — do sławy”. Gimnazjum było klasyczne starego typu, nauka języków i literatur starożytnych, greckiej i rzymskiej, postawiona była na pierwszym miejscu. Czytało się w tym łyczakowskim gimnazjum w oryginale Homera i Xenofonta, Plautona i Sofoklesa, Liwiusza i Cicerona, Tacyta i Horacego. Nauka tych języków była doskonałą zaprawą jasnego i precyzyjnego myślenia, a profesoria Politechniki Lwowskiej wyżej sobie cenili kandydatów na studia po gimnazjach klasycznych lub humanistycznych niż po matematyczno-przyrodniczych.

Do mojego łyczakowskiego gimnazjum chodziłem przez 8 lat, od roku 1926 do 1934. Dawne tradycje wciąż w nim były żywe. Wspominam z wdzięcznością moich ówczesnych profesorów, z których każdy był oryginalną osobowością, niekiedy wzorem i przykładem. Łaciny uczyli mnie dyrektor Włodzimierz Bursztyński, a po jego odejściu aż do matury prof. Stanisław Cygan, obaj świetni jako nauczyciele swego przedmiotu, choć zupełnie różni sposobem bycia i temperamentem. Bursztyński, pasjonat i gwałtownik, uparty i nieustępliwy w wymaganiach, potrafił trzymać nas i dusić do siódmych potów. Cygan spokojny, opanowany, chłodny, ironiczny, z enigmatycznym uśmiechem, budził respekt właśnie ową rezerwą, trzymając klasę w idealnym rygorze. Języka greckiego uczył mnie z początku prof. Franciszek Nagórzański, dziwak i oryginał, egzystujący po trosze na zasadzie barwnej figury o dość osobliwych manierach, a później, w klasach wyższych dr Franciszek Smolka, profesor tytularny filologii klasycznej Uniwersytetu Jana Kazimierza, specjalizujący się w papirologii antycznej, zaprzeczenie poprzednika, przystojny, dystyngowany, przy naturalnym dystansie wobec gromady uczniowskiej przyjazny, przystępny i dyskretnie dowcipny. Był wychowawcą naszej klasy i pod jego to opieką i przewodnictwem przeżyliśmy któreś wiosny wspaniałą przygodę, okrężną wędrówkę przez całe historyczne Podole — Złoczów, Zbaraż, Podhorce, Tarnopol, Brzeżany, Czortków, Trembowłę aż po Okopy Świętej Trójcy. Było to kilka dni absolutnej bez troski, ale i wielkiej historii, poświadczonych głosami wołających kamieni, reminiscencje literackie i ten kraj, otwarty na przestrzał, bujny, bezkresny, jak w Stepach akermiańskich Mickiewicza i pachnący gorącym wiatrem czarnomorskim.

Wśród moich historyków gimnazjalnych zapisał mi się w pamięci szczególnie profesor Lesław Jaworski, jeden z najwspanialszych mężczyzn, jakich w swoim życiu spotkałem, o imponującej postaci i pysznej głowie, idealnym modelu dla artysty rzeźbiarza, z długą, piękną brodą, sprawiał takie wrażenie, jakby zastąpił z jakichś historycznych płócien Matejki. Był nie tylko historykiem, ale i muzykologiem, kompozytorem i stałym sprawozdawcą muzycznym w lwowskich dziennikach, autorem Przewodnika operowego oraz studiów i szkiców o Schumannie, Liszcie i Wagnerze. O historii mówił tak, jak chyba należałoby jej uczyć zawsze, nie było to męczące dukanie faktów, nazwisk i dat, lecz jak gdyby opowieść pobudzająca wyobraźnię i ukazująca dzieje jako frapującą przygodę. Prof. Jaworski zmarł niestety przedwcześnie, ale wśród następnym moich profesorów historii znaleźli się również, choć inaczej wybitni: dr Kazimierz Sochaniewicz, znakomity archiwista i dr Bronisław Włodarski, docent UJK, a po II wojnie profesor i prorektor Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu, obok którego znalazłem się jako dawny uczeń i młodszy kolega. Matematyki uczył mnie zrazu prof. Mieczysław Kreutz, a potem aż do matury prof. Tadeusz Vrabetz, który nie mając ze mnie żadnej pocięchy wykazywał zawsze aż do matury wspaniałomyślną wyrozumiałość dla

meo wybitnie antymatematycznego intelektu. Przyrody uczył mnie dr Jan Noskiewicz, docent Uniwersytetu Lwowskiego, a po wojnie profesor Uniwersytetu Wrocławskiego. Ale najistotniejszą rolę odegrali w moim życiu nauczyciele języka i literatury polskiej.

Pierwszym i najważniejszym okazał się i pozostał dla mnie na zawsze dr Juliusz Balicki, o czym zadecydowała jego niezwykła osobowość. Jego ówczesny przyjaciel i prof. UJK dr Stanisław Łempicki w swoich Wspomnieniach ossolińskich przypisał mu rys romantycznego Weltschmerzu, bezprzedmiotowego smutku, jaki był podobno naturalnym stanem istnienia tego przedziwnego człowieka o błyskotliwej inteligencji i subtelnej wrażliwości artysty. Był świetnym dydaktykiem, autorem najpiękniejszych podręczników do nauki języka ojczystego: Kraj lat dziecińczych, Będziem Polakami, Miej serce, które drukowały się właśnie w Ossolineum równoległe jak przechodziłem z klasy pierwszej do drugiej i do trzeciej, a profesor przynosił nam jeszcze pachnące farbą ich dobitki szczerotkowe. Doskonale rozumiał młodzież, potrafił rozbudzać wyobraźnię i nat uralną w nas potrzebę szlachetnego i pięknego współzawodnictwa. Balicki był pierwszym w moim życiu człowiekiem, który uświadomił mi moje jedyne możliwości, wyrabiając mi opinię „gimnazjalnego literata”, co zadecydowało już wówczas o późniejszym moim wyborze kierunku studiów. Balicki odszedł od nas ku naszemu powszechnemu strapieniu, po trzech latach powołany na wysokie stanowisko kierownika Wydziału Programowego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia w Warszawie, ale pozostał dla mnie na zawsze moim największym dobroczyńcą. Wśród późniejszych naszych nauczycieli języka polskiego nie zabrakło jednak również osobistości wybitnych. Był nim niewątpliwie Stefan Grabiński, jedyny właściwie w literaturze polskiej przedstawiciel fantastyki literackiej z gatunku niesamowitych opowieści grozy w stylu amerykańskiego klasyka tego typu baletrystyki Edgara Allana Poe. Po wielu latach napisałem o tym, moim nauczycielom obszerną monografię naukową. Nieprzeciętnym znawcą przedmiotu i wychowawcą był mój ostatni polonista gimnazjalny dr Władysław Stabryła, wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, który patronował mojej maturze, a po latach zaszczycał mnie swoją serdeczną przyjaźnią.

Istotną rolę w kształceniu i wychowaniu młodzieży odgrywały też działające w gimnazjum organizacje o charakterze moralno-swiatopoglądowym, patriotycznym i obywatelskim: Solidacja Mariańska, Związek Harcerstwa Polskiego, Przystosowanie Wojskowe i Organizacja Pracy Obywatelskiej Młodzieży „Straż Przednia”, stworzona przez najwybitniejszego ideologa tzw. obozu belwederskiego Adama Skwarczyńskiego, której bardzo wiele zawdzięczam w swoim samowychowaniu obywatelskim i patriotycznym. Istotną rolę w tym zakresie odgrywały też uroczyste obchody wszystkie rocznice narodowe: Święto Niepodległości 11 listopada, Rocznica Obrony Lwowa 22 Listopada 1918 roku, Święto Konstytucji 3 Maja, Imieniny Marszałka Piłsudskiego 19 Marca, we wszystkich tych obchodach i akademiach czynny udział brała młodzież, przygotowując odpowiednio dobrane recytacje i występy muzyczne chóru, solistów i gimnazjalnej orkiestry mandolinistów pod dyrekcją naszego profesora muzyki i śpiewu Romana Propkowicza. Poznawaniu Polski i świata służyły wycieczki krajoznawcze, te najbliższe, prowadzące przez historyczne Podole i wschodnie Karpaty, i te dalsze, okrężne wojaże po całej Polsce, zwłaszcza w 1929 r. w 10-lecie niepodległości, na słynną Powszechną Wystawę Krajową do Poznania, ze zwiedzaniem po drodze Krakowa, Gdyni i Warszawy.

O randze szkoły świadczą również wychowankowie. Poczet uczniów Gimnazjum VI na Łyczakowie, którzy zapisałi się trwale w dziejach kultury polskiej, jest znaczny i wymowny. Przede wszystkim ludzie nauki, profesorowie wyższych uczelni: Karol Badecki, docent UJK i profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, wybitny znawca literatury staropolskiej, Antoni Falkiewicz, profesor med.

chorób wewnętrznych Uniwersytetu Wrocławskiego: ks. Stanisław Frankl, profesor apologetyki i dogmatyki na Wydz. Teolog. UJK; wybitny neurolog Jakub Frostig, Stefan Kawyn, prof. literatury polskiej Kat. Uniw. Lub. i Uniwersytetu Łódzkiego, Jakub Parnas, prof. chemii lekarskiej UJK, Kazimierz Przybyłowski, prof. prawa cywilnego UJK, ks. Stanisław Szurek, prof. homiletyki Wydz. Teolog. UJK, Marian Tyrowicz, prof. historii Uniw. Jag.; Tadeusz Wiczyński, prof. ginekologii UJK; Zygmunt wojciechowski, prof. historii Uniw. Pozn.; Michał Wyszyński, prof. prawa rzymskiego UMK w Toruniu; August Zierhoffer, prof. geografii UJK i Uniw. Pozn.; a z generacji młodszej nieco Stanisław Akielaszek, prof. filologii klasycznej uniwersytetów amerykańskich; Andrzej Alexiewicz, prof. matematyki Uniw. Pozn.; Andrzej Lewicki, prof. psychologii UMK i Uniw. Pozn.; Tadeusz Tomaszewski, prof. psychologii Uniw. Warsz. i piszący te słowa od lat prof. literatury polskiej UMK w Toruniu. Nie brak też wśród absolwentów Gimnazjum VI we Lwowie wybitnych artystów: Romuald Cyganik, pierwszy baryton Opery Lwowskiej; Andrzej Hiolski, baryton światowej sławy; Fryderyk Portnoy, pianista-wirtuoz w Izraelu; Ludwik Tyrowicz, wybitny grafik. Wreszcie ten, który najwytrwalej podtrzymał sławę łyżczakowskiego gimnazjum: doc. Witold Szolginia, główny dziejopis niedawnego Lwowa, no i oczywiście niez-

pomniani twórcy i artyści Wesołej Lwowskiej Fali: Wiktor Budzyński, Ludwik Bojczuk i Henryk Vogelfaenger-Tońku. Z VI gimnazjum wyszli też: przedwojenny szef Obozu Zjednoczenia Narodowego gen. Stanisław Skwarczyński oraz jeden z najwybitniejszych trenerów polskiej piłki nożnej Ryszard Koncewicz. Co dawało moje lwowskie, łyżczakowskie VI Gimnazjum swym wychowankom? Przede wszystkim rozległe wykształcenie humanistyczne, tak istotne dla pełnego rozwoju osobowości ludzkiej, jeśli się pamięta, że cała kultura europejska, śródziemnomorska oparta jest na dwóch fundamentach: antyku grecko-rzymskim i chrześcijaństwie. Wykształcenie to i wychowanie gwarantowało tę szczególną formację duchową, intelektualną i światopoglądową, której wyznacznikami są trwała pamięć i wierność imponderabiliom, pewnym wartościom nietykalnym, takim jak honor prawdomówności, uczciwości, pracowitości, odpowiedzialności, a także przywiązanie do tradycji i do historii, wierność przykazaniu, że najwyższym dobrem zbiorowym jest Niepodległe Państwo Polskie, którego budowanie codzienną pracą i obrona, jeśli zajdzie tego potrzeba, jest pierwszym obowiązkiem każdego z nas, uczniów tej szkoły.

Artur Hutnikiewicz

*Dla dzisiejszego czytelnika potrzebny jest być może komentarz dotyczący ówczesnego ustroju szkolnego. Gimnazja miały osiem klas, nie było jeszcze klas licealnych. Osiem klas miała też szkoła powszechna, przy czym klasy od 5 do 8 nazywano „szkołą wydziałową”. Po czwartej klasie szkoły powszechnej można było przejść do gimnazjum, ewentualnie po nietrudnym egzaminie wstępnym.*

## Lwowskie II Gimnazjum Państwowe im. Karola Szajnochy w latach trzydziestych XX w.

JERZY ZIELIŃSKI

W latach 1929-1931 byłem uczniem gimnazjum, a z początkiem maja 1931 roku otrzymałem świadectwo dojrzałości. Były to więc najdłuższe wakacje w moim życiu. Sześć pierwszych klas ukończyłem w Horodence, około 10-tysięcznej miejscinie niedaleko Zaleszczyk. Tamtejsze gimnazjum było prywatne „z prawem publiczności”, musiałem więc we Lwowie zdawać egzamin wstępny. Poszedł mi bardzo dobrze, w horodeńskiej szkole uczyli solidnie. Atrakcji w miasteczku było mało, toteż przykładaliśmy się do nauki, zwłaszcza że nauczyciele, bardzo młodzi entuzjaści, częstokroć jeszcze nie mający dyplomów uniwersyteckich, potrafili nam przekazać swoje uwielbienie dla wiedzy. Popołudnia spędzaliśmy w szkole w rozmaitych kółkach np. fizycznym, matematycznym, historycznym lub na próbach teatru szkolnego. Raz tylko popołudnie spędzałem samotnie w karcerze czyli w tej samej swojej klasie, za to, że podobno bezczelnie spojrziałem na nauczycielkę niemieckiego, kiedy — moim zdaniem niesłusznie — dała dwóję memu koledze. Za karę musiałem tłumaczyć Tacyta, co okazało się zresztą zadaniem bardzo interesującym. Dyrektorem gimnazjum był Jan Piskozub, w roku 1941 rozstrzelany w Stanisławowie przez Gestapo.

Lwowskie II Gimnazjum Państwowe przy ulicy Stefana Czarnieckiego 2 mieściło się w białym tynkowanym dwupiętrowym gmachu. Frontem zwrócony był ku Wałom Gubernatorskim. Na prawo od jego zupełnie gładkiej fasady znajdowała się ruina starej bazy, która obecnie jest zamieszkała, ale wtedy nawet nie miała porządnego dachu i służyła nam do zakazanego uczniom palenia papiero-

sów. Nigdy zresztą po maturze już papierosa nie zapaliłem, atrakcyjny jest tylko zakazany owoc.

Wzdłuż bocznej i tylnej ściany budynku przebiegał tor tramwajowej linii nr 4, która łączyła dzielnicę Nowy Świat z Wysokim Zamkiem. Nie byłem po wojnie i prawdopodobnie nigdy już nie będę we Lwowie, nie wiem więc, czy istnieje jeszcze ta linia nr 4. Przypomnę więc czytelnikom, że górną częścią ulicy Kopernika zjeżdżało się nią obok Ossolineum na ulicę Słowackiego, na którą tor jej skręcał niemal pod kątem prostym. Przebiegał przed gmachem Poczty Głównej, po czym znów niemal pod kątem prostym skręcał w ulicę Sykstańską, krzyżował się z ulicą Legionów i Wałami Hetmańskimi, biegł ulicą Kilińskiego, Rynkiem, Ruską, obok bocznej ściany gmachu II Gimnazjum, skrzyżowawszy się z ulicą Podwałę. Następnie skręcał znów niemal pod kątem prostym w lewo w górę i to z niesamowitym piskiem, biegł między tylną ścianą II Gimnazjum a wzgórzem, na którym stał Kościół Karmelitów, znów skręcał niemal pod kątem prostym w prawo w ulicę Kurkową. Biegł następnie około 100 m dość stromo w górę między apteką Sussmana a warszatem szewskim Łukasza Parzygnata (co za piękne nazwisko!) i niewielkimi koszarami, skręcał łagodnie w lewo przy osiemnastowiecznym okazałym pałacu, prawdopodobnie Dzieduszyckich, ze stałą wystawą starej zbroi i broni oraz sztychów, po czym łagodnie skręcał w prawo w ulicę Teatyńską, aby po jakich 300 metrach, znaleźć się na Wysokim Zamku, stanowiącym jego stację końcową.

II Gimnazjum było kilka lat wcześniej, zanim zacząłem do niego uczęszczać (jak to wtedy określano), szkołą niemiecką, a dyrektorem jej był wtedy Bostel. Za moich czasów dyrektorem był Buzath, historyk, zagorzały piłsudczyk. Kiedyś w VIII klasie wyjaśniał nam istotę zamachu majowego z roku 1926 w sposób dość prosty, a mianowicie, że Piłsudski, który w roku 1918 dał Narodowi sejm, w roku 1926, kiedy się przekonał, że Naród źle z niego korzysta, miał pełne prawo mu go odebrać. Widocznie w tej chwili mimo woli sceptyczną miną dałem wyraz pewnym wątpliwościom, a na zapytanie pełne zniecierpliwienia: „czy tobie się tu coś nie podoba” odpowiedziałem jak najuprzejmniej: „ta argumentacja w rzeczy samej mnie nie przekonuje”. Dyrektor Buzath, widocznie bardzo niezadowolony, zapytał kolegę z mojej ławki, Klinka: „a co ty o tym sądzisz?”. Widocznie wiedział, że ojciec Klinka był majorem Wojska Polskiego, ale nie wiedział, że niedawno, jako endek, został przedwcześnie przeniesiony w stan spoczynku. Kolega Klink, nie bez pewnych wahań, dał do zrozumienia, że mniej więcej podziela moje zdanie. Nasz dyrektor skorzystał więc z tego, że zbliżał się koniec lekcji i opuścił klasę ze złością trzasnąwszy drzwiami. Dyskutowaliśmy potem przez całą przerwę, chaotycznie i głośno, nikt nie wyszedł na podwórze, zwolennicy sanacji byli w znakomitej mniejszości. Pierwszy raz w życiu uczestniczyłem w takiej dyskusji politycznej.

W naszym gronie nauczycielskim przeważali ludzie w swym fachu wybitni. W gimnazjum były klasy równoległe „A” i „B”, przeważnie więc każdy przedmiot miał dwóch reprezentantów. Polonistami byli Majkowski i Geszwind. Pierwszy był poetą, literatem i tłumaczem (własny przekład niemieckiej ballady Rilkego). Majkowski osobiście bardzo pięknie wyrecytował w Kasynie Literackim przy ul. Akademickiej. Geszwind należał podczas swych studiów w Niemczech do kręgu Stanisława Przybyszewskiego i nie mógł pogodzić się z tym, żeśmy nie podzielili jego entuzjazmu dla twórczości tego koryfeusza Młodej Polski. Osobiście wołał Berenta, a jego dekadentkie hasło z „Próchna”: „A więc, kanalie, że życie nasze nic nie warto — evviva l'arte” do dziś pamiętam, choć może nie całkiem ściśle, ale ponad pół wieku nie miałem tej książki w rękach. W powieści szermował nim chyba dziennikarz Jelsky. W kółku literackim przez kolegę Kaltenbergha, bez udziału nauczyciela, czytaliśmy „Próchno” z wielkim nabożeństwem.

Matematyki uczyli nas Ludwik Sternbach i prominentny filozof — fenomenolog Roman Ingarden, na ówczes docent UJK, który do nędznej pensji uniwersyteckiej musiał dorabiać, mimo że jego żona była okulistką. Przychodził do szkoły w „jaskółce”. Był to strój złożony ze spodni w podłużne paski, w lwowskim dialekcie tzw. „sztrafki” i czarnej marynarki, z długimi połami, z tyłu rozciętej, która — zdaje mi się — ze starości trochę pozieleniała. Był bardzo poważny, ale złośliwi uczniowie opowiadali sobie, że blisko przyjaźni się z jedną z aktorek teatru lwowskiego, której nazwisko sobie zapamiętałem, ale czy to wszystko nie było zmyśleniem — nie wiem. Sternbach świetnie uczył, ale bardzo dokładnie egzaminował, zachowując kamienną twarz stawiał noty zawsze bezwzględnie sprawiedliwe. Zapytany kiedyś podczas swobodnego spotkania z uczniami, co odczuwa dając dwóję, odpowiedział: to samo co automat, do którego wrzucono monetę, kiedy wyrzuci żeton.

Germanistami byli Koczwarą i Rollawer. Ten drugi za okupacji hitlerowskiej okazał się niemieckim nacionalistą. Koczwarą pracował w dyrekcji „Książnicy-Atlas” przy ul. Czarnieckiego 12. Mieliśmy wybitnych filologów klasycznych. Marian Auerbach, małego wzrostu, bardzo ruchliwy, docent UJK, podobno znawca greckiej techniki maszynowej, postać niepozorna, ale umysłowość wybitna. Drugi, Artur Rapaport, bardzo wszechstronny humanista, krótkowzrostny, trochę nie z tego świata, przed feriami Bożego Narodzenia, chcąc nam zrobić przyjemność, potrafił wyrecytować z pamięci didaskalia z „Akropolis” Wyspiańskiego z przepięknym opisem krakowskich dzwonów. W nagrodę za bardzo go zadowolającą odpowiedź

pożyczył mi kiedyś na miesiąc satyry Juwenalisa, w których wspólnie z kolegami znalazłem doskonałą poezję pornograficzną.

Fizyki uczył Baran, ale nieszczególnie, nie korzystał np. niemal zupełnie z zakurzonego gabinetu fizycznego, który odkryliśmy sami dzięki pedelowi, z którym znajdowaliśmy się zresztą w stanie niemal parmanentnej wojny. Na polecenie dyrektora konfiskował nam bowiem z całą bezwzględnością kapelusze, w których zjawialiśmy się w szkole w VIII klasie, uważając, że noszenie przepiślowych, granatowych, aksamitnych rogatek z złotym otokiem w miesiącach przedmaturalnych już nam ubliża, zwłaszcza dlatego, że narażały nas na głośne nawoływania uliczników „kanarki, kanarki”. Kiedy nam pedel po maturze zwrócił kapelusze, poczuliśmy się dorosłymi. Spotykając się z uczennicami z gimnazjum im. Strzałkowskiej na próbach teatru szkolnego, zjawialiśmy się zawsze w kapeluszach.

Lwów był podówczas bardzo ożywionym ośrodkiem życia kulturalnego. Szczególnie zakwitł teatr. Wystawiane przez Leona Schillera na 3. scenach „Dziady”, „Kordian”, „Hedda Gabler”, „Dorota Angermann”, „Zwycięstwo Conrada”, „Krzyczcie Chiny” Tretjakowa (wkrótce roztrzęsanego przez Stalina) mam do dziś w pamięci, jako szczytowe osiągnięcia reżyserii i gry aktorskiej. Widownia była nieraz wysprzedana do ostatniego miejsca. W Filharmonii przy ul. Chorążczyzny królowała dynastia Sołtyśów, zjawiali się tam najwybitniejsi soliści z całego świata. Nie pamiętam, czy w tamtych latach było już kino dźwiękowe, telewizji na pewno jeszcze nie było. Polskie Radio mieściło się przy ul. Batorego, naprzeciw Sądu Apelacyjnego, a jego stacja nadawcza, którą kierował inż. Miński, mieściła się blisko Placu Powystawowego przy ul. Nad Jarem.

Nasz polonista usilnie domagał się od nas odwiedzenia teatru i wpisania do swych dzienniczków recenzji z przedstawień, które zamierzając komuś podciągnąć notę do celującej, kazał publicznie odczytywać. Najlepsze pisywał Lew Kaltenbergh, powojenny warszawski literat Polskiego Radia, który szkołę naszą opisał w pośmiertnie wydanych wspomnieniach („Stłuczone lustro”). W kilka lat po mnie uczniem II Gimnazjum był Stanisław Lem i opisał je w książce pt. „Wysoki Zamek”.

Wśród uczniów II Gimnazjum nie było niemal zupełnie Ukraińców, było natomiast sporo Żydów, zapewne w związku z sąsiedztwem dzielnicy żydowskiej oraz Ormian. Ormianie mieli w bezpośrednim sąsiedztwie, na rogu ul. Skarbowskiej i Podwala, swoją bursę im. Piramowicza, było to więc dla nich najbliższe gimnazjum. Nacje żyły w przykładowej zgodzie.

Dla dzisiejszego czytelnika potrzebny jest być może komentarz dotyczący ówczesnego ustroju szkolnego. Gimnazja miały osiem klas, nie było jeszcze klas licealnych. Osiem klas miała też szkoła powszechna, przy czym klasy od 5 do 8 nazywano „szkołą wydziałową”. Po czwartej klasie szkoły powszechnej można było przejść do gimnazjum, ewentualnie po nietrudnym egzaminie wstępnym. Klasy 5 do 8 traktowano jako równoległe z pierwszymi czterema klasami gimnazjalnymi. Po każdej można było przejść do równoległej klasy gimnazjalnej, ale trzeba było zdawać egzamin wstępny co najmniej z łaciny, której w powszechnej szkole nie uczono, ewentualnie także z greki, jeśli było to gimnazjum klasyczne starego typu. W tzw. gimnazjach humanistycznych nie było greki, a matematyczno-przyrodniczych nawet łaciny uczono niewiele. Za to te ostatnie najlepiej przygotowywały do wyższych studiów politechnicznych. Szkolnictwo zawodowe przed wojną było słabo rozwinięte, po wojnie natomiast rozrosło się znacznie. Władze kładły bowiem teraz nacisk na szkolenie techniczne, świadomie zaniedbując wykształcenie ogólne, dopatrując się — zupełnie słusznie — w wykształconym i krytycznie myślącym inteligencje potencjalnego wroga totalitarnego ustroju.

Jerzy Zieliński



*Ilekoć pomyślę o „tamtych latach”, staje mi przed oczami niepokazny domek zagubiony pośród pagórków i starych drzew: domek lwowskiego malarza Stanisława Teisseyre'a i jego żony Maryli. Właściciele zbudowali go niemal własnymi rękami na krańcach miasta przy uliczce, a właściwie już drodze wiejskiej, zwanej Krasuczyńską.*

## DOM NA KRASUCZYNI

IZABELLA CZERMAKOWA

Ale darmo by tam ktoś szukał tabliczki z nazwą ulicy. U podnóża sporego pagórka, na którym stał gmach Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego na Snopkowie, droga skręcała w dół i ciągnęła się wzdłuż koryta strumyka, jednego z bezimiennych dopływów dawno zasypanej Pełtwi. Na skrzyżowaniu dróg wznosiła się olbrzymia srebrzysta topola, i to wspaniałe drzewo było jedynym znakiem orientacyjnym dla tych, którzy pragnęli znaleźć ukrytą wśród zieleni siedzibę Teisseyre'ów. Za nią nie było już miasta. Sterczały tylko kominy prymitywnych cegielni, a do porożytych łopatomii gliniastych wertepów tuliły się lepianki ceglarskie.

Ten dom na Krasuczynie — zawsze pełen gości — jest dla mnie dzisiaj jak gdyby osią, wokół której krystalizują się wspomnienia o ludziach minionych dni, wspomnienia, które z trudem wygrzebuje spod ciężkiej warstwy późniejszych przeżyć. Ale zanim powrócę myślą na Krasuczyn, powiem parę słów o człowieku, który przed laty wprowadził mnie w grono lwowskich malarzy, w grono ludzi, którzy pozwolili mi poznać najpiękniejszy i może najrzadszy dar życia: prawdziwą przyjaźń

Wiele dobrych chwil i wiele trwałych wartości zawdzięczam przyjacielowi dziewczęcych lat — Ludwikowi Lillemu. On był jednym z tych, którzy otworzyli mi oczy na sztukę i nauczyli pewnej rzeczy, która brzmi dzisiaj okropnie staroświecko: pracy nad sobą. On był tym, który przekonał mnie, że literaturę obcą trzeba czytać w oryginale, choćby przyszło wgrzyzać się w nią z trudem, ze słownikiem w ręku. Wszyscy, którzy mieli szczęście poznać bliżej Ludwika Lillego ulegali autorytetowi tego urodzonego pedagoga. Ludwik był zaledwie rok czy dwa lata po maturze, gdy w jego zawalonym książkami i rysunkami pokoju przy ulicy Gródeckiej schodziła się gromadnie młodzież z tzw. aspiracjami. Przychodził kiedyś do niego młody, nieznanymi jeszcze Józef Wittlin i inny, świetnie zapowiadający się poeta, zmarły w 25 roku życia na gruźlicę — Jan Stur. Lille był niewiele starszy od swych przyjaciół, od niektórych nawet młodszy, ale zawsze, od kiedy pamiętam, był dla nich najwyższym autorytetem, opiekunem i doradcą.

Lille był ogromnie wykształcony, znał chyba całą europejską literaturę, jako samouk zdobył poważną wiedzę o malarstwie, rzeźbie i architekturze. Ku wielkiemu zmartwieniu rodziców nie chciał studiować medycyny. Było jasne, że Ludwik może być jedynie malarzem. Nie wiem czy i u kogo odbywał studia malarskie, zdaje się, że i pod tym względem był upartym, ascetycznym samoukiem. Opanował znakomicie rysunek tzw. akademicki, ale już bardzo wcześnie zaczął szukać własnego wyrazu w deformacji.

Ludwik Lille był duszą lwowskiego środowiska malarskiego. Żyli i pracowali tutaj malarze może zdolniejsi od niego, tworzący z mniejszym wysiłkiem niż ten, obarczony kulturą tysięcy intelektualistów. Zdaje mi się, że nadmierny samokrytycyzm hamował w jakiś sposób jego rozmach twórczy, że inni, mniej wykształceni, byli od niego płodniejsi, bardziej spontaniczni. Ale bez względu na to,

jak koledzy oceniali malarstwo Ludwika Lillego — rozumiało się samo przez się, że prezesem Związku Lwowskich Plastyków może być tylko on. Był nim też przez długie lata. Ten mól książkowy i domator potrafił walczyć wytrwale z magistratem o sale wystawowe dla plastyków, z prasą o miejsce dla recenzji z wystaw. O jakiejś dotacji czy stypendium dla plastyków nie było chyba wtedy z kim walczyć...

A jednak Lille nie opuszczał rąk. Oto fragment jego artykułu z roku 1934 pt. „O przyszłość sztuk plastycznych we Lwowie”:

„...Lwów, który wykazywał i wykazuje tyle zrozumienia dla teatru, który zakłada i rozszerza swoje muzea, jest dziwnie nieczuły na jednym punkcie: na punkcie sztuk plastycznych. Setki prac walają się po pracowniach w pył i w kurzu i nie mogą spełnić swego najważniejszego zadania: nie mogą przemówić do widza. W kulturalnych teatrach, a nie w lokalu wystawowym mieści się chwilowy przytułek Lwowskiego Zawodowego Związku Artystów Plastyków. Nie możemy urządzić ani większego przeglądu prac własnych ani wpłynąć na otoczenie pokazując wystawy obcych artystów. I to wszystko dlatego, że w tak rozległym mieście nie jesteśmy w stanie przy największym wysiłku znaleźć kilku ścian pustych, na których moglibyśmy rozwiesić obrazy i napisać słowo: Wystawa.

...Dlatego musi się, i to jak najrychlej, przyjąć z pomocą lwowskiemu artyście, musi się przerwać te dwa, wciąż jeszcze zamknięte w sobie koła: artystów i miasta”.

Głos ten nie pozostał bez echa. Niebawem Magistrat oddał do dyspozycji Związku Plastyków obszerny lokal przy Placu Mariackim. Urządzono tam wystawy nie tylko własnych prac, ale także artystów z Warszawy i z Krakowa. Organizowano odczyty i dyskusje. Pamiętam piękną, pośmiertną wystawę Waliszewskiego. Pierwszy wyłom w owych „zamkniętych w sobie kołach” został dokonany. W jakiś czas później stała się nawet rzecz w owych czasach niebywała: zakup i nagroda pieniężna. Muzeum Sztuki Ukraińskiej zakupiło obraz Romana Sielskiego, nagrodę ojców miasta przyznano Stanisławowi Teisseyre'owi. Związek lwowski skupiał plastyków o diametralnie różnych zainteresowaniach artystycznych: od awangardystów, jak np. bardzo aktywna przez pewien czas grupa „Artes”, do której i Lille należał, do skrajnych naturalistów. Skupiał ludzi trzech narodowości: Polaków, Rusinów i Żydów. W czasach narastających antagonizmów narodowościowych, grupa artystów plastyków zwała ostentacyjnie swój związek „Lwowskim Zawodowym Związkiem Artystów Plastyków”. Dzięki tej nazwie plastyki narodowości ruskiej i żydowskiej na równi z Polakami uważali ten związek za swój. W gronie plastyków lwowskich było wiele mieszanych małżeństw, w stosunkach koleżeńskich i towarzyskich narodowość i wyznanie nie odgrywały najmniejszej roli, nie przywiązywano absolutnie żadnej wagi do pochodzenia społecznego ani do różnic majątkowych. Plastyki lwowscy jawnie i zdecydowanie przeciwstawiali się płynącej z zachodu faszystowskiej zaradzie. Sądzę, że do ich na wskroś humanistycznej i wyjątkowej w owych czasach postawy przyczyniła się niemało

długoletnia działalność „żelaznego” prezesa Związku Plastyków Lwowskich — Ludwika Lillego.

Pewnego wieczora Lille przyprowadził do nas Margitę i Romana Sielskich. Byli młodym małżeństwem, parali się malarstwem, niedawno wrócili z Paryża, gdzie byli uczniami Legera. Teraz razem z Ludwikiem należeli do awangardowej grupy „Artes”. Ludwik promieniał widząc, że bardzo przypadliśmy sobie do gustu. Zawsze zależało mu na tym, aby ludzie, których on lubił, przyjaźnili się z sobą i zawsze mu się udawało, miał pod tym względem nieomylny instykt.

Sielscy nie mieli dotkliwych trosk materialnych. Żyli bardzo skromnie, lecz byli w tym szczęśliwym położeniu, że mogli oddawać się tylko malarstwu, co wtedy, podobnie jak dzisiaj, było luksusem, gdyż malarstwo tylko w wyjątkowych wypadkach dawało minimum egzystencji. Ojciec Margit zwany był w kółku przyjaciół Sielskich poufale i serdecznie „Wincentym” (nazywał się inaczej, był inżynierem i miał jakieś niewielkie przedsiębiorstwo instalacyjne czy handlowe). Nie był majątny, lecz nie tylko bez szemrania, ale z przyjemnością łożył w miarę swych możliwości na utrzymanie tej pary artystów. Cenił i kochał sztukę i gdy miał trochę zbędnego grosza, kupował obrazy także innych malarzy. Sądzę, że córka malarka realizowała dawno pogrzebane lub może nawet nieuświadomione tęsknoty ojca.

Wspominam o tym dlatego, że wydaje mi się to dość charakterystyczne dla ówczesnego Lwowa. Nie wszyscy mieszczanie byli „straszni”, nie tylko Dulscy i „mydlarze” — jak mawiała Młoda Polska — zaludniali to miasto. I we Lwowie było oczywiście mnóstwo kołtunów, a bardzo niewiele „Wincentych”, i potrzeby społeczeństwa — podobnie jak dzisiaj — zaspokajały landszafty i święte obrazki. Mimo to na wystawach malarskich zjawiała się tu i ówdzie karteczka z napisem „zakupione”, a w mieszkaniu niejednego lekarza czy adwokata można było zobaczyć obraz jakiegoś współczesnego malarza.

Pamiętam, że Margit znalazła nawet krawczynię, która szyła jej suknie w zamian za akwarelkę czy gwasz. Nie zmienia to naturalnie faktu, że większość lwowskich plastyków klepała biedę.

Sielscy byli bardzo lubiani i mieli mnóstwo przyjaciół. Powiedzenie „przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi” nigdzie nie sprawdzało się tak dosłownie, jak w środowisku malarzy. Przez Sielskich poznałam Teisseyre'ów i wspomniany na wstępie dom na Krasuczynie, a potem już całą „paczkę”: pięknego jak rzeźba grecka cioteczno brata Staszka Teisseyre'a malarza i architekta — Tadeusza Woyciechowskiego, świetnego karykaturzystę Jerzego Janischa i innych, o których jeszcze wspomnę. Woyciechowski i Janisch byli kiedyś inicjatorami grupy „Artes”, która dawniej reprezentowała najbardziej lewe skrzydło lwowskiego malarstwa. Później większość artesowców „nawróciła się” na pewnego rodzaju postimpresjonizm, zdaje mi się jednak, że moi przyjaciele nigdy nie wyzbyli się surrealistycznego spojrzenia na rzeczywistość, przynajmniej tę, która istniała poza ramą obrazu. Chcę przez to powiedzieć, że oni — a ja z nimi — nie dostrzegali rzeczywistości we właściwych wymiarach, że widzieli tylko sztukę i urodę życia. Pamiętam, że Marylka wyraziła to kiedyś w takich mniej więcej słowach: „Toczy się po świecie zamknięty dyliżans, wiezie nas i grupkę najbliższych przyjaciół. Z okien dyliżansu podziwiamy piękno świata i staramy się je jakoś utrwalić. Któż troszczyłby się o gościniec?”. A nasz wspólny przyjaciel architekt Kocimski odkładając w kawiarni przeczytaną właśnie gazetę, powiedział z westchnieniem: „Żyjemy na wulkanie, gdy wybuchnie, lawa zaleje wszystkich, tych, którzy z przerażeniem w oczach obserwują krater i tych, którzy tańczą na wulkanie. Więc tańczmy!” Tańczyliśmy...ściany dyliżansu wydawały się jeszcze trwałe. Kiedy zbliżyliśmy się z Marylką, stwierdziłyśmy że zdziwieniem, że obie spędziłyśmy pierwszą młodość w tym samym olbrzymim Domu Kolejowym przy ulicy Głębokiej, a nie znałyśmy się nawet z widzenia! Szybko nadrobiliśmy jednak zaniebdania przeszłości: zyskałyśmy przecież przyszłość.

W ciągu wszystkich owych lat Marylka stała na rozdrożu między malarstwem i literaturą. Robiła małe, dowcipne rysunki o zacięciu satyrycznym, ale miała też silne ciągoty literackie. Kiedyś dla rozrywki i właściwie na kolanie napisała scenariusz filmowy, który otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. Zdaje się, że taki właśnie typ wyobraźni, jaki cechował Marylkę, predestynuje człowieka do twórczości filmowej, ale cóż, wytwórni filmów nie było wówczas u nas, toteż tylko rysowała na marginesie zajęć w domu i w ogrodzie, wyzywając się — przynajmniej do pewnego stopnia — w dojrzałym już, subtelnym malarstwie męża. Staszek, syn znanego geologa, profesora politechniki, ulegając woli ojca zdobył wprawdzie dyplom inżyniera-agnonoma, potem wolał jednak zaciśnąć pasa i malować, niż pracować w zawodzie, który mu nie odpowiadał.

W owych czasach Staszek bardzo dużo malował i czytał. Był świetnym narciarzem, mistrzem narciarskiego Lwowa. Czuło się w nim energię, która wówczas nie mogła znaleźć ujścia w inny sposób.

W domu na Krasuczynie schodzono się bardzo często, zwłaszcza latem, zimą zbierano się przeważnie u nas, w śródmieściu. Toczono wiele gorących i namiętych dyskusji, a inicjował je głównie Tadeusz Woyciechowski. Kipiąco w nim od pomysłów, z którymi musiał dzielić się z przyjaciółmi. Taką miał naturę. Musiał przedyskutować każdą przeczytaną książkę i roztrząsać wszystkie zagadnienia artystyczne, jakie nurtowały wtedy Polskę i Europę. Miał dużą łatwość precyzyjnego formułowania myśli, był jakby intelektualnym kijem w mrowisku, zaczynem nieustającego fermentu, który nie dopuszczał do prowincjonalnego marazmu, niweczył wszelką zaściankowość.

Wydaje mi się, że w jakimś stopniu Tadeusz wyrażał wówczas poglądy artystyczne znacznej części lwowskiego środowiska malarskiego. Pamiętam okres kiedy on, Staszek T. i jeszcze paru malarzy skonstatowali zgodnie, że w historii polskiego malarstwa nie ma prawie obrazów ludzkiej pracy w mieście, że istnieją jedynie obrazy pracy na wsi, i to tylko jako szczegół w pejzażu, jak np. u Chełmońskiego. Wiem, że w tym okresie robili szkice z natury w piekarniach i pobliskich cegielniach i nosili się z zamiarem malowania wielkich kompozycji figuralnych, których głównym tematem miała być praca. W tym samym mniej więcej czasie przyjechał do Lwowa mieszkający stale w Paryżu znany malarz starszego pokolenia Leopold Gottlieb i przwiózł kilka obrazów o tej samej tematyce. Mieliśmy taki obraz Gottlieba, przedstawiał lakiernika czy malarza pokojowego podczas pracy na drabinie: biała postać na białym tle, ale wyrafinowane zróżnicowanie wszystkich bieli robiło wrażenie wielkiego bogactwa koloru.

Były to zatem tendecje nurtujące nie tylko środowisko lwowskie. Wisiały niejako w powietrzu. Inaczej poczynił sobie Jerzy Janisch. Był w ogóle inny. Nie malował przyrody. Obrazy jego robiły wrażenie koszmarnych widziadeł sennych, pozostał wierny surrealizmowi, Marylka twierdziła, że „myślał surrealistycznie”. Ale karykatury Janischa były najzupełniej czytelne, miał demaskatorskie spojrzenie satyryka i zaskakujący, groteskowy dowcip. Jego sugestywne, złośliwe karykatury odsłaniały podszewkę ludzi i zdarzeń, nosiły wszystkie cechy ostrej krytyki społecznej. Nie publikował ich w czasopiśmie, chyba nie starał się o to, a wystawiał bardzo rzadko.

W wieczornych zebraniach i eskapadach przyjaciół Janisch uczestniczył nieczęsto. Jak wszyscy ludzie nieśmiali, czuł się bez porównania lepiej w małym gronie osób. Zdaje mi się też, że ze względu na rodziców musiał wcześniej wracać do domu. Ale przed południem często wpadał do Staszków, do Tadeusza i do mnie. Wyciągał mnie na dalekie spacer, lubił wąskie, staromiejskie uliczki, zatłoczone place targowe, rozmaitość typów ludzkich, barwność tłumy. Tak się dziwnie składa, że ze spacerów z Janischem najgłębiej wryły mi się w pamięć dwa — jakże różne — pogrzeby.

# Obozowisko w Zbarażu

JAN HURYK

Wybierali się niechętnie, bo z musu. Lecz spieszyć się musieli. Skończyły się akuratnie żniwa, trzeba było wymłócić, oddać kontyngent<sup>1/</sup> i zawieźć do młyna. Potrzebna była mąka na drogę.

— Coś jeść trzeba będzie przecież.

Trwały więc gorączkowe prace. Zwózka snopów z pola, młocka pośpieszna i wszystko do worków, jeden dla sowietów, drugi dla siebie.

— Prędzej. Szybciej. Poganiaj! Czasu nie ma.

Pośpiech był niesamowity. Pomagali jeden drugiemu, aby szybciej, żeby tylko zdążyć.

— Potrzebne będą na drogę suchary, smalec, słonina, kasza. Trzeba zabrać i kiszoną kapustę, i ogórki, i kaszę, ziemniaki, buraki czerwone. Kogutki, kury, kaczkę — to do kojców. Po parze na rozplódek, a reszta, to się zobaczy. Napiec też chleba na zapas, bo nie wiadomo, gdzie i kiedy upiec będzie nowy można.

Prac przeróżnych było zatrzęsienie ogromne. Pracowali wszyscy i starzy, i młodzi, i dzieci. Nikt się nie ociągał. Pośpiech potęgowany był wieściami o wyczynach UPA. Co rusz to na któreś wsi kogoś zamordowali, zamęczali całą rodzinę, znęcali się nad dziećmi. Nie było wyjścia.

— Trzeba uciekać i już, bo i nas wymordują.

Trzeba było jeszcze tylko rozdysponować, co i komu pozostawić. Zostawiało się przecież wszystko. Niewiele można było zabrać ze sobą. Dorobek życia na furę niestety się nie zmieści. Szymko porzadawał co mógł, po rodzinie. Semko otrzymał młocarnię, kierat, pas i szaleniec<sup>2/</sup>. Porzadawał brony, włokę, płótki do podsypywania baraboli<sup>3/</sup> i wiele innych przedmiotów, które w gospodarstwie były niezbędne. Pług jednak zabrał, bo bez niego ani rusz.

— Co wart chłop bez pługa? — powtarzał.

Wyprzedawali z Karolką co się dało, ale najczęściej w handlu wymiennym, coś za coś. Tak poszła jałówka, cielę, jakieś skóry, okrycia, silosy wypletane ze słomy jeszcze przez dziadka. Beczki, drobniaki i rarytasy, trochę kur, kaczkę i gęsi — rozebrali ludzie.

Przez lata całe gromadzi różności i dopiero, gdy trzeba to „wywieźć”, spostrzega, jak to tego jest wiele. No i poszło to między ludzi.

— A niech mają, a niech tam, co im będziemy żalowali. Niech się cieszą. Może im się przyda.

Temu skóry, tamtemu skrzynię, innemu meble, naczynia, ktoś inny zabrał jeszcze inne statki. Był przecież cały warsztat stolarski. A było tego na strychach, w stajniach, stodołach, spichlerzu, w całym domu i gospodarstwie. Zapasy słomy, siana, „baraboli” i innych płodów ziemi. Gotowe okołoty, to jest snopy wyczyszczonej, żytniej słomy, na snopki i powróśla. Skład materiałów budowlanych. Dwie ogromne przyzmy kamienia budowlanego, gromadzonego przez lata, na budowę nowego domu. Drewno na wozy, budulcowe i opałowe. Nie sposób wyliczyć, ile i czego tam jeszcze było. Zostawiało się nie dorobek dwóch, trzech lat, lecz dorobek pokoleń. Tego, co tam było, nie dał nikt. Dorabiali się ludziami całymi pokoleniami, przez całe wieki. Na dowód tego, pod stodołą wisiła oryginalna socha, którą Dziadek Jaśko „Krawiec” ojciec Szymka jeszcze orał. Zawieszona na pamiętkę był też tył wozu, którego osie wykonane były z drewna akacji. To były namacalne dowody, że nic tam darmo nie rozdawano. Rozbudowa gospodarstwa, jego pomnażanie, świadczyły, że synowie godni swych Ojców byli. Wszystkiego trzeba się było dorabiać własnym trudem. Nic nie przychodziło samo. Na wszystko trzeba było zapracować. Chociażby taki kamień budowlany.

Thukło się go w kamieniołomach samemu, wolnym czasem i zwoziło furmanką na podwórze, przez wiele lat.

Podobnie z drewnem budulcowym. Jeździło się najpierw na odrodek, przy wywózce drewna z lasu, a wyplatę otrzymywało się w postaci budulca. Ściągało się go zimą, bo saniami lżej. Oj, trzeba się było natyrać, bo rosły nowe budynki.

Najprostrze były budynki z niewypalanej cegły. Znana była cała technologia produkcji takiej cegły. Największy udział miały tu kobiety, których zadaniem było miésienie gliny. W ziemnym dole, takiej sadzawce, wrzuconą glinę, nogami rozdrabniano i doprowadzano do konsystencji ciasta. „Kobitki”, zakasawszy spódnice, włożyły w to błotko i podśpiewując, tańczyły, unosząc wysoko kolana i zagłębiając ponownie w żółtej mazi. Dolewano wody, dodając plewy i sieczkę. Uzyskawszy właściwą konsystencję, wychodzono z tej glinianki. Natychmiast myły kobity nogi, bo zaniedbanie tego, groziło długim moczeniem nóg w rzece, gdyż glina mocno się trzyma, a szczególnie nóg owłosionych. Nakładano, tak przygotowaną zaprawę do drewnianych form, a uformowany bloczek wykładano na wyrównany grunt do wysuszenia. Robiono też takie nieforemne „hałamuce”. Słońce służyło za piec i suszarnię. Żle się stało, gdy w taką porę popadał deszcz. Przykrywanie, zabezpieczanie przed podmyciem z dołu. To był kłopot nie lada jaki.

Podobnie było ze snopkami na posywanie dachów. Też prastara technologia, dziś niepotrzebna. Ludzie budowali z tego, co mieli i robili to w tani sposób. Z tego powodu, spaliło się, w czasie walki pomiędzy milicją, a banderowcami, pięć gospodarstw na Markówszczyźnie, koło cerkwi. Spaliły się wszystkie budynki, poczynając od Zatorskiego, na Sobolaku kończąc. Potężny to był ogień. Prawie nic nie udało się uratować. Pięć rodzin, jednego dnia stało się żebrakami. Nieszczęście nie dające się opowiedzieć w prosty sposób. Niestety nie wszystkich było stać na budynki murowane i pod blachą.

Teraz przyszedł na tych pracowitych ludzi czas innej próby. Ładowali dobytek na furmanki i wyjeżdżali na dworzec kolejowy do Zbaraża. Tam na rampie składali na kupę to co przywieźli i rozpoczynali „siedzenie” na stacji. Czekali na wagony, którymi pojedą na zachód. Szymko załadował worki ze zbożem, mąką i krupami na wóz. Przypiął z tyłu wozu krowy. Wsadzili jeszcze na wierzch wozu kojce z kurami i wio. Pojechali tą samą drogą, którą jeździli na jarmarki do Zbaraża. Z podwórza wyjeżdżało się na gościniec, po prawej „Kółko”, trochę dalej, na górce, stał pomnik Mickiewicza — replika lwowskiego — dłuta Popiela.

Tu skręcić trzeba w prawo. Teraz po lewej, była szkoła, a dalej gospodarstwo Mielnika. A po prawej, gospodarstwo Pawła Huryka i jeszcze dalej, naprzeciw Mielnika, gospodarstwo „Kichiewki”, nazywano tak, bo ciągle kaszłał i kichał. Za „Kichiewkom” stodoła dziedzica z Romanówki i dalej szczerze pola. Trakt bity, kamienny prowadził na Zbaraż, ale nie był ukończony. Trochę dalej za wsią droga rozwidła się. Tu stał krzyż przydrożny. W tym miejscu Szymko skręcił w lewo. Była to polna droga na Stryjówkę. Tą też drogą, noga za nogą, wlekli się caluśki dzień do celu. Krowy nie mogły biec, stąd też taka mitręga. Trzeba też było po drodze napoić i popaść w rowie przydrożnym. Dowlekli się do rogatki miasta pod wieczór. Słonko już zaszło, gdy stanęli na rampie stacji. Noc spędzili na wozie. Rano, wyładowawszy furę, wracał szymko do Kujdaniec po zapasy na drogę dla chudoby. Teraz był szybciej, bo podganiał Busztana i Karę, więc zajęło mu to około czterech godzin.

Nocował u siebie. Następnego dnia znów wyładował wóz dobytkiem i paszą, wyruszając tą samą trasą. Tak kursował cały tydzień. Trzeba było, coś zabrać jeszcze i Gience i babci Kurylucce, to ciotce Joħańce, a to jeszcze komuś. Nie było temu końca.

Teraz kujdanieccy urzędowali w Zbarażu. A tak. W powiecie jakby kto pytał. taka masa luda stłoczona, z bydłem, koźmi, całym dobytkiem na stacji, pod gołym niebem. Czekamy. Wiadomości o pociągu, ani du, du! „Czaja” chłopcy dzień, drugi, już tydzień minął. Nic. Cicho, sza. Poszli do Rejonu:

— Nu, paka, my niczewo nie znamem.<sup>4/</sup>

— No to kiedy w końcu wyjeżdżamy?

— Nieznaju.

— No to co ty kacapie znajesz, jakisz twoju mat.<sup>5/</sup>

— Prijdut wot uwidisz. Tiepier stupaj. Nu! Uchadi! Mieszat nie nada.<sup>6/</sup>

Tyle się chłopi od władzy dowiedzieli.

Dzieciom czekanie się nie dłużyło. Tyle tu było przeróżnych miejsc do zabaw, jakich we wsi nie znajdzie. Szyny kolejowe były miejscem zawodów i rozgrywania przeróżnych konkurencji. Chodzenie po szynie na odległość, ten wygrywał, kto nie spadł najdłużej. Skoki po szwelach.<sup>7/</sup> Rzuty do celu i na odległość kamieniami. Wyprawy torami aż do przejazdu, do budki strażnika, nasłuchiwanie stuku kół w szynach. Wysłuchiwanie telefonów, przykładaniem ucha do słupa telegraficznego.

Niedaleko obozowiska położone były zbiorniki ze smołą. Zbiorniki nie były ani ogrodzone, ani strzeżone. W chłodniejsze dni, na smole tworzyła się skorupa, jak lód na stawie. Co odważniejsi, wchodzili tam sprawdzić czy się nie załamuje. Zastygła smoła miękko się ugiwała, więc przebiegali sadzawkę na przełaj. Smoła czepiała się stóp i tam zostawała. Wody brakowało, więc wieczorem dzieci kładły się spać nie myte. No i dopiero rano, przy wstawaniu, był rwetes i rumot. Sklejone smołą ubranie z pościelą, koszula z pierzyną, a pierzyna ze spodniami, spodnie z majtkami. Smoła rozgrzana nocnym ciepłem, rozplýwała po wszystkich zakamarkach. Posklejało się wszystko do kupy, nie można było tego łatwo porozdzierać. Najtrudniej z tego galimatiasu było wydobywać samych poszkodowanych.

— Jak tu teraz zrobić pranie?

Odbywało się, wpiery pranie pasem delikwentów, amatorów smolnych atrakcji wycieczkowych. Następnie cały dzień czyszczenie poplamionych rzeczy, na sucho. Wycieranie plam skórkami słoniny i płukanie w zimnej wodzie, ciepłej nie było gdzie i w czym przygotować. No, tak i gosposie miały tanim kosztem, brązowo-szaro-burą pościel. Najłatwiej radzono sobie z powalnymi smołą włosami. Chodziły dzieciśka wygolone na pałę, co miało później i tę zaletę, że wszy nie miały gdzie mieszkać. Nie odstraszały dzieci od smoły, ani chłosty, ani szturchańce, nie pomagał babski lament. Ciągłe ktoś przespał się ze smołą. Dopiero, gdy zabawa o mało nie skończyła się tragicznie, zabroniono tych igraszek kategorycznie. Stasio Rejfur, nie zdając sobie sprawy, że w południe — lodu” na smole nie ma wstąpił do „smolarni”, po drodze mu było. Uszedł dwa kroki i zaczął tonąć. Miał szczęście, że któreś z dzieci to widziało. Zaalarmowani ludzie, wyciągnęli biedaczyska na czas, bo akurat w chwili, gdy już buzią dotykał powierzchni piekielnego trunku. Był tylko w spodenkach. Smoła przykleiła się do niego na całym ciecie. Strugała więc go, ciotka Wichta, jak marchwkę, cały dzień. Przyglądały się temu maluchy z całego obozowiska, obiecując sobie solennie nie bawić się na smolnej ślizgawce.

Znakomitą atrakcją w Zbarażu był jarmark. Wychodziły tam przeważnie kobiety, by prehandlować to i owo. Kupić soli lub cukru, a czasem jakie świecidełko, grzebień z aluminiowej blachy, to jaką chuścicę. Handel to był często wymienny, bo w pieniądź przestali ludzie wierzyć. Reńskich, marek, rubli, czerwoców, karbowanców, złotych i bezwartościowych papierów wydawanych przez różne władze, już nie chcieli. Znikające jak kamfora na wietrze, państwa, okupańci, nowi panowie, zrabowali doszczętnie dorobek ludzki i do tego wydali świadectwo swej niemocy — papierowe, bezwartościowe pieniądze. Pozostawały po nich tylko nic nie znaczące na rynku, bankowe bilety. Nawet dzieci nie chciały się tym bawić. No bo kto bawi się w śmietniku? Handlowano więc na kozuchy, skóry, pierze, wełnę, nasiona różnych roślin i zbożem. Czasem ktoś dawał kogutka za kaszę jaglaną. Inny sprzedawał barana za mąkę. Potrzebna też była nafta, mydło, soda kaustyczna, zapałki, zwane tu siarnikami. Poszukiwane było obuwie, którego był brak ogromny, trudno było odpowiednie znaleźć. Było się na co napa-trzeć na taki jarmarku.

Karolka chciała sprzedać parę kaczek.

— Bo to żarłoczne paskudztwo całkiem nas obeżre i sami nie

będziemy mieli co do gęby włożyć. Przedam i może co za nie dostanę.

Poszli na jarmark. Nie było długo chętnych, ale jakoś zjawił się, przed południem, kupiec, no i zamieniła gospodyni kaczkę, za stare cholewki butów.

— Dobre i to. Może któremu zrobi się jakie bucięta na zimę.

Szymko zrobił Jasykowi, lecz nie dojechały za nową granicę. W nocy, na stacji przeładunkowej w Medyce, skradli mu. Jaśko Ziemię Odzyskane zdobył bosą.

Tymczasem jeszcze wszyscy byli na stacji w Zbarażu. Trzeba było coś ugotować do jedzenia. Nie było ani kuchni, ani opału. Karolka z dziećskami wypatrzyła odpowiednie kamienie. Toczając je po ziemi, wspólnym wysiłkiem, ustawiono je w niewielkim oddaleniu od bud obozowiska. Szymko poustawiał je odpowiednio i nałożył blat kuchenny, zabrany z domu. Opału należało poszukać w okolicy. Trochę drewna, słomy i węgla, uzbieranego na torach i można gotować. Stali wszyscy, wokół tej namiastki domowego ogniska, przyglądając się krzątaniu babskiej. Naraz wszystkie miały co robić i rozkazywać.

— Władyk i Jaśko niech jeszcze nazbierają trochę patyczków.

— A Maryśka to co? Nie może też zbierać?

— Marynia będzie strugała baraboli. Chyba, że się pomieniacie.

— E, to my sami nazbieramy.

— Szymku! Weź wodną te worki, bo nijak do baraboli nie można się dostać. Gdzie ten nóż si zapodział? Dopiero com jego miała w ręce i dzieś si zapodział. Dzie ja go podziała. Tu był i nigdzie go tera nie widać.

— Taż krajałaś chlip dla tych huncwotów. To gdzieś go położyła?

— Szymku? Ty nie brał noża? Ha? Słyszysz? Nie widział ty tego ostrego noża?

— Nie. Ja mam swój nożyk w kieszeni.

— To daj Maryśce tego „żydka”<sup>8/</sup> niech struga baraboli. A nóż może później się znajdzie. Rozwiąż jeszcze worek z mąką, to jakich klusek zrobisz. Kury akurat się zniosły, to będzie jajko do ciasta. Mlika mam szcze z rana, bom czarną napasła jeszcze z rosą, to dała cały skopek mlika. Trochę wypiliśmy, ali jeszcze do zamięszenia ciasta starczy.

Ogień buzował pod blachą, aż poczerwieniała. Tak wszyscy chcieli, by dobrze się paliło, to skądś nawet węla przytaskali.

— Nie dokładajcie więcej, bo mi wszystko pospała si na kuchni. No, już dosyć. Zostaw na jutro jeszcze trochę tych patyków.

— O, popatrz no, jaką fajną kuchnię mają.

— Karolka, jak skończysz to może ja sobi co ugotuje troszku.

— Taż stawiaj zanim kuchnia nie ostygła. Blat szcze rozgrzanyj, to troszku czego podłożysz i już będziesz miała. Nie trzeba długo czekać.

Tak do kuchni dołączyła ciotka Johaśka, potem Gienka coś tam pitrasila i jeszcze ktoś. Kuchnia to kuchnia. Przydaje się.

Byłoby nieźle, gdyby nie deszcze. Zaczęło padać. Jeden dzień wytrzymali, ale noc stała się okropnie dokuczliwa. Szymko zrobił z desek od wozu namiot, lecz okazał się za mały na nocleg. Siedzieć w kukci, to jeszcze można było, ale położyć się spać nie było gdzie. Przez jedną noc przemokły wszystkie derki, chusty, chałaty i kozuchy. Padało od rana bez przerwy. Rano nie można się nawet ruszyć. Ulewa jakby zawzięła się na nieszczęsnych i nie ustawała. Drugi dzień bez ciepłej strawy. Wszystko mokre, do niczego ręki nie można przytknąć. Do zapasów też nie można się dostać, bo nakryte wiązkami słomy, która też przemokła, nie wolno było ruszyć, by nie zalać, a byłaby to strata niepowetowana. Następną noc znów w deszczu, który nie ustawał. Ludziska zaczęli się modlić. Do kogoż to, jak nie do Najwyższego, w tych ciężkich czasach można było się zwrócić. Modlitwy widocznie poskutkowały, bo nad ranem deszcz trochę ustał. Na tyle, że zdążono z obrządkiem bydła. Szymka i tak całymi nocami nie było, bo pilnował krów i koni, które uwiązane były dalej od ludzi, w wydzielonym sektorze rampy kolejowej. Wyznaczone były dyżury, ale lepiej swego dopilnować samemu. Batiarów i w Zbarażu nie brakowało. Milicja miała zapewnić bez-

pieczeństwo, ale w to nikt nie wierzył. Jak strzelali, to nie wiadomo kogo trafią, krowę czy chaziana.<sup>9/</sup> Jakoś po południu, deszcz znowu zaczął padać.

— Maryśka! — woła Karolka, a w głosie wyczuwa się złość. — Leć no, chudko po Szymka. Nu! Leć, niech przyjdzie. Trzeba coś z tą budą zrobić, bo tak dalej nie można żyć.

Pobiegło dziewczynisko, rozpryskując błoto bosymi stopami na wszystkie strony. Szymko stał pod okapem dworca i ćmił skręta z samosiejki. Dym unosił się jak z komina parowozu, bo skręt miał wymiar hawajskiego cygara.

— Co się stało?

— A, nic, tylko mama kazała być chudko<sup>10/</sup> był przy budach, bo wszędzie woda zaciekła i same nie damy rady.

Poczępali oboje na koczowisko, taplając się bosymi stopami w błocku, moczeni ulewą. Burza nie zamierzała w ogóle ustać. Raczej przybierała na sile. Pod wieczór już lało z taką siłą, że nosa wyściubić nie było można. Szymko wykopał rowki do odpływu wody. Poustawiał wyżej, to co było bardziej narażone na zamoczenie, dodatkowo przykrył słomą z wierzchu. Cóż można było jeszcze uczynić w czasie ulewnego deszczu? Sam był przemoczony do suchej nitki, mimo skórzanego chałata, z którym nie rozstawał się już od trzech dni. Nie było gdzie się wysuszyć. Przycupnęli wszyscy w budzie, przykryli czym kto mógł i nasłuchiwali szalejącego żywiołu. To błyskawica rozwarła niebo, jak bramę folwarczną, to grzmot przetoczył się daleki, hurkocząc jak rzymska kwadryga. Wszystko wskazywało, że burza dopiero zbliża się, idzie na nich nieubłaganie. Skurczyli się z nagłą wszyscy, gdy niespodzianie piorun trzasnął tak blisko, że zdało się, iż w samą budę trafił. Jaśko z Władkiem nurknęli pod pierzynę. Maryna też chciała się schować, ale huncwoty, trzymali mocno za rogi i kopyrtali nogami.

— W Imię Ojca i Syna... — Przeżegnali się naraz wszyscy, jak na komendę, bo nikt nie zna dnia ni godziny. Strach ścisnął skurczem serca przerażone.

Jezusie Nazareński! A to co takiego było? - Wyrżał Szymko w stronę gdzie stało bydło, nasłuchiwał. Przykucnął znowu w budzie, bo deszcz zaczął po twarzy. Znowu strzeliło jak ciężko kalibrowa armata, aż budami zatrzęsło. Błysnęło tak oślepiająco, że dniem zajaśniało. Zatrzeszczało, rozniosło rechotem zdradzieckim. Diabelski chichot Lucyfera rozniósł się nad koczowiskiem. Nawet piekielni słudzy wyśmiewali się z tego pyłu ludzkiego, chowającego się w takich marnych skrytkach. Szczury pouciekały do pewniejszych nor, a ci tu siedzą, skazańcy bez winy i dlaczego? Kto tak sobie z nich zakpił? W czeluściach piekieł, nawet takich pomysłów nie mają złoczyńcy kwalifikowani.

— Zobacz no Szymku, czy czasem gdzie się nie pali, bo to było coś bardzo blisko.

— Nie. Nie widać. Może w drzewo trafił, bo coś tak zatrzęszczało, jakby drzewo się złamało. Nie widzę nic. Ciemno. Trzeba iść do bydła, by się nie pourywało.

I poszedł w tę ciemnicę, w ten deszcz, błyskawice i grzmoty. Nawet Burek siedział pod budą i grzał Władkowi nogi. A chłopisko poszło w taką ulewę, by chudoba się nie bała. Jak będzie tam gospodarz, zobaczą, to się uspokoją. Stworzenie też rozumne. Wszystko było i konie, cała kujdaniecka chudoba, była w jednym miejscu. Już byli tam też inni. Dobrze wiedzieli, jak ciężko bydłociu pod gołym niebem w taką porę. Sprawdzali powrozy, wiązania, głaskali konie po łbach i chrapach. Te kiwały głowami, że wszystko w porządku i strząsały z siebie wodę, kuląc się ponownie, smagane strugami deszczu.

Dopiero nad ranem burza ustała. Wygrzebywali się ludkowie ze swych schowków i zaglądali w różne zakamarki rachując straty, wylewając wodę, której nagromadziło się wszędzie, bez miary. Koczowisko wyglądało zawsze nędznie, lecz po tej kilkudniowej ulewie, było w rozpaczliwym stanie.

— Jak słonko nie osuszy, to zgnijemy w tym bagnie.

Szukali więc ludzie skrawka suchości, bo do niczego rąk nie można było zacześcić.

— Szymku, taż rób jaką większą budę, zaczym nie pada. Dłużej nie możemy tak na kupie poskładani siedzieć. Jeszcze nie wiadomo jak długo przyjdzie nam tu gnić, bo o wagonach nic nie mówią.

Zabrali się wszyscy do budowy większego szałas. Nie za bardzo się udał, bo solidnego dachu nie było z czego wykonać. Przydałyby się snopki, ale te zostały w Kujdańcach. Wybrał się Szymko jeszcze do domu, ale wrócił z niczym. Na gospodarstwie siedział już „zachidniak”.<sup>11/</sup> Już się rozpanoszył i pyskuje:

— Tu już nic twego nie ma. Twoje na zachodzie, w Giermanii. Chciał mu Szymko przetłumaczyć, ale narobiła krzyku Karolka. „Zachidniak” nastawił się jak indor, napindyczył i rozpyskował, tak jakby on tu był dziedzicem, pan z panów. Łachmyta zatracony, który nawet jednego ogona nie przywiódł. Jakaś bidota śmierdząca. Bez chudoby i dobytku, to na cudzym chce się popaść. Byłby go Szymko wbił w ten czarnoziem jak gnidę za obszewką, gdyby Karolka nie narobiła lamentu. „Zachidniak” był to chłopina niewielkiego wzrostu, a czupurny jakiś. Zadzierał głowę do góry, patrząc na Szymka, jak na topole. Chude to jakieś niedożywione, chlerlawe i wredne. Jak tak dobrze na tym zachodzie, to czego tu przyszedł szukać?

— No, to my doczekali się. Swego już nawet, nie można wziąć.

Przesiedleniec z Bieszczad bronił zastanego, jak swego, a cudzy los go nie interesował. Parę snopków dostał Szymko od Semka, ale za mało. Przywiódł też trochę paszy dla bydła. Była to ostatnia wyprawa do Kujdaniec, bo poszły słuchy, że już nawet do kogoś strzelali, gdy chciał jeszcze coś z domu zabrać.

— Budajby to kulera wziena! Wyjechać nie można i powracać nie ma gdzie. Poginiemy tu wszystkie na tej stacji zatraconej. Co z tym „eszelonom”?

Poszli kupą do urzędu. Nie wskórali nic, ale co sobie ulżyli, to ulżyli. Uriadnykie<sup>12/</sup> z biura pozwiewali. Milicjantów prawie rozbroili, bo powyjmowali im zamki z karabinów i powyrzucali w burzany.

— No! Bo co! Oberwańce, łachmyty zatracone, wtrącają się nieproszeni. Z kacapami inaczej nie pogadasz, nim w pierw w mordę nie przywalisz. Zaraz cię szanują.

Nie było żartów. Wóz, albo przewóz. Siedzieli, jak straceńcy już miesiąc na rampie, a transportu jak nie było, tak i nie ma. Trzeba było się upomnieć. Sami muszą swego dochodzić.

Czy to poskutkowało, nie wie nikt. Jednak pod koniec września wagony podstawili. Powiedzieli, że w ciągu trzech godzin trzeba się załadować na wagony. Wagony towarowe. Po trzy rodziny do wagonu. Stoją te wagony wprost na torach. Do każdego wysoko. Dla zwierząt podstawili przy rampie ładunkowej, było łatwiej. Natomiast dobytek, ludzie na plecach nosili do wagonów, wprost na torach ustawionych. pracowali bez różnicy, starzy i młodzi, jak kto mógł. Wszyscy, na gwałt, chcieli się załadować. W nasz wagon zmieścił się: Wujna Gienka z Tadzkiem i babcią, Wiewiórkowie — trzy osoby: Ciotka Johaśka, wujko Marcin i Marynia. Nas było najwięcej, bo aż pięć dusz. Worki ze zbożem, paszą, zapasy żywności, odzież, pościel. Wszystko na jednej kupie. Na tym wszystkim dzieci i dorośli, pod samym dachem, tak, że tylko można tam było wpełzać, jak na zapiecek.

Uwijali się ludzie jak w ukropie. Porozbierane na elementy wozy, narzędzia i kojce z drobiem, to wszystko na dach wagonu. Wewnątrz nic się już nie mieściło. Jeszcze trochę siana, bodaj dla krów, też na dach. Zdążyli na czas. Już parowóz napełnił tender wodą i węglem. Już go będą podczepiali. Chłopy trochę więcej czasu zmitrężyli, bo z kofimi były kłopoty. Trzeba im było oczy zawiązywać, gdyż bały się wejść do wagonów. Dwa wagony nawet nie nadawały się dla zwierząt, bo miały niskie burty, ale innych nie było. Zwierzęta ładowano do odkrytych wagonów, bez zadaszenia, ale ludzie chociaż byli pod dachem. Wszystko było gotowe, na czas załadowane, a pociąg jak stał na stacji, tak stoi. Parowóz podczepiony, sapie i dymi okropnie, smrodzi nie do wytrzymania - i nie ruszamy.

— Dlaczego nie odjeżdżamy? Co znowu się dzieje? No! Chociaż mamy dach nad głową. Już nie będzie za kark kapąło, w razie dyszczu.

Odezwała się harmoszka gdzieś, w którymś wagonie. Jasykowi przypomniał się sen... Melodia dochodząca jakby z coraz większej odległości w końcu ucichła.

Pod wieczór ruszyliśmy na Tarnopol. Nie ma mądrego, który wytłumaczył by, dlaczego nasz transport włókł się ponad miesiąc.

W listopadzie 1945 roku na stacji w Bolesławcu wyrzucili ludzie wszystko z wagonów. Nikt nie miał ochoty jechać dalej. Poszła fama, że jedziemy do Lwówka. Nic z tego. Już nie słuchano nikogo. Poszła babska „rozwiadka”<sup>13/</sup> za miejscem osiedlenia. To był początek rozpadu wspólnoty kujdanieckiej.

- 1/ obowiązkowe dostawy
- 2/ Koło zamachowe — przekąźnikowe wraz z wałem pędnym. Urządzenie niezbędne przy kieratówce — młocarni poruszanej kieratem
- 3/ ziemniaków
- 4/ Jak dotąd nic nie wiemy
- 5/ ... — przekleństwo (tu: taka twoja mać)
- 6/ Przyjadą to zobaczysz. Teraz wynocha. No! Odejdź! Nie przeszkadzać.
- 7/ podkładach
- 8/ scyzoryk z drewnianą toczoną rękojeścią. Ostrze miał w kształcie trapezu. Złożony przypominał brodatego żyda.
- 9/ gospodarz
- 10/ szybko
- 11/ ten z zachodu, tj. Ukraińiec przesiedlony z Bieszczad
- 12/ urzędnicy (ros.)
- 13/ zwiad

Fragmety ostatniego rozdziału powieści pt „Kiernica” opisującego w szerokim ujęciu historyczno — etnograficznym życia społeczności wiejskiej w Kujdańcach, gmina Kujdańce, pow. Zbaraż woj. tarnopolskie. Autor Jan Huryk b. mieszkaniec Kujdaniec obecnie emerytowany nauczyciel poszukuje sponsorów zainteresowanych wydaniem tej niezwykle ciekawej dla historyka, etnografa i językoznawcy pozycji.

Kujdańce w latach 30. liczyły 1020 Polaków, 390 Ukraińców, 6 Żydów. Inaczej rozkładały się proporcje wyznaniowe. Rzymsko — katolików było 676, grekokatolików 700, wyznania mojżeszowego 40. (Dane wg pierwszego powszechnego spisu ludności z 30 IX 1921 Główny Urząd Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej, t.XV województwo tarnopolskie, W — wa 1923, s.24).

*Jednym z epizodów wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. były walki w okolicach Łopatyna. Rozpoczęły się one w trzeciej dekadzie lipca i trwały do połowy sierpnia. Sławne były wówczas szarże polskich kawalerzystów pod Smarżowem i Szczurowicami.*

## Pomnik Polskich Żołnierzy w Łopatynie

TADEUSZ KUKIZ, JAN TOMASZEWSKI

Bój i Łopatyn odbył się 14 sierpnia. Tego dnia o świcie 40. pułk piechoty Strzelców Lwowskich zaatakował zajęty przez Budionnego Łopatyn (były tam dwa pułki jazdy). Po krótkiej, lecz zaciętej walce oddziały polskie wpadły do Łopatyna. Nieprzyjaciel w popłochu wycofał się, a sam Budionny, kwaterujący w czwartym domu za cerkwią (dom ten stoi do dzisiaj wówczas należał do polskiej rodziny Bilików), w białiznie zdążył uciec samochodem.

W kilka godzin później Budionny ściągnął posiłki, otoczył Łopatyn i skierował na miasteczko, a zwłaszcza na kościół, silny ogień artylerii. Do dziś w ścianie kościoła tkwią armatnie pociski. O 14, wobec wyczerpania amunicji, oddziały polskie otrzymały rozkaz wycofania się. Odwrót osłaniał I batalion 40. p.p., który jeszcze przez dwie godziny utrzymywał Łopatyn umożliwiając własnym oddziałom wycofanie się, ale ponosząc ciężkie straty w rannych i zabitych.

Najwięcej polskich żołnierzy (około 60) zginęło na błoniach zwanych Cyganówką. Otoczeni przez konnicę Budionnego, po wystrzeleniu ostatnich nabożów zmuszeni byli poddać się — zostali jednak co do jednego porąbani szablami. Tu też ich pochowano. Na tym tragicznym miejscu postawiono potem trzymetrowy, dębowy krzyż.

Polskich żołnierzy poległych w Łopatynie i okolicy pochowano na miejscowym cmentarzu, a obok mogił 2 września 1926 r. odsłonięto pomnik. Po kilkunastu miesiącach, 3 grudnia 1927 r., pochowano tu także szczątki ekshumowane z żołnierskich grobów na Cyganówce i rozrzuconych w okolicy.

W 1994 r., staraniem Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie pomnik i mogiły polskich żołnierzy, zniszczone po 1939 r., zostały odrestaurowane i w dniu 9 lipca 1995 r. — w przededniu 75. rocznicy walk o Łopatyn — ponownie odsłonięte i poświęcone.

Spółczesność polskie, a zwłaszcza dawni mieszkańcy Łopatyna i okolic, wyrażają nadzieję, że obecni i przyszli łopatynianie nie dopuszczą do ponownego zniszczenia Pomnika. Postawiony on został dla uczczenia poległych i nie jest przeciw komukolwiek wymierzony. Jest świadectwem historii.



Ze zbioru p. Marii Będkowskiej z Bytomia

Kwatera i pomnik Żołnierzy Polskich w Łopatynie (stan sprzed 1939 r.)

*Szlakiem historii, zabytków, wspomnień*

## A u nas we Lwowie... nad Odrą

ZBIGNIEW UMAŃSKI

50 lat temu, kiedy wyrokiem historii Wrocław wracał do Polski, Lwowiacy stanowili największą grupę wśród pionierów zasiedlających ten zdruzgotany wojną, niegdyś piastowski, gród nad Odrą. Odgruzowywali jego ulice i place, uruchamiali pierwsze tramwaje i fabryki, dzwignali z ruin uczelnie i świątynie. Kładli podwaliny pod wrocławskie szkolnictwo wyższe, oświatę, kulturę i sztukę. Zmuszeni do opuszczenia swojego pięknego miasta, tu nad Odrą zaczęli tworzyć swoją nową, małą ojczyznę. I choć za Lwowem nie przestali tęsknić, z czasem pokochali Wrocław, wrosli w to miasto nadając mu swoim „batakiem”, batiarskim humorem na poły lwowski charakter. Nic więc dziwnego, że kiedy rozpoczęły się jubileuszowe obchody zakończenia II wojny światowej, postanowili przypomnieć, sobie i innym, jak Wrocław wracał do Macierzy, stawał się — przy ich dużym udziale — polskim, dużym miastem znaczącym w kraju, znanym szeroko zagranicą. O publicznym wizerunku Lwówian i Kresowian we Wrocławiu w związku z 50 rocznicą przynależności miasta do Polski i współpracy w tym zakresie z Radą m. Wrocławia prowadzone były rozmowy jeszcze w ubiegłym roku. 29 VIII 94 r. Prezes Zarządu Głównego TML i KPW dr Danuta Nespak spotkała się z Przewodniczącym Komisji Oświaty Rady m. Wrocławia p. mgr. Z. Magdziarzem i wysunęła propozycję by zaprezentować wówczas dorobek artystyczny Towarzystwa bo przecież działają przy jego Oddziałach teatru poezji i lwowskie kabarety. Zostało to przyjęte z dużym zainteresowaniem a P. Przewodniczący w trakcie tej rozmowy wysunął nawet projekt młodzieżowego konkursu wiedzy o Lwowie. Następnie 23 XI 94 r. w biurze Zarządu Głównego odbyło się zebranie Klubów i Oddziału Wrocławskiego TML i KPW na którym przedyskutowano i opracowano w głównych zarysach projekt programu kulturalnego prezentującego dorobek Towarzystwa w tym zakresie, który mógłby wejść do programu jubileuszowych obchodów we Wrocławiu. Projekt ten został później przesłany na ręce Przewodniczącego rady m. Wrocławia p. Andrzeja Łosia i Zarząd Główny otrzymał niebawem uprzejmą odpowiedź. Dalszą działalność programową i organizacyjną imprez lwowskich przyjęły na siebie w całości, nie szczędząc wysiłku i pracy Zarządy: Klub „Leopolis” i Oddział Wrocławski TML i KPW.

Tak więc od wiosny 1995 r. zrzeszeni w Towarzystwie Miłośników Wrocławia i Kresów Południowo — Wschodnich Lwowiacy i kresowiaci, oprócz uczestnictwa w oficjalnych obchodach jubileuszowych, urządzali środowiskowe imprezy, ale ogólnodostępne — prelekcje, wieczory wspomnień, spotkania z lwowiakami — wrocławskimi pionierami z tamtych lat. I tak Wrocławski Klub „Leopolis” gościł u siebie pana Stanisława Klapko z wrocławskiego Klubu Ludzi ze Znakiem „P”, który wywieziony w 1944 roku przez Niemców ze Lwowa na roboty przymusowe do Rzeszy, trafił do Wrocławia. Wraz z innymi Polakami tu przywiezionymi, jako niewolnik — robotnik pracował w fabryce zbrojeniowej, później zapędzono ich do budowy lotniska na placu Grunwaldzkim, stawianiu barykad na ulicach. Wielu z nich zginęło, on szczęśliwie przeżył piekło oblężenia Festung Breslau. Gdy polska administracja prze-

jęła Wrocław — pomagał w przywracaniu do życia zdruzgotanego miasta, przyjęcia rodaków przesiedlanych z b. Kresów Wschodnich II RP. I już tu pozostał — założył rodzinę, doczekał się wnuków... Podobne spotkanie — z pionierami wrocławskiego osiedla Wojnow, przybyłymi tu w 1945 r. z podlowskich Dublan — zorganizował Wrocławski Oddział TMLiKPW oraz inne kluby.

W 50 rocznicę zakończenia II wojny światowej Klub Nauczycielski i Oddział Wrocławski wspólnie z Towarzystwem Miłośników Wrocławia i Klubem „Perpedes” PTTK oraz finansowym wsparciu Wydziału Kultury Urzędu Miejskiego, zorganizowały Młodzieżowy Rajd Szlakiem Zabytków Lwowa we Wrocławiu. Celem tej imprezy było ukazanie młodemu pokoleniu dolnoślążaków, tu już urodzonymu, historycznych, naukowych i artystycznych związków między tymi, z pozoru odległymi, miastami.

Wystarczy przypomnieć, że średniowieczni muratorzy wrocławscy — Joachim Grom, Mikołaj Gonzaga i Ambroży Rabisch wznosili katedrę lwowską, a wrocławski rzeźbiarz — Jan Pfister pracował przy wykończeniu słynnych kaplic Boimów i Kampianów we Lwowie. W ich ślady poszli wrocławscy kupcy, rzemieślnicy, ludzie nauki. Wielu z nich z czasem zleopolizowało się, a później spolszczyło. Zmieniali nazwiska, jak Scharffenbergowie na Ostrogórcy, Alpeckowie na Alembeków, Scholzowie — na Wolfowiczów i stali się gorącymi patriotami lwowskimi. A po II wojnie światowej, zrządzeniem losu, lwowiacy odbudowywali wrocławskie kościoły...



Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 2 im. Orłąt Lwowskich w Wołowie biorący udział w Młodzieżowym Rajdzie „Szlakiem zabytków Lwowa we Wrocławiu”

Wędrując śladami pamiętek Lwowa we Wrocławiu młodzież uczestnicząca w rajdzie odwiedziła i zapoznała się z historią „Osolineum”, którego zbiory niestety nie w całości przywieziono po wojnie nad Odrę, Panoramę Raclawicką, udostępnioną ponownie społeczeństwu, po wielu perypetiach dopiero w 1985 r. Pod Pomnikiem Orłąt Lwowskich na cmentarzu św. Rodziny na Sępólnie, wzniesionym przez wrocławskich lwowiaków przy pomocy wojska, uczestnicy rajdu uczcili pamięć swoich rówieśników — bohaterów obrońców polskiego Lwowa w 1918 r., a pod Pomnikiem Profesorów Lwowskich, zamordowanych przez Niemców 4 lipca 1941 — oddali hołd ich pamięci. Młodzi tropiciele historii nie zapomnieli odwiedzić także jednego z ostatnich „przesiedleńców” znad Pełtwi — pomnika Aleksandra hr. Fredry przed Ratuszem.

Oprowadzających po ich mieście „starych” lwowiaków wrocławskich cieszył liczny udział w rajdzie młodych dolnoślązaków. Zgłosiło się 125 dziewcząt i chłopców — na podkreślenie zasługuje ich b.dobre przygotowanie do odpowiedzi na 30 pytań dotyczących Lwowa i Wrocławia, co jest niewątpliwą zasługą ich wychowawców.

W odbywających się tradycyjnie w czerwcu Dniach Wrocławia były w tym roku również lwowskie akcenty, nawet Dni. Mamy nadzieję że stanie się to tradycją. Zainaugurował je koncert orkiestry MPK na Rynku (pracowało w niej wielu lwowskich tramwajarzy, a kilku z nich gra jeszcze do dzisiaj). Grano bardzo tu popularne lwowskie „kawałki” oraz piosenki wrocławskie, zyskując aplauz słuchających. Było to niejako preludium muzyczne do galowego koncertu pt. „Wszystko stamtąd, czyli rzecz o nieprzemijającej pamięci Lwowa”, który odbył się na zakończenie lwowskich dni 23 czerwca br. w Operetce Wrocławskiej. Takiego tu jeszcze nie było...

Stara lwowska „hebra”, zamieszkała nad Odrą, przyszła w komplecie do Operetki Wrocławskiej, aby uczestniczyć w tym wydarzeniu. Wśród nich założyciele Towarzystwa Miłośników Lwowa po latach starań — Stanisław Krzaklewski, Miłu Teśluk, I prezes TML — Zdzisław Zieliński i aktualnie panująca prezes TMLiKPW, dr Danuta Nespiak, duszpasterz organizacji kresowych ks. kanonik Janusz Popławski, lwowiacy z innych miast, wrocławianie tu urodzeni, ale z lwowskim rodowodem, sympatycy i przedstawiciele władz miejskich. Wzruszonym głosem powitała wszystkich, w imieniu organizatorów imprezy, prezes I Wr. Klubu „Leopolis” p. inż. J. Węglińska — Flis i przekazała scenę, udekorowaną flagami Lwowa, Wrocławia i Polski — młodym artystom z zespołu „My 16” i Studia Piosenki z Nowego Sącza oraz z zespołu wokalnego „Jesteśmy” przy wrocławskim MDK.

Tekstami M. Hemara, H. Zbierchowskiego, J. Michotka, a głównie Jerzego Masióra Prezesa TMWiKPW w Nowym Sączu — poety i reżysera młodzieżowej części imprezy oraz muzyką skomponowaną przez Aleksandra Porzuckiego, 9-letni i trochę starsi „artyści” wyczarowali śpiewem, recytacją i melodią piękno i urok tamtego miasta, „bohaterkich żołnierzyków” — Orłąt Lwowskich i „żłocistych



fol. Zdzisław J. Zieliński

Śłynni artyści: na lewo — Andrzej Hiolski, na prawo Wojciech hr. Dzieduszycki

ułanów jazłowieckich”. Ślepą Mińcię, Łyczakowskich batiarów o gołęmb sercu i preclarkę z Pohulanki. Jak żywi stanęli nam przed oczami babcia i dziadzio ze Lwowa, uczestniczyliśmy w balu u weteranów i dzieliliśmy gehennę lwowiaków wywożonych w bydłych wagonach na Sybir... Śmiech i wzruszenie towarzyszyły na przemian występom utalentowanej i wychowanej patriotycznie młodzieży. Nie wstydzono się wycierać chusteczką „pocących się” oczu, bo robiło to wielu. Ja także...



fol. Zdzisław J. Zieliński

Zespół wrocławski z Miejskiego Domu Kultury we Wrocławiu

A potem wystąpiła stara, lwowska gwardia — wrocławianie Wojciech hrabia Dzieduszycki i jego niegdyś kolega „po fachu”, słynny artysta operowy — Andrzej Hiolski który w 1946 r. śpiewał w Operze Wrocławskiej. A wraz z nimi — wrocławscy artyści — Elżbieta Cieślawska i Antoni Bogucki, którym akompaniował prof. Andrzej Janusz z wrocławskiej Akademii Muzycznej. Wrócił pogodny nastrój, lwowski humor, gdy Tunio zaśpiewał, najpierw sam, a później z nowosądecką młodzieżą jak to się bawiło „U nas we Lwowie...” i inne lwowskie kawałki. Gorące brawa dostali soliści — śpiewacy za pięknie wykonane, znane arie operowe. Nie starczyło już niestety czasu na bisy, bo wkrótce miał się rozpocząć spektakl operetkowy i z żalem żegnano się z artystami nucąc „A u nas we Lwowie...” Mam jednak dobrą wiadomość dla miłośniczek talentu Andrzeja Hiolskiego: maestro obiecał organizatorom przyjazd do Wrocławia na przyszłoroczne dni lwowskie.



fol. Zdzisław J. Zieliński

Śpiewają uczennice i uczniowie Szkoły Podstawowej nr 16 im. Orłąt Lwowskich z Nowego Sącza

Oprócz tej głównej imprezy podczas lwowskich dni odbywały jeszcze inne, nie mniej ciekawe. Atrakcją dla wrocławskich miłośników kolarstwa — młodych i starszych było spotkanie z Bolesławem Zajiczkiem — jednym z dwóch Europejczyków uczestniczących w rajdzie niepełnosprawnych cyklistów przez Europę z metą w ...Waszyngtonie. Ten kolarz bez obu rąk, kresowianin mieszkający w Mili-



czu nieopodal Wrocławia, opowiadał o swoim rowerze specjalnie skonstruowanym dla niego na rajd przez bydgoski „Romet”, o przygodach na etapach z Edynburga do Paryża i Wiednia i o tym, jak będą „pokonywać” ocean, by dojechać do stolicy USA.

Wymieniając ważniejsze imprezy, które odbyły się w roku jubileuszowych obchodów we Wrocławiu nie można pominąć sesji zorganizowanej przez Stowarzyszenie Upamiętnienia Zbrodni Narodowców Ukraińskich i Instytut Pamięci Narodowej, której celem było przedstawienie udokumentowanych już zbrodni dokonanych na kresowych Polakach w woj. lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim.

W 54 rocznicę rozstrzelania przez Niemców we Lwowie 25 polskich uczonych delegacja Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo — Wschodnich — Prezes Zarządu Głównego dr Danuta Nespiał, Vice prezes mgr Emil Teśluk, Skarbnik mgr Danuta Tabińska — Juhasz, mgr Zbigniew Umański z Zarządu Oddziału oraz przedstawiciele Światowego Związku AK III Obszaru Lwowskiego, goście — przedstawiciele Polonii z Wielkiej Brytanii i Australii złożyli kwiaty pod pomnikiem pomordowanych profesorów na pl. Grunwaldzkim.

Po wakacjach I wrocławskie Liceum Ogólnokształcące otrzyma imię światowej sławy kartografa, lwowianina Eugeniusza Romera, odbędzie się też indywidualny młodzieżowy konkurs wiedzy o Lwowie, będą organizowane „Poranki poezji i piosenki lwowskiej” w Klubie Muzyki i Literatury.

Zainteresowani tymi imprezami mogą dowiedzieć się szczegółów w biurze Oddziału Wrocławskiego i Klubu „Leopolis” TMLiKPW przy ul. Włodkowica 8, I p., od wtorku do piątku w godzinach 12-16.

Pięknym i poważnym zamknięciem tegorocznej „obecności Lwowa we Wrocławiu” będzie konferencja naukowa pt. „150 lat Politechniki Lwowskiej”, która odbędzie się w dniach 25 — 26 września w auli Politechniki Wrocławskiej a którą organizuje Wrocławskie Towarzystwo Naukowe. W Komitecie Organizacyjnym tej konferencji naukowej są przedstawiciele Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa. Absolwenci tej wspaniałej uczelni polskiej zgłosili już swój udział przyjadą z Polski i zagranicy.

## Suplement

Organizatorzy imprez lwowskich w „Dniach Wrocławia” serdecznie dziękują Wydziałowi Kultury Rady Miejskiej Wrocławia za pomoc finansową, Operetce Wrocławskiej za nieodpłatne udostępnienie sceny i sali widowiskowej. Wrocławscy lwowiacy są szczególnie wdzięczni artyście: pani E. Cieślowskiej, panom A. Hiolskiemu i A. Boguckiemu za bezinteresowny występ, a prof. A. Januszowi — za akompaniament. Niepowtarzalnemu lwowsko — wrocławskiemu hrabiowi Tuniowi Dzieduszyckiemu. Wierzymy, że zechce wystąpić w „Dniach Lwowskich” w przyszłym roku.

Zbigniew Umański

## PÓŁ WIEKU JERZY MASIOR

Ciężarówka marki „GAZ”  
wygrużyła wszystko co nasze  
na Czerniowieckim.  
Pół wieku temu.  
Tyle lat  
zaledwie w kącie wagonu.  
Całe Miasto zmieściło się  
pod bydłęcym dachem:  
moja Leśna,  
twoja Listopadowa,  
moje Corso,  
mój Szajnocha,  
moi Karmelici,  
twoja Maria Magdalena,

twój początek arytmii serca,  
twoja kołyska stamtąd —  
maleńka rzecz na długie życie.  
I odjechaliśmy w to długie życie  
bydłęcą kuszetką  
przez zwrotnice WKB/b/

Już lato,  
już jesień,  
powtórki pór roku,  
tamtej chawiry,  
bzów na Listopada,  
jaśminów na Cetnerówce,  
przyrzeczeń na Wysokim Zamku,  
wszystkiego...

Nowy Sącz w maju, 1995

Wiersz wygłoszony przez Autora i Annę Patykówną na rozpoczęciu koncertu we wrocławskiej operetce w dn. 23 VI 1995 z okazji 50-lecia emigracji ze Lwowa.



## Nasi Czytelnicy piszą

Przed I wojną światową uczęszczałem do szkoły we Lwowie, z językiem wykładowym polskim. Obowiązkowym był również język niemiecki i ruski. Powtarzam: ruski, nie ukraiński.

Mieszkałem w domu narożnym przy ul. Supińskiego i Mochnackiego. Z mojego okna widziałem napis na budynku szkolnym. Niebiesko-żółta cyrylica głosiła, że to jest Szkoła Diwoczyj Rusko-ho Towarystwa Pedagogicznego... A więc Szkoła Dziewcząt Ruskiego (nie Ukraińskiego) Towarzystwa Pedagogicznego. Ten napis zachował się do roku 1939. Ciągu dalszego nie znam.

W VIII i X Gimnazjum Państwowym we Lwowie miałem różnorodnych kolegów: był syjonista Józef Roth i jego kuzyn i Polak Seweryn Roth. Był Wacyk, Ukrainiec i Dybiak Rusin. Rozmowa tych dwóch bawiła całą klasę. „Ty Wacyk, ty wariata nie strugaj. My pochodzimy z tego samego miasta, z tej samej ulicy, chodzimy do tej samej cerkwi, a ja jestem Polak, a ty jakiegoś Ukraińca odwalasz...”

Do Sławska, na Podkarpaciu jeździłem często na narty. Towarzyszył mi czasem młody malarz urodzony w Sławsku, greko-kato-

lik. skarżył się na metropolitę Szeptyckiego, który przez popów propaguje politykę anty polską. Wybujały nacjonalizm ukraiński zakazuje Rusinom brania udziału w procesjach religijnych, rezerwowanych dla Ukraińców.

W latach 60-tych pisał do mnie, do Los Angeles, prof. Fedynskij. Nacjonalista ukraiński zdołał w r. 1945 uciec z raju sowieckiego. Fedynskij studiował we Lwowie i był uczniem mojego ojca. Po wojnie był profesorem prawa Uniwersytetu Bloomington, w stanie Indiana. Napisał m.in. pracę pt. „The Prominent Polish Legal Scholars”, pełna entuzjazmu, pełna uwielbienia dla lwowskich profesorów.

Jego wojenne wspomnienia, którymi się za mną chętnie dzielił zawierały taki fragment: w roku 1944 w czasie wielkiej ofensywy sowieckiej, tej „oswabdzającej” ataman ukraiński walczący po stronie niemieckiej, został ciężko ranny. Rzecz dzieje się na ulicy Wuleckiej we Lwowie. Fedynskij (Ukraińiec) chce atamana ratować, ale nie wie jak to zrobić, bo w mieście pełno patroli sowieckich. Żona rannego mieszka po drugiej stronie miasta. Jak tu ją sprowa-

dzić? albo zawiadomić? Dozorca kamienicy, gdzie krył się ataman, był Polak. „To ja pójde po żonę” — oświadczył. „Ależ panie! Czy pan wie na co się naraża. Zresztą pan jest Polak, a ataman to pański wróg. UNDO!” Po chwili ciszy, dozorca (Polak) oświadczył: „Tak wróg. Ale usrać się! to jest przeciw człowiek”. I poszedł. Prof. Fedynskij pisał, że tej sceny do końca życia nie zapomni. A to USRAĆ SIĘ! zostało w jego pamięci najpiękniejszą deklaracją człowieczeństwa. I jeszcze jedno: gra słów „ruski” i „rosyjski” to jest wbambuspierzenie pijanych paranoików jak Stalin lub zdziennych polityków jak Roosevelt. Skoro oni odeszli (mamy co prawda szeregi innych pijanych dzikusów), przypomnieć należy, że ulica Ruska we Lwowie istniała od wieków, istniała przed koncepcją polityczną (bo nie narodowościową) zwaną Rosją. Ulica Ruska była Ulicą Ruską, gdy Rosja nazywała się jeszcze Wielkim Księstwem Moskiewskim. Na zakończenie warto wspomnieć naszych wielkich Rusinów: hetmana Żółkiewskiego i hetmana Chodkiewicza.

Roman Makarewicz z Hawaj USA

\*\*\*

Szanowna Redakcjo,  
Sz.P. Naczelny Redaktorze Zdzisławie Ojrzyński

Zwracam się z prośbą o sprostowanie opisu tytułowego zdjęcia okładki w nr. 5(22)1994 „Semper Fidelis”. Cytuję opis: Na okładce w 50-tą rocznicę „Akcja Burza” w dn. 24 lipca br. na Cmentarzu Obrońców Lwowa wieńce składają: Stanisław Janicki ps. Roman — d-ca plutonu „Grom” z Zamarstynowa, Eugeniusz Cydzik — podchorąży Wachlarza z Grodna oraz Emil Tesluk ps. Tadek — obrońca Gazowni, obecny v-prezes Z.G. TMLiPKW z Wrocławia. Jestem ja, tj. Witold Wróblewski ps. „Dzięcioł” nie wymieniony. Przykro mi, że nazwisko moje nieświadomie zostało pominięte. Pismo „Semper Fidelis” wysoce cenię, jest mi serdecznie bliskie. Jestem żołnierzem AK i kombatanem, Sybirakiem — członkiem Związku Sybiraków w Krakowie.

Życzę wszystkim Pracownikom Redakcji „Semper Fidelis” na czele z Panem Redaktorem serdeczne pozdrowienia i wyrazy prawdziwego szacunku.

Witold Wróblewski

Redakcja „Semper Fidelis” przeprasza p. Witolda Wróblewskiego, żołnierza AK ps. „Dzięcioł” za zaistniałą pomyłkę i zaprasza do odwiedzenia naszej redakcji.

\*\*\*

Szanowni Państwo

Dziękuję bardzo za przyslaną książkę o Czortkowie i trzy egzemplarze „Semper Fidelis”. Książka sprawiła mi ogromną przyjemność, zarówno przez zobaczenie nieznanej mi fotografii mego Ojca (Witold Błażyński — Prezes Sądu Okręgowego 1935-1939, a nie 1933, aresztowany w Czortkowie 30.9.1939, znajduje się na „Listy katyńskiej ciąg dalszy” pod pozycją 220 64/3-80) jak i znalezieniem swego własnego nazwiska na liście uczniów gimnazjum (klasa IIa-1937/38) i fotografii grona nauczycielskiego w tym okresie.

Mieszkaliśmy z moją Matką w Czortkowie do marca 1940 r., gdy ostrzeżeni o mającym się odbyć wywozie wyjechaliśmy do Stryja, poczem do Lwowa, gdzie prof. Weigl — stary przyjaciel Matki z ich lat szkolnych w Stryju, oddał nam do dyspozycji swą willę — sam zamieszkał wtedy w pracowni na Uniwersytecie. Był to jeszcze jeden dowód Jego niebywale ludzkiego podejścia i pomocy w owych ciężkich momentach. Tym bardziej doceniałem artykuły o Nim, które się znajdują w przysłanych mi egzemplarzach „Semper Fidelis”.

Po uzyskaniu fałszywej metryki ślubu mojej Matki z własnym bratem(!), mieszkającym w Warszawie, i związana z tym tymczasowa „zmiana” nazwiska udało nam się dostać do W-woy w czerwcu 40 roku przez niemiecką komisję repatriacyjną. Od 1942 roku służyłem w AK (2 Harc. Bat. Art. Plot. Zbik), brałem udział w Po-

wstaniu w Śródmieściu-Północ, byłem w niewoli w Austrii, poczem w 2 Korpusie, i w końcu w Anglii. Po odbyciu studiów uniwersyteckich na London University (inżynier mechanik) pracowałem przez szereg lat w przemyśle w instytucjach badawczych. W 1963 roku Uniwersytet w Leeds ofiarował mi placówkę wykładowczo-badawczą, którą prowadziłem do przejścia na emeryturę w 1989 roku jako Reader in Applied Plasticity. W tym też charakterze utrzymywałem od dłuższego czasu bliskie stosunki naukowe z AGH w Krakowie.

Książka o Czortkowie przypominała mi szereg nazwisk, szczególnie „sądowych” i wobec tego mógłbym może uzupełnić, choć tylko częściowo, listę p. Ściślaka, podaną w książce, o ile oczywiście byłby On tym zainteresowany.

Łączę serdeczne pozdrowienia i życzę dalszej owocnej pracy w tak drogiej nam dziedzinie historii Kresów.

Dr Tadeusz Z. Błażyński

\*\*\*

Szanowno Redakcjo!

W książce księdza bp. W. Urbana pt. „Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej” na str. 125 jest zdanie: „W 1943 roku oni (banderowcy) napadli na Sokołówkę, zdewastowali kościół, zwłaszcza jego wnętrze, którego używali później jako miejsce do ćwiczeń strzeleckich. Zamordowali 11 Polaków”. W latach 1942-1943 pracowałem w Liegenschaft Choderkowce k/Sokołówki i stąd znałem tam wielu mieszkańców i mogę podać nazwiska niektórych pomordowanych. Podaję: Ćwik Józef, Szmidt Adam, Dziubański Józef, Dziubański Andrzej, Dziubański ?, Bielawski Mikołaj, Kucharski Jan — 17 lat, Kucharski Józef — 15 lat, Wąsala (stary ojciec nauczyciela), Błaszko Jan z żoną i synkiem, a drugi ich syn Tadeusz, ranny siekierką w głowę do dziś żyje z ogromną blizną w Gliwicach, Dulka Józef, Dulka Roman, Kopytko Józef, Rozenberg Henryk.

Ci wszyscy zostali zamordowani jednej marcowej nocy 1944 roku (a nie 1943, jak czytany w książce). Zginęło wówczas więcej osób (nie 11) ale wszystkich nazwisk nie zdołałem ustalić. Powyższe nazwiska uzgodniłem z Anną Ćwik (żoną zamordowanego) i Józefem Tkaczykiem, b. mieszkańcami Sokołówki, którzy też wszystkich pomordowanych nie mogą sobie przypomnieć. Natomiast w 1943 roku wymordowano dużą rodzinę Trznadłów. Dwoje starych rodziców utopiono w studni. Ich dwie córki Hanię i Marię, oraz ich narzeczonych uprowadzono, a ciała dopiero po dłuższym czasie wypłynęły w rozlewiskach naddniestrzańskich. Cała ta czwórka często gościła u mnie w Choderkowicach, znałem ich dobrze.

Zamordowany tam został również Henryk Rozenberg — emerytowany pracownik Akademii Rolniczej w Dublankach. On zginął w marcu 1944 roku. O jego śmierci wielokrotnie później opowiadała mi ze szczegółami jego żona Maria. Na jej oczach posadzono go na rozpalony blat kuchni, mówiąc przy tym: ty byłeś dobry pan, ciebie chłopcy chwalą, ale pieczony będziesz jeszcze lepszy. Jej, gdy usiłowała bronić męża złamali rękę.

Feliks Cały

\*\*\*

W związku z artykułem w Semper Fidelis nr 1/24/1995, „Moje chodzenie po Lwowie” autorstwa Pana Emila Hliba str. 32 mam wątpliwości odnośnie osoby Kazimierza hr. Badeniego namiestnika Galicji, że był właścicielem Gródka Jagiellońskiego.

Znane mi źródła mówią, że Kazimierz hr. Badeni namiestnik Galicji i austriacki premier ministrów był dziedzicem Buska.

Na dowód powyższego podaję parę cytatów z książki pt. „Rządy polskie w Austrii, Gabinet Kazimierza hr. Badeniego 1895-1897” Waldemara Łazuga, Poznań 1991. ... „O co więc chodziło? O zapis majątkowy Anny Wiererów wdowy po Henryku hr. Mierze, którego Kazimierz i Stanisław Badenowie byli siostrzeńcami o dwa dobrze prosperujące klucze; Busk, i Radziechów, który przypadł w udziale

Stanisławowi" ... str. 42. ... „W Galicji dzień 2 października był wielkim świętem. Wyniesienie dziedzica z Buska to nie tylko bowiem osobisty, życiowy sukces człowieka, ale tryumf polityki konserwatywnej i zasad, wielkie i zasłużone zwycięstwo całego zachowawczego obozu. Na czele oczywiście z Badenim" ... str. 60. ... „List od Badeniego zapraszający na naradę do Buska zastaje go właśnie w drodze powrotnej. Zaskoczony chyba nie jest, bo z ewentualnością taką liczył się od pewnego już czasu. W wagonie sądzi jednak, że chodzi o resort kolei żelaznych, który on Biliński dopiero utworzy. W Busku dowiedział się, że chodzi o ministerstwo skarbu" ... str. 55. .... „Z czasen jego pałac w Busku stał się miejscem spotkań starej konserwatywnej gwardii ... str. 206.

W związku z powyższym prosiłbym autora o podanie mi źródła z którego wynikałoby że Kazimierz hr. Badeni był właścicielem Gródka Jagiellońskiego, bądź sprostowanie tej informacji.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla redakcji Semper Fidelis i autora artykułu Pana Emila Hliba. Były mieszkaniec Buska

*Adolf Zabuski*

Wrocław, dnia 02.06.1995 r.

\*\*\*

Do autora artykułu „Polscy „Istriebitiele” z lat 1944-45 na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej” dr. A. Kormaniana nadeszło kilka listów w tej sprawie, wyrażające mu podziękowanie za podjęcie tego tematu. Oto fragmenty jednego z nich, który napisał p. St. Rudnicki z Warszawy:

Warszawa, dnia 23.06.1995

Szanowny Panie Doktorze!

Raz jeszcze pragnę najserdeczniej Panu podziękować za trud i wnikliwość w trudną tematykę „Istreb. Bat.” Z tym większą przyjemnością to czynię, gdyż do tej serdecznej wdzięczności przyłączają się Koledzy z naszych środowisk, dla których ta publikacja przywróciła wiarę, że nie działaliśmy w obcym interesie, lecz naszym polskim. Chociaż my sami nigdy w to nie wąpiliśmy — inni w tym też „Polacy” — oskarżali nas o różne niegodne czyny. To, że racja leży po Pana stronie, a także i po naszej — potwierdza najnowsza opinia Wojskowego Instytutu Historycznego z dnia 20.06.1995 r. Nr 356, którą zgodnie z ustaleniami w czasie naszej rozmowy telefonicznej — przesyłam Panu do wiadomości i wykorzystania wg własnego uznania.

*Stanisław Rudnicki*



## III ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH TARNÓW'95

W dniach 7-10 czerwca br. spotkało się w Tarnobrzegu około 200 uczestników z 18 państw, zjechali się polscy dziennikarze reprezentujący 4 kontynenty. Organizatorem (jak co roku sprawnym), był Wojewódzki Ośrodek Kultury w Tarnobrzegu, którego dyrektorem jest p. Stanisław Lis. Współorganizatorami byli: Polskie Stowarzyszenie Prasy Lokalnej, Telewizja Polska Oddz. Kraków SA, Polskie Radio Kraków SA, Wydawnictwo Gazeta Krakowska. Patronat objęli: Marszałek Senatu RP, przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Wojewoda i Prezydent Tarnobrzegu. Głównym oficjalnym sponsorem była Firma Oponiarska SA — Dębica. Wojewoda p. W. Woda otwierając Forum przywitał serdecznie prof. A. Stelmachowskiego Prezesa Wspólnoty Polskiej, senatora F. Księżdziorza Bachledę reprezentującego marszałka senatu A. Struzika, wiceminister MKiS Z. Podkańskiego, oraz ambasadorów Węgier i Ukrainy. Minister Podkański w swoim wystąpieniu wyraził uznanie dla idei Forum, przytoczył słowa Norwida „Ojczyzna to zbiorowy obowiązek” oraz Wincentego Witosa „Aby Polska trwała wiecznie” Na zakończenie stwierdził, że stosunki Polonii z Macierzą są poprawne, ale mogłyby być lepsze. Wystąpienie dyr. Marcina Nawrota z Departamentu Informacji i Prasy Ministerstwa Spraw Zagranicznych opierało się na sejmowym exposé ministra Spraw Zagranicznych RP. Władysława Bartoszewskiego formułującego główne kierunki polskiej polityki zagranicznej. Oto one:

- możliwe szybkie doprowadzenie do integracji z Sojuszem Północnoatlantyckim i Unią Europejską,
- budowanie dobrych, przyjaznych stosunków ze wszystkimi sąsiadami,
- aktywne uczestnictwo we współpracy regionalnej,
- intensywne rozwijanie stosunków gospodarczych ze wszystkimi rynkami świata.

„Dążenia integracyjne z Zachodem nie oznaczają izolowania się od Wschodu. Dlatego Polska nie będzie prowadzić dwóch odrębnych polityk — zachodniej i wschodniej”.

„Zmierzamy też usilnie — mówił p. Nawrot — do ożywienia i zaciśnięcia więzi z rozsianymi po całym świecie Polakami. Służy temu rozwój placówek dyplomatycznych i konsularnych, a także różne formy kontaktów bezpośrednich w czym Forum Mediów Polonijnych w Tarnobrzegu odgrywa niebagatelną rolę. W dniach następnym z wypowiedzi przedstawicieli różnych gazet polonijnych sprawa wyglądała wręcz przeciwnie. Rząd Polski poprzez MSZ nie wykazuje żadnego zainteresowania ani pomocy Polakom żyjącym poza Krajem. Najboleśniej odczuwają to Polacy żyjący na dawnych polskich ziemiach wschodnich i północnych, gdzie obecnie stanowią mniejszość narodową. Stwierdzają oni że Polska nie potrafi egzekwować ustaleń w podpisanych traktatach dotyczących mniejszości narodowych. Czują się osamotnieni i bezradni w swoich dążeniach o zachowanie polskości poprzez krzewienie kultury i tradycji polskich.

Wśród uczestników Forum zanotowałam dużo bardzo ciekawych wypowiedzi. Pan dr. Henryk Olesiak (korzenie z Borysławia) mieszkający od lat w Niemczech, ubolewa nad tamtejszą emigracją polską. Mówił „Polacy łatwiej przystosowują się do Niemców niż do siebie” prowadzi to do wynaradawiania się młodego pokolenia, bo jeśli nie ma w danej grupie potrzebnej informacji, dialogu, to proces wynaradawiania następuje bardzo szybko. Podał dużo ciekawych przykładów np. „rzecz zadziwiająca, do Instytutu Polskiego w Düsseldorfie nie wpuszcza się Polaków! Dla Niemców robi się imprezy typu: „wkład polskich Żydów w polską kulturę”. Postawił też pytanie, gdzie są ludzie (120 osób) którzy pracowali w

Monachium przez 40 lat w Rozgłośni Polskiego RWE? Nie zaistnieli na scenie politycznej, nie pracują na rzecz integracji wśród emigracji polskiej. Ambasada nie interesuje się tamtejszymi Polakami twierdził p.H.Olesiak i nawet nie odpowiada na listy. Wypowiedź p.Lwa Chmielkowskiego z Czerkas dotyczyła tragicznej sytuacji w Czeczeni. Stwierdził on, że ani radio, ani telewizja nie są w stanie przedstawić tego co tam się dzieje naprawdę, walczą też kobiety i młodzi. Powiedział że „Car Mikołaj I nie zdołał zwyciężyć tego małego narodu, Stalin chciał wykończyć go na Syberii, a Jelcyń — na własnej ziemi Ojców”.

Jeszcze w 1994 roku na II Forum w Tarnowie uwagę wszystkich zwracała pełna gruzińskiego uroku pani prof. Maria Filina z Tbilisi, pochodząca z polskiej rodziny spokrewnionej z Elizą Orzeszkową o której pisaliśmy już w nr. 4/94 Semper Fidelis. Teraz na III Forum w Tarnowie p. Marii nie było, ale przysłany przez nią tam apel podajemy poniżej.

### Stowarzyszenie Polaków w Gruzji „Polonia”

Szanowni Państwo!

Zwracamy się do Was my — Polacy z Gruzji. Polacy znaleźli się w Gruzji w XIX wieku jako zesańcy polityczni. I dopiero dziś ich potomkowie mogli zjednoczyć się w Polonię, licząc ponad dwa tysiące osób.

Tworzenie naszego Towarzystwa odbywa się w bardzo trudnym dla Gruzji momencie, i dlatego obecnie nie rozporządza ono żadnymi środkami materialnymi, a opiera się jedynie na entuzjazmie założycieli. Nasza druga ojczyzna przeżywa niezwykle ciężki kryzys polityczny i gospodarczy.

W Gruzji cały przemysł został zniszczony, panuje masowe bezrobocie, i nie ma żadnej pomocy socjalnej. Nasz kraj nie ma własnej waluty, a pensje wypłacane są w „kuponach”.

Najtragiczniejsza jest sytuacja dzieci i osób starszych. Teraz gaz został całkowicie wyłączony i bardzo często wyłączana jest elektryczność. Ludzie rozpalają ogniska na podwórkach. Często nie dochodzi też woda. Kraj i stolica są praktycznie sparaliżowane. Niemal nie działa komunikacja miejska, źle działa też komunikacja z prowincją. Na trzy miesiące zawieszono zostały zajęcia w szkołach i na uczelniach, z powodu zimna.

Cała ta sytuacja i brak perspektyw na najbliższą przyszłość, zmusza nas, by zwrócić się do Was, naszych dalekich braci wspólnej krwi, z prośbą o pomoc w dowolnej formie: pieniądze, lekarstwa, produkty spożywcze, ubrania dla dzieci.

W związku z niestabilną sytuacją w naszych bankach, prosimy by środki finansowe przesłać na konto w Warszawie. Numer konta: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”, Bank Gdański IV O/Warszawa Nr 300009—18773—132 „Pomoc Polakom w Gruzji”. Jeśli nasi dalecy rodacy zechcieli pomóc nam, przesyłając produkty spożywcze i leki, najlepiej będzie wysłać je na adres: Pater Witold Szulczyński, Nuncjatura Watykańska w Tbilisi, „Caritas” (Dla Polonii) ul. Gogebaszwili 41, Tbilisi, Gruzja.

Z wdzięcznością przyjmujemy wszelkie dary i postaramy się sprawiedliwie rozdzielić je pomiędzy potrzebujących.

Z wyrazami szacunku,

Profesor Maria Filina

Na zakończenie chciałam wyrazić wielkie zadowolenie z organizacji tego typu spotkań, które dla wielu zaowocowały stałymi kontaktami i współpracą. Jeszcze z II Forum w 1994 roku Fundacja Kresowa SF — nawiązała bliższe kontakty z Polakami, zza wschodniej granicy ze Lwowa, Kijowa, Czerkas, Berdyczowa i Gruzji. Miałam również i teraz na III Forum okazję i dużą przyjemność prowadzić „długie rodaków rozmowy” tym razem wileńsko-grodzieńskie. Mimo, że Wilno i Grodno to miasta leżące na terenie odrębnych państw lecz niedole Polaków są te same.

Żałuję tylko, że co roku jest za mało czasu żeby porozmawiać ze wszystkimi i dlatego już teraz oczekuję na IV Forum w Tarnowie. W 1996 roku będzie się ono odbywać od 12—16.06 i uatrakcyjni je międzynarodowa wystawa, o charakterze której mówi poniższy tekst plakatu.

Danuta Tabińska-Juhasz

I MIĘDZYNARODOWY  
SALON TARGOWY

"TARNOWSKIE PROMOCJE"<sup>®</sup>  
Gospodarka-Turystyka-Ekologia



TARNÓW '96

Do udziału w Targach zapraszamy zatem:

- firmy tarnowskie i firmy polskie, zainteresowane promocją swoich wyrobów i usług na rynku krajowym i międzynarodowym,
- firmy zagraniczne, w tym firmy z udziałem kapitału polonijnego, zainteresowane rynkiem polskim, ze szczególnym uwzględnieniem regionu tarnowskiego,
- samorządy gmin, zainteresowane kompleksową prezentacją i promocją swoich walorów i możliwości w dziedzinie gospodarki, turystyki i ekologii.

## Wśród książek i czasopism

### Biłka Królewska w monografii

„Cokolwiek ojczyzny się tyczy zgromadzić i od niepamięci zachować, szczególnie zaś przywiązanie do niej w rodakach ożywiać, utrzymywać, rozszerzać.” Tow. Przyj. Nauk, Warszawa 1809 r.

Z takim mottem, w skromnym nakładzie wydana została w tym roku w Rzeszowie monografia „Biłka Królewska (pow. Lwów) Zarys dziejów wsi”. Autor książki dr Władysław Łukaszyński jest dawnym mieszkańcem Biłki, mieszka w Rzeszowie, jest doktorem nauk weterynaryjnych, obecnie na emeryturze. Monografia dedykowana Rodakom Biłki Królewskiej, ma ratować od zapomnienia ich rodzinną ziemię.

Wykorzystując do opracowania materiały źródłowe uzyskane w drodze poszukiwań archiwalnych, zbiory relacji dawnych mieszkańców tej wsi oraz obszerną bibliografię, autor przedstawia wszechstronnie Biłkę Królewską, budując zarys historii jej powstania na badaniach dostępnych źródeł a także pewnych własnych założeniach hipotetycznych.

Dzieje kilku wieków historii tej wsi, do czasów współczesnych opracowane są w szczegółowych rozdziałach, uwzględniających: topografię, fizjografię, etnografię, budownictwo, rolnictwo z produkcją rolną, gospodarkę, handel, rzemiosło, usługi. Obszernie opisane jest życie mieszkańców, stosunki społeczne, narodowościowe, oświatowe, kulturalne i warunki zdrowotne. Sprawy religii datują się od budowy kościoła w 1441 r., odnoszą się do wyznań mieszkańców, szczególnie rzym — katolików którzy w r. 1939 stanowili 97 % ogółu ludności. Dzieje wsi pozostawały w ścisłym związku z dziejami bliskiego Lwowa (17 km.) i wydarzeniami jakie rozgrywały się na tym terenie w latach I i II Wojny Światowej. Autor przedstawił szczegółowo martyrologię mieszkańców w okresie okupacji sowieckiej i niemieckiej, działalność konspiracyjną ZWZ-AK, samoobronę przed nacjonalistami ukraińskimi. Opis doprowadzony jest do przymusowego wysiedlenia w roku 1945 i sytuacji wysiedleńców w Polsce.

Uzupełnieniem materiałów opisowych jest 20 tabel, 20 wykazów, mapy, plany, schematy, 59 ilustracji i indeks nazwisk. Praca ma 280 stron. Wydanie zostało sponsorowane przez Rzesz. Oddział Stow. „Wspólnota Polska”. Monografia przyjęta została z dużym zainteresowaniem, oceniana jest bardzo przychylnie i stanowi ogromnie cenną pozycję historiografii kresowej.

Niski nakład spowodował brak pokrycia dużego popytu na tę pozycję na miejscu w Rzeszowie. Autor jest skłonny przy określeniu kontraktu wielkości zamówień, dokonać dodruku książki. Zainteresowanym podaję adres autora:

dr Władysław Łukaszyński  
ul. Płk. Lisa Kuli 11/18,  
35-025 Rzeszów.

Przewidywana cena ok. 12.00 zł /120.000/ + koszty przesyłki.

### KSIĄŻKI O LWOWIE LWÓW W KSIĄŻKACH

Władysław Korcz „ZARYS DZIEJÓW LWOWA”. Zielona Góra, 1994, wyd. Zachodnie Centrum Organizacji, Sp. z o.o. 234 str. + liczne kserokopie fotografii, rysunków i malowideł w tekście.

Dzieje historyczne Lwowa — to tylko część, zaledwie połowa bardzo dobrze napisanej książki Władysława Korcza. Może to i lepiej, że historia jest podana w syntetycznym skrócie, gdyż dzięki temu czytelnik lepiej zapamięta zasadnicze fakty i ich społeczne i narodowościowe uwarunkowania.

Po dziejowe szczegóły może on sięgnąć do wydanej przed dwoma laty obszerniejszej książki — „Dziejów Lwowa” L. Podhorodeckiego, do której zresztą autor „Zarysu...” odsyła czytelników w posłowie.

Istotniejszą częścią książki Korcza jest jej druga połowa, omawiająca dzieje rozwoju kulturowego Lwowa. Znajdziemy tu obszerną monografię Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oraz monografie obu głównych wyższych uczelni Lwowa: Uniwersytetu i Politechniki. Dalszy rozdział, to „Prasa i czasopiśmiennictwo” (rozdział najobfitszy), „Towarzystwa Naukowe”, „Życie teatralne” oraz „Zakłady wydawnicze i księgarnie”.

Książka wydana starannie, aczkolwiek przy zastosowanej technice graficznej (offset) gubią się półcienie zamieszczonych fotografii i rysunków, wskutek czego straszą one kontrastową czernią i bielą. Słabą stroną części historycznej jest prawie zupełny brak mapek. Ale, jak pisze autor w posłowie cytując łańciski zwrot, „zrobiłem co mogłem, ci którzy mogą, niechaj zrobią lepiej”.

LS

### O badaniach nad historią sportu lwowskiego

#### Od redakcji

Dr Jerzy Krzysztofowicz jest autorem przygotowanej do wydania książki pt. „Piłka nożna na Ziemi Lwowskiej”. Poszukuje sponsorów, którzy pomogli by mu w jej wydaniu. Publikujemy poniżej wstęp do tego opracowania autorstwa p. J. Krzysztofowicza. Może znajdą się wśród naszych czytelników zainteresowani, którzy zechcieli by mu pomóc.

#### Wstęp

Obecnie coraz większego znaczenia nabierają badania historyczne nad dziejami kultury fizycznej w Polsce. Pojawiają się opracowania dotyczące poszczególnych regionów z ukazaniem specyfiki danego obszaru.

Monografie, artykuły, referaty, opracowania wzbogacają dotychczasowy dorobek nad dziejami kultury fizycznej.

Przejawmy działalność w kulturze fizycznej w województwach lwowskim, stanisławowskim, tarnopolskim ukazane są zbyt skromnie, we fragmentarycznych publikacjach prasowych, opracowaniach jubileuszowych lub sprawozdaniach niektórych organizacji i stowarzyszeń. A przecież znając historię wiemy, iż większość mieszkańców tamtych ziem było Polakami, że w ciągu

wielu lat istnienia miasta polskie instytucje kulturalne, oświatowe, sportowe nadawały im specyficzny narodowy charakter i świadczyły nie tylko o administracyjno — państwowej przynależności tych ziem, w okresie przedrozbiorowym i międzywojennym, do Polski.

Widowiskowość, popularność i powszechność piłki nożnej stawiają ją bardzo wysoko w hierarchii dyscyplin uprawianych na całym świecie i w Polsce.

Kolebką polskiego futbolu była Galicja, w czasie zaborów część monarchii Austro — Węgier.

Galicja od połowy XIX wieku uzyskała względną autonomię, która sprzyjała realizacji różnych inicjatyw społecznych między innymi w dziedzinie wychowania fizycznego i sportu.

W Małopolsce poziom piłki nożnej był najwyższy, kluby najstarsze, a organizatorzy najbardziej doświadczeni. W tym względzie dominującą rolę odegrał Lwów.

Rozwój piłki nożnej w Galicji, a następnie w Małopolsce Wschodniej jest częścią kultury polskiej ziem wschodnich, które pozostały po 1944 r. poza obecnymi granicami Rzeczypospolitej.

Ślady tej działalności należy ocalić od zapomnienia. Są to wartości których nie można stracić w dorobku rozwoju kultury fizycznej w Polsce.

Tytuł przedstawionego opracowania brzmi „Piłka nożna na ziemi lwowskiej”. Pod określeniem ziemia lwowska rozumieć należy obszar ówczesnego województwa lwowskiego ( — 1939), wcześniej, w okresie porozbiorowym, był częścią Galicji Wschodniej, należącej do zaboru austriackiego.

Cezury obejmują 50-letni okres od 1894 roku, w którym to odnotowano rozegranie pierwszego meczu piłkarskiego do 1944 roku. W tym przedziale czasowym autor wyróżnia trzy okresy: 1894-1919, lat międzywojennych (1920-1939) i lat okupacji (1940-1944). Termin ziemia lwowska jak się wydaje, był możliwy do przyjęcia dla wszystkich okresów.

Opracowanie składa się z czterech rozdziałów.

Rozdział pierwszy dotyczy lat 1894-1919, kiedy ziemia ta pod zaborem austriackim była Galicją Wschodnią. Autor w niniejszym rozdziale przedstawia, w ogólnym zarysie, początki ruchu sportowego, w tym piłki nożnej w Galicji Wschodniej.

Następnie przedstawiona zostaje rola Związku Piłkarskiego Piłki nożnej dla klubów galicyjskich. W okresie pierwszej wojny światowej ukazana jest skromna działalność I LKS „Czarni” i LKS „Pogoń”.

Rozdział drugi obejmuje lata 1920 — 1939, a w nich działalność organizacyjną, sędziowską, szkoleniową, wyniki sportowe osiągnięte w ramach Lwowskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej, działającego w województwie lwowskim, tarnopolskim a do 1935 w stanisławowskim. W rozdziale tym przedstawione są zakłady Zarządu LOZPN i jego wydziałów.

W rozdziale tym wyniki klubów grających w klasie A i okręgowej odzwierciedlone są w tabelach podających np. miejsce, liczbę zdobytych punktów i bramek. Stan organizacyjny LOZPN oraz wyniki reprezentacji okręgu lwowskiego zawarte w rozdziale, pozwalają czytelnikom zorientować się w rozwoju piłkarstwa lwowskiego.

Rozdział trzeci ukazuje genezę niektórych klubów sportowych, ich wyniki i sukcesy w skali ogólnopolskiej. Przy okazji omawiania klu-

bów wymienione są nazwiska niektórych działaczy, zawodników zespołów piłkarskich, a niejednokrotnie składy zarządów. W rozdziale tym widoczna jest rola sekcji piłki nożnej LKS „Pogoń” Lwów w województwie lwowskim i w Polsce.

Rozdział czwarty poświęcony został działaczom, sędziom, zawodnikom i szkoleniowcom, którzy zasłużyli się społecznikowską działalnością, osiąganymi wynikami, dostarczaniem niezapomnianych emocji i wrażeń, swą sportową walką na boisku. Ukazanie osób, które poświęcały swój czas na rzecz organizacji piłkarstwa w Galicji Wschodniej, Małopolsce jest, w odczuciu autora, uzasadnione. W rozdziale tym znajduje się podrozdział poświęcony osobom, które do 1939 roku na tamtych terenach były zawodnikami, młodymi działaczami, sympatykami sportu piłkarskiego, a później po wyzwoleniu, jako trenerzy, sędziowie, działacze odegrali znaczącą rolę w rozwoju polskiego piłkarstwa. Na końcu opracowania zamieszczono przypisy, indeks nazwisk, zestaw bibliograficzny.

W opracowaniu wykorzystano literaturę wspomnieniową — pamiętkarską Jacka Bryła, Rudolfa Wacka, Kazimierza Górskiego oraz kronikarsko — statystyczną Albina Radonia. 1 Przydatna była pozycja Jana Hałysa, a w szczególności przy omówieniu po wybuchu II wojny światowej dalszych losów drużyny Drohobyckiego „Junaka” i opracowanie „Piłka Nożna 1919-1979 — zarys encyklopedyczny”. 2 W archiwach lwowskich autor natrafił na Sprawozdanie Zarządu Lwowskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej (LOZPN 1936 r. i LKS „Pogoń” 1911-1912 oraz decyzję o rejestracji i statut I Lwowskiego Klubu Sportowego (LKS) Piłki Nożnej we Lwowie oraz statut I LKS „Czarni” Lwów. W Lwowskim Archiwum Obwodowym znaleziono skład drużyny i zarządu CWKS „Junak” Drohobycz (1938). Ważną rolę w odtwarzaniu dziejów sportu odgrywa prasa codzienna i czasopisma. W lwowskiej codziennej prasie natrafiono na wiele szczegółowych informacji niezbędnych do opracowania niniejszego tematu.

Bardzo cenne materiały źródłowe do opracowania dziejów piłkarstwa lwowskiego znalazł autor w tygodniku „Sport Lwów” z lat 1922-1927, 1932-1933, którego redaktorem naczelnym był Rudolf Wacek. Należy nadmienić, że od 1932 roku tygodnik ten był oficjalnym organem Lwowskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej.

Do niniejszego opracowania, a w szczególności przy omawianiu działalności piłkarskiej „Pogoni”, wykorzystano bardzo wartościowe, 548 — stronicowe wydanie — „Pamiętkową Księgę” Pogoni „Lwów” (1939) z 578 ilustracjami, 51 karykaturami i 119 tablicami. Wydanie to ukazuje bardzo wszechstronną działalność klubu, bilans jego zmagañ, walk, zwycięstw i porażek, jego członków, zawodników, ich bezgraniczne oddanie dla klubu i zamiłowanie do idei ówczesnego sportu.

Niektóre reprodukcje zdjęć w przedstawionym opracowaniu pochodzą z tej księgi. Ponadto przydatne były informacje zawarte w wydawanych drukiem „Sprawozdaniach z rocznej działalności LKS „Pogoń” z lat 1909 — 1937 oraz „Sprawozdania z rocznej działalności I LKS „czarni” Lwów” z lat 1909 — 1920.

Autor sięgnął również do wspomnień, relacji pisemnych, przeprowadził wywiady z działaczami klubów — przedwojennymi zawodnikami. 3 Przekazy te zawierały niejednokrotnie niepowtarzane informacje i stały się niezastąpionym uzupełnieniem zgromadzonych materiałów źródłowych, zwłaszcza dotyczących lat trzydziestych.

Zapewne lektura książki wzbudzi wiele dyskusji i uwag wśród osób jeszcze żyjących, a w szczególności tych, którzy byli zawodnikami polskich klubów z terenów południowo — wschodnich do 1939 roku. Są one nieuniknione, wręcz wskazane, powinny pobudzić do nowych przemyśleń i dalszych pogłębionych badań.

## Do wszystkich Członków naszego wołyńskiego Środowiska, ich krewnych i znajomych z Wołynia!

Zarząd Okręgu Wołyńskiego ŚZZ AK wspólnie z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa planuje przeprowadzenie w 1995 r. i w latach następnych ekshumacji szczątków pomordowanych Polaków w miejscach masowych mordów dokonanych przez OUN-UPA na Wołyniu.

W wystąpieniu w tej sprawie do Rady Ochrony Zarząd podał 14 miejscowości, w których — według posiadanych danych — znajdują się wspólne groby pomordowanych Polaków.

Są to następujące miejscowości:

1. Parośła, gm. Antonówka — 173 ofiary, 09.02.43
2. Lipniki, gm. Bereźne — 182 ofiary, 25.03.43
3. Niemilia, gm. Ludwipol — 170 ofiar, 13.05.43
4. Zabara, gm. Uhorsk — ok. 750 ofiar, 22.04.43
5. Chynów, gm. — ok. 200 ofiar, 11.07.43
6. Orzeszyn, gm. Poryck — 306 ofiar, 11.07.43
7. Dominopol, gm. Werba — 220 ofiar, 11.07.43
8. Jadwipol, gm. Równie — ok. 400 ofiar, 11.08.43
9. Zamlicze, gm. Choroń — 118 ofiar, 30.08.43
10. Gaj, gm. Wielick — 600 ofiar, 30.08.43
11. Sucha Łoza, gm. Wielick — 110 ofiar, 30.08.43
12. Huta Antonowiecka, gm. Uhorsk —  
502 ofiary, 30.08.43
13. Wola Ostrowiecka, gm. Huszcza — 529 ofiar, 30.08.43
14. Mizocz, gm. Mizocz — około 200 ofiar, sierpień 1943

Prace związane z ekshumacją mają dla nas, Wołyniaków, duże znaczenie przynajmniej z dwóch względów:

po pierwsze — umożliwiają godny pochówek szczątków pomordowanych i upamiętnienie miejsc zbrodni,  
po drugie — pozwolą udokumentować prawnie ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA na ludności polskiej na Wołyniu.

Aby jednak powyższe cele zostały osiągnięte, konieczne jest dokładne ustalenie i wskazanie miejsc masowych grobów. Każda pomyłka działać będzie na naszą niekorzyść, dostarczy bowiem stronie ukraińskiej argumentów, że nie było żadnych masowych mordów i że wszystko to jest wymysłem Polaków. Stąd też problem precyzyjnego zlokalizowania w terenie miejsc, w których będzie przeprowadzona ekshumacja — jest sprawą tak bardzo ważną.

W związku z powyższym zwracamy się do wszystkich, którzy mogliby nam w tym pomóc, aby przekazali nam informacje w tej sprawie wypełniając poniższą ankietę i przesyłając ją na adres:

Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej,  
Okręg Wołyński,  
00-867 Warszawa, ul. Chłodna 31.

## Ankieta

### w sprawie miejsc masowych grobów Polaków pomordowanych na Wołyniu w latach II Wojny Światowej

1. Nazwa miejscowości, w której dokonano masowego mordu  
.....
  2. Data dokonania mordu  
.....
  3. Liczba pomordowanych osób  
.....
  4. nazwiska, imiona i wiek zamordowanych (jeżeli większa ilość —  
podać na odwrocie)  
.....
  5. Kto mordował (UPA, Niemcy, policja ukraińska w służbie  
niemieckiej, miejscowa ludność itp.)  
.....
  6. Miejsce masowego grobu pomordowanych (określić w miarę  
możliwości dokładnie, opisać słownie, sporządzić szkic terenu, za-  
łączyć zdjęcie tego miejsca — ew. szkic na odwrocie)  
.....
  7. Czy są dokumenty, które potwierdziłyby powyższe informacje  
— jakie?  
.....
  8. Czy mógłby Pan (Pani) wskazać miejsce masowego grobu  
obecnie?  
.....
  9. Kto uratował się z tej miejscowości (nazwisko, imię, adres)  
.....
  10. Kto jeszcze mógłby odpowiedzieć na powyższe pytania?  
(nazwisko, imię, aktualny adres)  
.....
  11. Inne informacje w tej sprawie  
.....  
.....  
.....  
.....  
.....
- Imię i nazwisko, adres  
.....  
.....  
.....

## Pamięci Magdy



**Maria Urszula Sawicka** (z d. Koniczna), przez przyjaciół zwana Magdą, urodziła się 8 sierpnia 1926 r. w Rzęśnie Polskiej k. Lwowa, w rodzinie urzędnika starostwa grodzkiego m. Lwowa. Od dzieciństwa mieszkała we Lwowie na Bogdanówce, w dzielnicy Gródeckiej. Uczęszczała do szkoły powszechnej im. H. Sienkiewicza. Okupację sowiecką i niemiecką spędziła we Lwowie: w latach 1939-1941 była uczennicą XVII szkoły średniej (powstałej przez połączenie żeńskiego państw. gimnazjum im. Królowej Jadwigi i XI państw. gimnazjum męskiego). W latach 1941-1944 pracowała w fabryce papieru, później uczęszczała do kupieckiej szkoły zawodowej.

Po ekspatriacji ze Lwowa zamieszkała wraz z rodzicami w Bytomiu, gdzie zdała maturę typu humanistycznego w 1947 roku. Studia geograficzne z zakresu geomorfologii odbyła w latach 1947-1951 na Wydziale Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Wrocławskiego; gdzie słuchała wykładów profesorów: Juliana Czyżewskiego, Mieczysława Klimaszewskiego, Antoniego Kosiby, Alfreda Jahna i innych. Uzyskała stopień magistra filozofii na podstawie pracy magisterskiej dotyczącej morfologii doliny Wilczki w Kotlinie Kłodzkiej.

W 1952 roku rozpoczęła zawodową pracę pedagogiczną jako nauczyciel geografii w szkołach średnich ogólnokształcących i zawodowych Wrocławia. W 1974 r. uzyskała nagrodę Ministra Oświaty i Wychoiania pierwszego stopnia.

W 1952 r. zawarła związek małżeński z Leszkiem Sawickim, geologiem. Ich córka Aleksandra przyszła na świat w 1954 roku.

Na studiach poznała Tatry i Pieniny, które stały się odtąd jej miłością, ze szczególnym upodobaniem Kościenka nad Dunajcem. We wszystkich szkołach nauczanie geografii poszerzała wycieczkami terenowymi, wzbudzając zapał do poznawania własnego kraju wśród swoich uczniów. Propagowała górskie wycieczki piesze, uprawiała turystykę narciarską.

W 1960 r. po raz pierwszy wzięła udział w górskiej wycieczce w Kaukaz Zachodni (przejście Drogą Wojenno-Suchumską). W 1961 r. odbyła dłuższą podróż do Północnego Wietnamu, towarzysząc swemu mężowi zatrudnionemu tam jako geolog-kartograf.

Brała udział w corocznych wyprawach turystycznych po krajach europejskich: w 1962 r. do Włoch (z wejściem na Wezuwiusz), w 1972 r. do Grecji (z wejściem na Olimp), w 1975 r. — do Francji i Hiszpanii. Zwiedziła kraje bałkańskie.

Swoją podróżniczą pasję zaczęła rozwijać na szerszą skalę od 1977 roku. Wraz z mężem i grupą przyjaciół odbyła szereg wypraw o globtroterskim — niekiedy nawet pionierskim — charakterze.

Były to wyprawy:

- 1977 — przez Afganistan i Pakistan do Indii;
- 1979 — do Ladakhu (płn. Indie) i na Sri Lankę;
- 1981 — do tajlandzkiego „Złotego Trójkąta”;
- 1984 — do Radżastanu (Indie);
- 1984 — trekking w Himalajach Lahul (Indie);
- 1986 — do Tajlandii i Birmy;
- 1986 — do południowego i środkowego Peru;
- 1987 — do Indonezji (Jawa, Bali, wejście na wulkan Bromo);
- 1988 — do Egiptu i środkowej Turcji;
- 1989 — przez Karakorum i Pamiry do chińskiego Tiań-Szaniu (Pakistan, Chiny, Kazachstan „Jedwabnym szlakiem”);
- 1990 — do wschodniej Afryki (Tanzania, Kenia);
- 1991 — do południowo-zachodniej Turcji.

Wspomnienia z niektórych wędrówek opublikowała w organie Pol. Tow. Geogr. „Poznaj Świat”, ale szerszą, zbiorową relację z podróży zamieściła w książce „Zapach Monsunu”, wydanej w 1992 r. Jej mieszkanie na Karłowicach stało się mini — muzeum pamiątek folklorystycznych z tych wypraw.

Ostatnie lata swego życia związała z Towarzystwem Miłośników Lwowa i Kresów Południowo — Wschodnich, gdzie prowadziła energiczną działalność w Oddziale Wrocławskim jako jego prezes w latach 1992 — 1994. Organizowała spotkania artystyczne, pisała teksty dialogów i słuchowisk w lwowskim „bałaku”, kierowała akcjami charytatywnymi na rzecz Rodaków za wschodnią granicą. Była autorką uroczej książki „Wrocławska Wesoła Fala, czyli Mańku i Józku” (1991) oraz autobiograficznej opowieści pt „Historia nie jedyna. Opowiadanie lwowskie”, wydanej w 1990 r. pod panieńskim nazwiskiem.

Jej trzy kasy magnetofonowe z lwowskimi słuchowiskami miały duże wzięcie, prezentując autentyczny talent literacki autorki. Z ogromną godnością i hartem ducha znosiła cierpienia nieuleczalnej choroby do ostatnich dni wierząc, że zdoła ukończyć swoje muzyczne lwowskie słuchowisko „Operę za trzy szóstki”. Nie zdążyła, zmarła 27 III 1995. Ze środowiska Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich odszedł człowiek prawy, pełen pasji i nie zrealizowanych pomysłów. Może podejmą je inni.

Redakcja

11 lipca br. zmarł w Poznaniu

† † †

**prof. dr hab. Andrzej Alexiewicz,**

Prezes Oddziału Poznańskiego TML i KPW wielkiego formatu Człowiek i uczyony jeden z ostatnich przedstawicieli słynnej lwowskiej szkoły matematycznej.

Biografię Profesora zamieścimy w następnym numerze.

Część Jego Pamięci!

17 lipca br. zmarł w Warszawie

† † †

**JERZY MICHOTEK**

nasz niezapomniany Bard Lwowski, Członek Zarządu Głównego TML i KPW, Wielki Lwowianin i Patriotą

Część Jego Pamięci!





**TC DĘBICA**

## **FIRMA OPONIARSKA DĘBICA S.A.**

ul. 1 Maja 1, 39-200 Dębica  
tel. (0-146) 28-31/39  
fax. (0-14) 21-75-68  
komertel/fax. 39-124-165  
tlx. 066662, 066665

**Osoba kierująca Firmą: ZDZISŁAW CHABOWSKI**  
**Rok założenia Firmy: 1939**

### **PRODUCENT OGUMIENIA DO:**

- ▣ samochodów osobowych,
- ▣ dostawczych,
- ▣ maszyn, urządzeń rolniczych i ciągników,
- ▣ rowerów, motorowerów i motocykli,
- ▣ wózków przemysłowych

*Firma specjalizuje się w produkcji  
opon do samochodów osobowych*

Reprezentacja tej rodziny to:

D-124 — wielokrotnie sprawdzona opona całoroczna

D-164 — nowoczesna linia bieżnika, znakomite wyniki testów, zdobywca wielu nagród, w tym ZŁOTEJ KARTY „SERVA VITAM”

D-162 — najmłodsze dziecko TC Dębica S.A. profil serii 60 indeks prędkości H (210 km/h)





Powszechny Zakład Ubezpieczeń S.A.  
II Inspektorat we Wrocławiu  
ul. Oławska 35

Zapraszamy Państwa do korzystania z szerokiej gamy świadczonych usług — gwarantując pełną ochronę ubezpieczeniową, szybką i sprawną obsługę, całkowitą wypłacalność, praktykę i doświadczenie wynikające prawie z dwuwiekowego istnienia jako firma asekuracyjna.

## CONTENTS

- p. 1 — D. Nespiak Constructing the Bieszczady legend.
- p. 2 — J. Masiór A Question — who of the old Lwówers would return home if it were possible ... ?
- p. 3 — J. Przystawa Independence and the problem of electoral law.
- p. 5 — W. Stążka The Lwów Lion has been erected on the royal route in Lublin.
- p. 9 — J. Wołczański Archbishop Bolesław Twardowski (18 Feb. 1864 — 22 Nov. 1944), the Lwów Metropolitan.
- p. 11 — M. Gawłowski Border altar-boy — fragments of recollections.
- p. 12 — E. Dmytrów The Kołomyja railway junction.
- p. 16 — D. Kosiński Wanda Siemaszkowa in Lwów.
- p. 19 — A. Hutnikiewicz My Łyczaków grammar-school.
- p. 21 — J. Zieliński The Lwów II State Karol Szajnocha Grammar-school in the thirtieths of the XXth century.
- p. 23 — I. Czermakowa The house on Krasuczyn — the pre-war centre of the Lwów painters' community.
- p. 25 — J. Huryk The encampment at Zbaraż.
- p. 28 — T. Kukiz, J. Tomaszewski The soldiers' monument at Łopatyn.
- p. 33 — D. Tabińska-Juhasz The 3rd International Forum of Polonia Media Tarnów '95.

## DOM „JUHASZÓWKA”

nad Dzikim Potokiem (560 m npm), 26 do 30 miejsc noclegowych  
wystrój myśliwski domu — „w starym stylu”

### Możliwość zorganizowania:

- ogniska,
- dyskoteki,
- wycieczki z przewodnikiem

Na zamówienia — śniadania, kolacje  
tanio — miło — smacznie!

*Chcesz naprawdę wypocząć?  
Jedź do Juhaszówki do Karpacza*

58-540 Karpacz, ul. Górna 4  
(koniec Kolejowej)

Tel. (87-51) 19-739



# Lista Ofiarodawców

w maju i czerwcu 1995 r.

Irena Łukaszewicz, Bytom	30,-	Towarz. Miłośn. Lwowa Oddz. Szczecinek	20,-
Stanisław Mossoczy, Bielsko Biała	40,-	J.R.Stan, Toronto Kanada	183,7
Edward Adles, Kraków	9,-	Wanda Klimkiewicz, Przemyśl	10,-
Stanisław Lewek, Sanok	10,-	Władysław Nowicki, Koźuchów	8,-
Zbigniew Lechowski, Wschowa	6,-	Janina Blum, Wrocław	10,-
mgr Wiktor Mokanek, Jelenia Góra	60,-	P.Romaniszyn, Victoria Kanada	115,-
Stanisław Tarnawski, Poznań	30,-	Halina Hilbrecht, Gliwice	2,5
Joanna Jeżak, Dzierżoniów	6,-	Jan Wilczak, Wilkowie	10,-
Ewa Stadtmüller, Wrocław	5,5	Katarzyna Wołoch, Bielsko-Biała	10,-
Maria Mokrzycka, Gliwice	20,-	Towarz. Miłośn. Lwowa Oddz. Jasło	210,-
Zbigniew Sogacz, Kraków	10,-	Czesław Szewczyk, RFN	50,-
Bolesław Dynowski, Bydgoszcz	5,-	Czesław Łabiniec, Kraków	15,-
Apolonia Reuter, Wrocław	6,5	TML i KPW Zarząd Klubu, Rychtal	4,4
Jan Michał Stuchły, Racibórz	200,-	p. Józef Joanna Starzeczy, Wrocław	30,-
Andrzej Haniszewski, Pyskowiec	90,-	Stanisław Piel, Rzeszów	30,-
Jerzy Klementowski, Mielec	2,5	Grażyna Stankiewicz, Bydgoszcz	9,-
Andrzej Niesiołowski, Warszawa	15,-	Maria Żurawska-Gangi, Toruń	15,-
Tomasz Piwko, Żary	10,-	Nadia Tyzenkautz-Pietniska, Kraków	30,-
Józef Tarka, Zielona Góra	10,-	TML i KPW Oddz. Częstochowa	50,-
Ewa Gryłowska, Warszawa	50,-	Gustaw Loch, Żnin	25,-
Danuta Starak-Markiewicz, Trzebnica	10,-	TMI, USA	2.000,- USD

*Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania*

## Od Wydawcy

Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” uprzejmie informuje, że:

- ☞ co tygodnia w każdy poniedziałek wychodzą „Kresy” redagowane przez. red. Janusza Olejnika przy współpracy Federacji Organizacji Kresowych, jako dodatek do „Słowa” dziennika katolickiego. Informuje on szeroko o życiu i kłopotach Polaków na wschodzie. Polecamy!
- ☞ Cieszymy się również z nowej pozycji, którą jest „Gazeta Kresowa” powstała z dotychczasowej wkładki do „Gazety Miejskiej” w Gliwicach. Numer sygnałny Ogólnopolskiego Tygodnika Środowisk Kresowych można było nabyć w dniach 1 i 2 lipca br. w Częstochowie na VI Ogólnopolskim Zjeździe Kresowian. Również gorąco polecamy!
- ☞ Ukazała się Bibliografia Lwowa wg Bibliografii Zawartości Czasopism za lata 1989 do połowy roku 1994 autorstwa p. T. Musiałowej z Tych członka Oddz. TML i KPW w Katowicach. Zainteresowani tą Bibliografią mogą ją nabyć w siedzibie Fundacji, również wysyłamy ją pocztą.
- ☞ Cegiełki w formie ozdobnych talerzyków, sprzedawane na fundusz odbudowy cmentarza Orłąt Lwowskich, będą do nabycia we wszystkich Oddz. i Klubach TML i KPW w całym kraju. Obecnie można je odbierać z Fundacji we Wrocławiu lub z Oddziału TML i KPW im. Orłąt Lwowskich w Gdyni.  
Zapraszamy!

Oczekujemy nadal na prenumeratorów:

- ☞ Semper Fidelis 15 zł
- ☞ Gazeta Lwowska 12 zł
- ☞ Dziennik Kijowski 12 zł

## UWAGA!

- ☞ W ostatnim Semper Fidelis zakradł się błąd w cyfrach numeru naszego konta bankowego, właściwy jest: PKO IV O/Wrocław nr 93549—10012—132—3. Bardzo przepraszamy i prosimy o sprostowanie tych, którzy z mylnego konta już skorzystali
- ☞ Obecny adres Zarządu Głównego TML i KPW, Fundacji Kresowej S.F. i Redakcji S.F. jest następujący: 50-079 Wrocław ul.Ruska 22/33 lp. tel.44.88.93.
- ☞ Wszystkim Ofiarodawcom, Czytelnikom, sympatykom naszego pisma życzymy przyjemnego, udanego wypoczynku wakacyjnego.

W imieniu Zarządu Fundacji Kresowej S.F.  
Dyrektor  
mgr Danuta Tabińska-Juhasz